



KASIA PISARSKA

WIEDZIAŁAM,
ŻE TAK BĘDZIE

KASIA
PISARSKA

WIEDZIAŁAM,
ŻE TAK BĘDZIE

WARSZAWSKIE WYDZIAŁNICTWO LITERACKIE
MUZA SA

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ*
ART.DESIGN

Redakcja: *Beata Słama*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Sławomira Gibka*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© Aron Mifsud Bonnici/Getty Images

© S. Borisov/Shutterstock

© Matt Gibson/Shutterstock

© for the Polish text by Kasia Pisarska

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2015

ISBN 978-83-287-0225-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2015

Wydanie I

Wszystkim, którzy mają odwagę marzyć

Spis treści

- I ALE NUMER!
 - II Z ZIEMI POLSKIEJ DO WŁOSKIEJ
 - III „OWSZEM” ZNACZY „NIE”!
 - IV CIEKAWOŚĆ JEST KOBIETĄ
 - V NIEDZIELA TO NIEDZIELA, MAMMA TO MAMMA
 - VI KRYZYS DNIA SIÓDMEGO
 - VII BEZSENSOWNY BEZSENS
 - VIII RYCZĄCA CZTERDZIESTKA
 - IX PRZEDWESELNO-PRZEDŚWIĄTECZNE SZALEŃSTWO
 - TRZY LATA PÓŹNIEJ X HEJ KOLEDA, KOLEDA!
 - XI GŁADKO JAK PO OLEJU
 - XII A GDYBY TAK BIAŁO-CZERWONO?
 - XIII WAŻNE ŻYCIOWE DECYZJE
 - XIV WILCZY APETYT
 - XV OSTATNIA PROSTA: PÓLNOC–POŁUDNIE
- Przypisy

I ALE NUMER!

Wyją syreny. Śni mi się, że wyją syreny. Jezusie Maryjo, niech ktoś coś z tym zrobi. Otwieram jedno oko. Nie śnię chyba, skoro jedno oko mam otwarte. Syrena wyje jak oszalała. Biorę komórkę – padła bateria. Drzwi! Domofon. Domofon mi wyje! Rzucam okiem na budzik: druga czterdzieści osiem. Może jest pożar i strażacy mnie budzą? Ale domofonem?! Ziewając, człapię do drzwi.

– Halo?

– Otwórz, to ja – słyszę.

– Wera?

– No Wera, otwieraj.

Zanim Weronika wjechała na szóste piętro, wszystkie neurony, które posiadam, zostały postawione w stan gotowości. Co się stało? Coś musiało się przecież stać. Coś poważnego. Weronika przechodzi ciężkie chwile. Przyłapała tego dziada, swojego eksmeża, na zdradzie. Boli tym bardziej, że nową wybranką jego serca i prześcieradła jest dawna uczennica Weroniki. Właściwie nie tak bardzo dawna, bo dziecię maturę zdało zaledwie dwa lata temu.

Wstyd, obciach i żenada. Całe miasto o tym trąbi. Kobietom jest jej żal, faceci mu zazdroszczą. Taki podział na Wenus i Marsa zapanował.

Weronika weszła blada i superpoważna. W drodze do dużego pokoju rzuciła zdawkowe „musimy poważnie porozmawiać” i osunęła się na kanapę.

– Co się dzieje? – zapytałam, chyba bojąc się odpowiedzi.

– Przepraszam, że w środku nocy cię nachodzę... próbowałam dzwonić...

– Bateria – mruknęłam.

– Moje życie...

– Kochana, będzie dobrze. Po burzy w końcu wychodzi słońce.

Zawsze możesz na mnie liczyć. Nawet w środku nocy!

Przytuliłam ją.

– Wiem.

Weronika oprócz dalekiej ciotki i jej córki nie ma nikogo. Jest jedynaczką, a rodzice zginęli w wypadku samochodowym tydzień po tym, gdy dostała się na studia. Mimo że w jej domu bywałam prawie codziennie, tatę Weroniki widywałam rzadko. Wykładał historię na uniwersytecie i gdy nie pracował, to albo buszował w jakichś archiwach, albo zaszywał się w domu z książką, wymagając od domowników, by byli cicho. Żadnej głośnej muzyki, żadnego biegania. Wyjątkiem były imprezy urodzinowe, kiedy mogłyśmy się wyszaleć i wyskakać. Żeby uniknąć problemów z sąsiadami, tata osobiście uprzedzał ich, że nastąpi nastoletnie szaleństwo. Życiem rodzinnym za bardzo się nie interesował, od tego była mama, a w wychowanie Werki zaingerował tylko raz – gdy mając szesnaście lat, bardzo chciała pojechać z koleżankami na festiwal do Jarocina. Zgodził się, pod warunkiem że przed wyjazdem upodobni się do większości bawiącej tam młodzieży: ogoli śliczne kasztanowe włosy i postawi sobie na cukier irokeza. Nie pojechała. Czasem wydawało mi się, że Werka wyszła za męża nie z miłości do Rudego, lecz że pragnęła założyć rodzinę. Chciała mieć się o kogo troszczyć. Życie to niestety zweryfikowało – rodzina męża była rodziną męża, nie jej. Nie miała dzieci i całe życie poświęciła młodzieży w liceum, w którym uczyła geografii. I spodziewała się wszystkiego, poza jednym, że uczennica odbije jej męża.

Panią Lucynę, mamę Weroniki, pamiętam tak dobrze, jakbym widziała ją wczoraj. Miała długie ciemne włosy, które zawsze upinała w kok, nosiła lekko rozkloszowane spódnice za kolano i piekła najlepsze na świecie ciasto drożdżowe ze śliwkami. Nie pracowała, bo chciała zajmować się Weroniką, ciągle jednak miała coś do roboty. Działała w komitecie rodzicielskim, jeździła z nami na wycieczki, dbała o zieleń przed blokiem, a w dużym pokoju hodowała ogromne paprotki. Co jakiś czas brałam od niej dla mojej mamy zaszczepkę, która, do dziś nie wiem dlaczego, u nas przeżywała nie dłużej niż kilka miesięcy.

– Pamiętasz, jak polecałam do Rzymu szukać dowodów zdrady?
– spytała Weronika.

– Jasne.

Jak mogłabym zapomnieć? To była podróż jej życia! Przez

piętnaście lat małżeństwa Rudy zabrał Weronikę tylko na działkę na wieś, bo miał pomalować babci płot, oraz do Ustronia, bo zapragnął odwiedzić swoją szanowną matkę w sanatorium. Dziecię – tak nazwałam jego kochankę – w ciągu kilkumiesięcznej znajomości zabrał za to na kilka dni do Rzymu, na weekend do Berlina, Paryża i do Eurodisneylandu (sic!).

– Zrobiłam wtedy coś, czego w całym moim życiu nie zrobiłam. I już nigdy więcej nie zrobię.

– Spędziłaś upojną noc w ramionach jakiegoś Giuseppego czy Carla?

– Nie. Zagrałam w Enalotto.

– „Ena” co?

– Enalotto. To włoski totolotek.

– I?

– Siedemnaście milionów czterysta osiemdziesiąt trzy tysiące dwieście dwadzieścia cztery – powiedziała grobowym tonem.

– Co?! – Moje właśnie obudzone neurony odmówiły współpracy.

– Euro – sprecyzowała.

– Że co?!

– Wygrałam siedemnaście milionów osiemdziesiąt trzy tysiące dwieście dwadzieścia cztery euro.

Z wrażenia usiadłam na podłodze obok kanapy i zapaliłam lampkę stojącą na stercie książek.

Nie wiem, czy milczałyśmy, patrząc sobie w oczy sekundę, minutę czy godzinę. Wreszcie zapytałam głosem tak grobowym, jakby wygranie niewyobrażalnej fortuny było największą katastrofą, jaka może przydarzyć się w życiu:

– I co teraz?

– Teraz potrzebuję twojej pomocy.

Rudy próbował zabrać Weronice wszystko, co się da, także godność. Zresztą wiele razy, na przykład gdy kiedyś popił w sylwestra, nazwał ją przy wszystkich wydmuszką, bo nie mogła zająć w ciążę. Oskubał ją do granic możliwości i ciągle mu było mało. Na widok pieniędzy zawsze tracił rozum. Wciąż prowadził jakieś szemrane interesy, coś zamykał, coś otwierał, ile z tego naprawdę było, wiedział

tylko on i jego siostra księgowka. W barze stawiał obcym kolejkę i chwalił się, jaki to ma debet na karcie kredytowej. Z drugiej strony na dom nie dawał prawie wcale. Werka opowiadała mi, że kiedy przez kilka dni prosiła go, by dał jej pieniądze na zakupy, rzucił łaskawie sto złotych i był przekonany, że ona z tego zapełni lodówkę i przyniesie co najmniej połowę reszty.

Plan jest prosty. Ponieważ formalnie nadal są małżeństwem, ja i Wera zaraz po Wszystkich Świętych jedziemy do Włoch, do Mediolanu, ja odbieram pieniądze, przelewamy je na moje konto, ale Weronika zostanie upoważniona i będzie mogła z niego korzystać. Gdy dostanie rozwód, dopełnimy wszelkich formalności i podzielimy się tym, co zostanie.

- Zdajesz sobie sprawę, że nic już nie będzie takie samo?
- spytałam ponuro.
- To przerażające. – Weronika westchnęła boleśnie.

*

Za kilka tygodni obie kończymy czterdziestkę. To taki wiek, gdy lubisz mieć już wszystko poukładane. I było poukładane, do czasu rozwodowej rozpierduchy. Raz w miesiącu jeździłyśmy do kina na babski wieczór, raz na kwartał do warszawskiego teatru na coś teoretycznie śmiesznego. Zawsze w pierwszą sobotę po wypłacie Weronika chodziła „zamalować odrosty i siwiznę”, oczywiście od lat do tego samego zakładu fryzjerskiego. W czasie wakacji co rok w lipcu wyjeżdżała jako opiekunka na kolonie, żeby trochę dorobić, a w sierpniu urządzała generalne porządki i robiła przetwory. Wszystko miało ustalony bieg i porządek.

Oczywiście zdarzało nam się przy lampce białego schłodzonego rzucić wszystko w cholerę: Weronika szkołę, ja redakcję, życie w małym mieście na Mazowszu, gdzie wszyscy znają cię lepiej niż ty sama... Jednak żadna z nas nie znalazła w sobie odwagi ani ochoty, by zrobić coś takiego, mimo że nic nas nie trzymało. Nie miałyśmy dzieci – ja chciałam, lecz na drodze mojego pokręconego życia nie stanął mężczyzna, z którym mogłabym założyć rodzinę. Weronika na początku małżeństwa zaszła w ciążę dwa razy, jednak niestety poroniła. Czasem

żartowałyśmy, że starość spędzimy razem: my dwie i stado kotów. Zupełnie jakbyśmy przeczuwały, że Weronika nie zestarzeje się ze swym ślubnym.

– Siedemnaście milionów czterysta osiemdziesiąt trzy tysiące dwieście dwadzieścia cztery – powtórzyła szeptem Weronika.

– A właściwie to ile to będzie na złotówki?

– Od czorta – sapnęłam.

– Nie chcę, by ktokolwiek wiedział. Musimy to jakoś ukryć, jakiś plan obmyślić. Nie zamierzam dzielić się z Rudym, tylko z tobą. Na pół. Na ciebie zawsze mogłam liczyć.

Patrząc z perspektywy czasu, wyjątkowym chamstwem z Rudego i jego mamuski francy strony było namówienie Weroniki, by sprzedała mieszkanie odziedziczone po rodzicach. Pięćdziesiąt metrów kwadratowych szczęśliwego dzieciństwa, dorastania, wspomnień... Pieniądze poszły na budowę domu. Teraz kubel zimnej wody: działka jest rodziny Rudego i podobno to, co na niej stoi, również. Nawet o pamiętki po swoich rodzicach musiała walczyć, bo szwagierka bardzo chciała się przytulić do dwóch wartościowych obrazów. Obłąd w ciapki.

– No ale jak można ukryć kilkanaście milionów euro!?

– zastanawiała się Weronika.

– Założymy jakąś działalność. Kupimy fabrykę czegoś, hotel czy coś...

– Ale gdzie?

– No w górach... albo nad morzem. – Chcesz kawę? – spytałam i dźwignęłam się z podłogi.

Przeszłyśmy do kuchni. Mistrzem w obmyślaniu nieprawdopodobnych planów zawsze byłam ja. Gdy dowiedziałam się, że Rudy zdradzał Weronikę, wysłałam jej pocieszeniowy SMS:

Chcesz się zemścić? Weź go na weekend w góry, schlej w trzy dooopy, pokłóć się z nim i powiedz, że zmieniasz hotel. Poczekaj, aż pójdzie do pokoju, rozbierz do naga, zostaw kartkę na poduszce: *Byłeś wspaniały, tę noc zapamiętam na zawsze, całuję gorąco, Jurek.*

Niestety, plan pozostał tylko planem.

– Ty na pewno coś wymyślisz – powiedziała Weronika.

Tak. Ja na pewno coś wymyślę... Tylko co można wymyślić, gdy

ma się możliwość wydania stu dwudziestu czterech tysięcy złotych dziennie przez kolejne pięćdziesiąt lat?!

Nie ogarniam.

*

Plan – ze względu na to, że gdyby wieść o tak ogromnej wygranej się rozeszła, kolejka po grosz byłaby dłuższa niż Wielki Mur Chiński – musiał być mądry i dobrze przemyślany. Trzeba coś zrobić, czymś się zająć, bo przecież inaczej człowiek zwariuje. Chyba.

To uczucie, gdy wiesz, że możesz wszystko, jest niesamowite. To trochę tak jak wtedy, gdy chodzisz przed wypłatą po sklepach i wszystko ci się podoba, wszystko byś chciała, a gdy wracasz z pieniędzmi, uznajesz, że niczego ciekawego nie ma. Nie ten odcień, nie ten fason, to odstaje, tu się ciągnie... Tylko teraz nie chodzi o torebkę czy kozaki. Chodzi o życie.

Na razie postanawiamy załatwić zastępstwa w pracy, wziąć dziesięć dni wolnego, wsiąść w mojego saaba i pojechać załatwić wszystkie formalności. Jeśli nas oświeci, co chcemy i jak chcemy robić, to rzucimy robotę.

Och! Nareszcie będę mogła odkurzyć mój włoski!

Na początku mojej dziennikarskiej kariery pismo modowe, w którym od lat zdecydowanie się marnuję, zatrudniło mnie ze względu na doskonałą znajomość tegoż języka. Tłumaczyłam wywiady i pisałam teksty o wielkich świata mody. Maurizio Gucci, rodzina Prada, Gianni Versace, Cavalli, Dolce i Gabbana... Teraz raz na kwartał wysyłają mnie do Warszawy na pseudoprestiżową imprezę, gdzie pseudogwiazdy, ubrane przez pseudostylistów w pajęczynę z jajkiem czy korek od wina z pestką brzoskwini, opowiadają mi o modzie, przekonani, że coś o niej wiedzą. Aha, był też taki pan stajlista, który przyszedł na imprezę z robakami utopionymi w moczu. Jak bluzgałam nad tym tekstem! Naprawdę trudno pisać o tym poważnie, a trzeba. Usłyszałam wtedy, że nie rozumiem awangardy i jestem za stara.

Jak się okazuje, dziś awangardą w tym kraju jest noszenie majtek, nieświecenie cyckami i nierozkładanie nóg przed każdym.

Gdzieś pomiędzy zakładaniem bliżej nieokreślonej fundacji

a otwarciem hodowli orchidei rzuciłyśmy się sobie w ramiona.
Popłynęły łzy strachu zmieszanego z ulgą, satysfakcją i niepewnością.

– Jesteś milionerką – łkałam.

– Jesteśmy milionerkami – poprawiła mnie Weronika.

– O mój Boże...

– Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz.

– O co?

– Wpadam do ciebie w środku nocy, informuję, że właśnie podjęłam decyzję, że masz mi pomóc w wykiwaniu mojego męża, proszę, żebyś wymyśliła, co z tym fantem zrobić, bo ja bez twojej rady to tylko do ołtarza poszłam i obie wiemy, jak to się skończyło...

Rewolucjonuję twoje życie.

– Rewolucjonizuję, to raz. A dwa: zapytaj mnie za rok. Nie teraz.

Skąd mogę wiedzieć, czy lepiej spłacać kredyt za dziuplę z sąsiadką, która notorycznie mnie zalewa, czy kupić sobie za gotówkę bezludną wyspę albo statek kosmiczny!

– A jeśli pieniądze szczęścia nie dają? – spytała filozoficznie Weronika.

– Hm... pieniądze może nie, ale podróże z pewnością tak!

– odparłam.

– O, wiem! Pojadę do Tajlandii i będę przewodniczką wycieczek. Zawsze marzyłam o Tajlandii. A ty? A ty założysz prawdziwe modowe pismo. Takie eleganckie, ze smakiem. Albo nie! Ruszysz te koce z kaszmiru, co chciałaś!

– Jasne. Jakby ludzie szmirę od kaszmiru odróżniali – prychnęłam i zastygłam. Kiedy szlag jasny trafił mój optymizm? Od kiedy to jestem taka zgryźliwa? I dlaczego?! Pisanie pod groźbą zwolnienia z pracy o celebpcach aż tak mnie rozwaliło!? Błeeee, nie lubię siebie takiej!

– Werka, weź się puknij. Przewodniczka milionerka? Musimy się przestawić na myślenie wielkoświatowe!

*

Kolejne dni przeżyłyśmy w totalnym amoku. Co chwilę dostawałyśmy głupawki. Znalazłyśmy idealne miejsce na trzymanie kuponu: w moim biustonoszu, a dokładniej w kieszonce na poduszczyk

push up. Bo niestety taki fason biustonosza bardzo poprawia mi i nastrój, i wygląd. I jak tu się nie śmiać, że teraz mam najdroższe cycki świata? Niestety, nieużywane, dlatego kupon tam umiejscowiony był (stety i niestety) jak najbardziej bezpieczny.

W redakcji panował tradycyjny przednumerowy kocioł. Ostatnim krzykiem mody jest zatrudnianie blogerek, w związku z czym sprzedajemy mniej gazet, ale mamy za to więcej wejść na stronę i korektorkę, która wpada w depresję za każdym razem, gdy widzi „opcasy” czy „spudnica”. Cóż, postęp...

– Lauraaaaaaa! – rozdarł się nasz naczelny Wincent, jedyny gej szczerze nienawidzący kobiet. – Gdzie jest, kurwa, tekst o nieuciskających rajstopach?!

Miałam ochotę schować się pod biurkiem. No gdzie jest? W głowie mojej jest, bo zupełnie o nim zapomniałam, pochłonięta milionowymi planami.

– Już kończę – bąknęłam, mając nadzieję, że mi uwierzy. I wtedy... och... ten pierwszy błysk: a nawet jeśli mnie zwolni, to co? To nic! Może mi naskoczyć. Uśmiechnęłam się do siebie. To mój ostatni tekst o rajstopach. Rany!

Aleksandra, siedząca po drugiej stronie wspólnego biurka niegdyś dobra koleżanka, przyglądała mi się z zainteresowaniem. Kiedyś wyskakiwałyśmy razem na drinka czy pizzę, dziś łączy nas tylko praca, bo jakieś dwa lata temu Ola doszła do wniosku, że więcej ugra, jeśli dopasuje się do nowych trendów. Przefarbowała włosy na superblond, schudła sto kilogramów, demonizując alkohol i odstawiając znienawidzone z dnia na dzień węglowodany, oraz bardzo zaprzyjaźniła się z poleconym jej przez Wincentego chirurgiem plastycznym. Figurę ma świetną, muszę to obiektywnie przyznać, jednak wraz z kilogramami straciła cały urok. W pogoni za nową sobą zupełnie zapomniała o tym, w co obie wierzyłyśmy: że pisząc w magazynie o modzie i stylu, można przemycić coś ciekawego, ważnego, że moda to nie tylko frywolność i fatałaszkki. Zrobiła się zgryźliwa, pewnie z powodu braku cukru w organizmie, a zamiast uśmiechu na jej twarzy pojawia się grymas – jak podejrzewam, za sprawą kwasów, botoksu czy tego, co tam sobie wstrzykiwała.

Zyskała za to niewątpliwie bardziej przydatną sympatię Wincentego – oczywiście w sensie jak najbardziej platonicznym – gdy przekonała narzeczoną topowego kopacza piłki, by pisała dla nas o nowościach z wielkiego świata. No i porobiło się tak, że ja nadal piszę teksty, za które dostaję średnio trzysta, trzysta pięćdziesiąt złotych, wrzucane to tu, to tam, na zasadzie zapchajdziury, a jej nowa redakcyjna psiapsiółka Samanta ma swoją rubrykę zatytułowaną *Samanta poleca*, zawsze w tym samym miejscu, czyli na stronie numer siedem.

Nie zazdroszczę Samancie szybkiej kariery, chociaż mam żal o to, że ktoś, kto nie widział na oczy słownika, a w ręku miał najwyżej książkę telefoniczną (kucharska za ambitna), o wykształceniu nawet nie wspomnę, ma za nic to, o co ja w pocie czoła bezskutecznie przez całe lata walczyłam. Gdy zostałyśmy sobie przedstawione, powiedziała:

– Ojej, Laura! Ale ładne imię. Jak listek laurowy. Co się nim w raju ludzie intymnie zakrywali.

Za jakie grzechy!

Gdy skończyłam pisać o odcieniach rajstop, w drzwiach stanęła Iwonka. Chrząknęła, by zwrócić moją uwagę, i skinęła głową, pokazując, że czeka na mnie w kuchni.

– Dostałam propozycję pracy – szepnęła.

– Gratuluję! Gdzie? Konkurencja?

– Na szczęście nie. Nowy portal dla mam.

– Dla mam? Och. Dla mam... Dla mam?! – wykrzyknęłam.

– Gratuluję. Podwójnie gratuluję!

– Dzięki, kochana. Będę opisywała ciążę pod kątem medycznym, polecała ćwiczenia, dietę... o zachciankach.

– Bardzo, bardzo, bardzo się cieszę. W którym jesteś miesiącu?

– To dopiero początek trzeciego. Odchodzę z pracy od pierwszego. Chciałam ci powiedzieć, zanim wyjedziesz na urlop. Do Włoch, tak?

Iwonka to taka spokojna poczciwa dusza. Pasuje tu jak kaktus do odkurzacza. Zawsze można na nią liczyć. Dla wszystkich miła, choć nie wszyscy na to zasługują. Gdy Róża, która była założycielem i filarem naszego pisma, odeszła na emeryturę, naczelnym został Wincenty i zrobił sobie z Iwonki worek treningowy. Przynieś, wynieś, pozamiataj. Gdy ktoś ma ochotę na kogoś nawrzeszczyć, to najczęściej na nią, bo

pyskowanie zdecydowanie nie jest w jej stylu. No tak, ja odejdę, ona odejdzie, a redakcję opanują niedouczzone smarkule. Ale to już nie będzie moja sprawa, pomyślałam z satysfakcją.

Wracając do biurka, rozglądałam się po redakcji i zastanawiałam, czy choć jedna pracująca tu osoba jest zadowolona z tego, co robi, jak robi i z kim robi. Spędzamy tu większość życia, do domu wpadamy tylko po to, żeby się przespać. I w imię czego? Po co? Kiedyś ta praca dawała mi satysfakcję, a teraz każdego dnia cieszę się, że nikogo nie zamordowałam. Ciekawe, czy inni też się tak czują, czy jednak mają jakieś plany i marzenia? Co oni by zrobili, gdyby nagle stali się milionerami? Wiedzieliby, czego chcą, czy tak jak ja i Weronika nie mieliby zielonego pojęcia?

Październikowe słońce grzało przyjemnie. Gdyby nie to, że taka pogoda w Polsce jest bardzo zdradliwa i łatwo coś złapać, chciałoby się założyć sandały i udawać, że nadal jest lato. Nigdy się nie zastanawiałam, czy nasz klimat mi odpowiada, bo wpływu na temperaturę przecież nie mam. O przeprowadzce za granicę owszem, kiedyś myślałam (nie ze względów klimatycznych zresztą), lecz na myśleniu się kończyło. Jednak, rety... jak przyjemnie musi być gdzieś, gdzie śnieg jest tylko na święta Bożego Narodzenia, bo przecież święta bez śniegu to nie święta. Ale u nas w ubiegłym roku zalegał od października do marca non stop.

Klimat idealny: tak z miesiąc puchu, bez szaleństwa, i możliwość kąpania się w morzu przez sześć miesięcy, a nie sześć tygodni. Nie żebym narzekała, ale idzie zima i na samą myśl o tym robi mi się zimno. Odśnieżanie co rano podjazdu przed garażem, żeby wyjechać, odkopywanie samochodu po pracy, uprzątnięcie podjazdu przed garażem wieczorem, żeby wjechać... brrr.

Przez wszystkie te miesiące zazdrościłam tym, którzy pracują z domu, tym, którzy mają garaż w piwnicy, i wszystkim mężatkom, których mężowie codziennie toczą heroiczną walkę ze śniegiem.

*

Podjechałam do moich ulubionych mechaników, żeby zrobili przegląd samochodu. Mamy przejechać parę tysięcy kilometrów,

wolałabym więc uniknąć katastrofy w postaci zatarcia silnika na przykład. Trzeba sprawdzić olej, filtry wszystkie, opony na zimowe wymienić, bo co z tego, że dziś jest ciepło... Jak będzie jutro, wiedzą tylko górale.

Kolejne dni upływały nam na organizowaniu wyprawy. Ja kilka wolnych dni dostałam bez problemu, pod warunkiem że przed wyjazdem napiszę na zapas tekst o legginsach i o tym, kto może sobie pozwolić na noszenie do nich koszulki do pępka (bez fotoszopa raczej nikt). Weronika wzięła bezpłatny urlop – dogadała się z koleżanką, która ją zastąpi, i przygotowała „na za tydzień” sprawdzian dla drugiej klasy ze sposobów określania wieku skał oraz z procesów plutonicznych, które z psem Pluto nie mają nic wspólnego, dotyczą bowiem batolitów, lakolitów i czegoś tam jeszcze. Wydrukowałam dla niej pytania i odpowiedzi w redakcji i podrzuciłam jej do domu wraz z nowym tonerem.

Postanowiłam odwiedzić też myjnię i kupić nowy fiołkowy odświeżacz do samochodu. Niech nam się miło jedzie, a co!

*

Do salonu mojego operatora telefonicznego wpadłam pięć minut przed zamknięciem. Chciałam się upewnić, że mam działający roaming – już raz pojechałam za granicę bez niego i przekonałam się, że gdy nie ma z tobą żadnego kontaktu, to nie jest to (wbrew temu, co piszą internetowi spece od urlopowego ładowania baterii) ani wypoczynek, ani luksus. Może dla kogoś, do kogo dzwoni pierdyliard osób dziennie, jest to jakaś ulga, ale nie dla mnie, szczególnie dwa lata temu, gdy wyczekiwałam jak zbawienia informacji od ubezpieczyciela, że przyznano mi, bądź nie, odszkodowanie za złamanie nogi na mokrej podłodze w hipermarkecie. Ciągnęło się to wszystko niemiłosiernie, zdążyłam zdjąć gips i zapomnieć o tym, jak upierdliwe jest drapanie się długopisem, zorganizować weekend w Czechach i nawet tam pojechać. Między Ostrawą a Brnem chciałam zadzwonić i zapytać, czy mam to odszkodowanie, czy nie, bo stwierdziłam, że ta informacja jest mi niezbędna, by się naprawdę zrelaksować, no i się zaczęło – bo nie tylko odkryłam, że nie mogę ani dzwonić, ani odbierać połączeń. Nawet

kupienie za tysiąc koron czeskiej karty nie rozwiązało sytuacji, bo ze zdumieniem odkryłam, że mój telefon ma założony simlock. Bałam się, że jeśli coś mi się stanie – bo przecież w życiu dzieje się zawsze wtedy, kiedy nie powinno – to ja nie będę mogła się z nikim skontaktować. Zawróciłam więc do Polski i w środku nocy znalazłam pokój w Ustroniu i spędziłam tam dwa dni.

Wymieniłam złotówki na euro. Mam też oczywiście kartę, ale nie daj Boże jakiś problem techniczny... Kiedy ja się taka przewidująca zrobiłam? – zastanawiałam się. Gdzie jest mój spontan i szaleństwo, ja się pytam? Gdzie „damy radę, jakoś będzie”?! Czy już się starzeję?

*

Po całodziennym bieganiu wpadłam skonana do domu. Podlałam kwiaty i dopiero gdy wzięłam do ręki komórkę, żeby zadzwonić do siostry, zdałam sobie sprawę, że w pewnym sensie muszę ją okłamać, albo, inaczej mówiąc, nie mogę powiedzieć jej prawdy o celu naszej podróży.

Klara, moja fantastyczna młodsza siostra, będzie wpadała do mojego mieszkania co dwa, trzy dni, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, co sprowadza się do kontroli, czy sąsiadka (znowu) mnie załała. Byłby to trzeci raz w ciągu czterech lat. Takie są uroki mieszkania w bloku. Za jedną ścianą sąsiedzi z trzyletnimi bliźniakami: piłka nożna, bieganie, zabawy w Indian – zorientowałam się po okrzykach. Za drugą nieklasyczny przykład przemocy domowej, czyli sąsiadka rzucająca garnkami w męża. Biedak na całe swoje szczęście lekko ogłuchł, i gdy nie ma ochoty słuchać jej wrzasków, przycisza aparat słuchowy – wyznał mi to kiedyś na klatce schodowej. Do kompletu pani Czesia, przez ostatnie sto lat cierpiąca na starczą demencję, która pewnego razu pojechała do IKEA i zapomniała, że właśnie nalewała wodę do wanny. Pozostałe razy załała mnie, bo „normalnie” się zagapiła. Przydałby się jeszcze jakiś piroman i muzyk grający na puzonie albo klarncie.

Zaczęłam wystawiać w przedpokoju buty, które zamierzałam zabrać, i wyjmować z szafy ubrania. Położyłam na łóżku ukochaną torbę vintage Gucciego – bez niej nigdzie się nie ruszam. To moja pierwsza

(i ostatnia, niestety) droga torebka, kupiona za długo oszczędzane pieniądze w... luksusowym lumpeksie w Wiedniu.

Zdjęłam z pawlacza walizkę i się rozryczałam. Nie mam w co się ubrać, nie wiem, co zabrać, żeby nie wyglądać jak ciotka Klotka, nie mam pojęcia, co będzie dalej. A jeśli coś pójdzie nie tak? To nic. Najwyżej będziemy miały nieplanowane włoskie wakacje. A jeśli wszystko załatwimy pomyślnie? I zostanę milionerką? Przecież nie mam pojęcia, jak to jest być bogatą. Werka też nie ma. Co się wtedy robi? Oprócz zabieganych, zapracowanych pracoholików menedżerów i biznesmenów, co robią inni milionerzy? Mężczyźni pewnie kupują drogie kobiety i szybkie samochody. Ale co robią przedstawicielki płci lepszej? Leżą i pachną? Dla kogo? Dla siebie? Chyba lepiej wszystko rozdać i mieć problem z głowy. Tylko komu, żeby mieć gwarancję, że pieniądze nie pójdą na głupoty, tylko trafią do naprawdę potrzebujących? A może lepiej swoją fundację założyć? Tylko jaką. Dla kogo? I gdzie? Dobra, pomyślimy. Najpierw jednak kupię sobie prawdziwą, nie vintage, Gucciego. No, może dwie. I jakieś buty...

Na pocieszenie otworzyłam laptopa, by pooglądać torebki z najnowszych kolekcji, i uświadomiłam sobie, że być może będzie mnie stać na każdą. Może ta beżowa... Nadal nie będą miała się w co ubrać, ale chociaż z torebką pochodzę porządną. Torba i buty to podstawa. Ważać, obcas mi się rusza. Buuuu!

Gdzieś koło północy zrobiłam sobie kanapki i postanowiłam wziąć kąpiel. Uwielbiam jeść w wannie. Normalnie wzięłabym jeszcze lampkę wina, było jednak późno, a miałyśmy wyruszyć o piątej rano.

Położyłam się spać podekscytowana, podenerwowana i przerażona nieznanym.

I oczywiście nie było mowy o zaśnięciu nawet na sekundę.

*

Punkt piąta, gdy dopijałam oczyszczającą herbatkę o podobno cudownym działaniu, przyjechała Weronika.

- Wskakuj – powiedziałam, otwierając jej drzwi.
- Gotowa?
- Chyba tak...

– Masz wszystko?

– Wszystko, czyli co? Kupon mam. – Zrobiłam błazeńską minę i łypnęłam na moje cycki.

Weronika oddała kupon w moje ręce, bo nie ma papierka, którego nie potrafiłaby zgubić. Po swój akt urodzenia, niezbędny do zawarcia związku małżeńskiego, jechała aż trzy razy, co właściwie mogło być nie tylko związane z jej roztargnieniem – to był znak z nieba! Zupełnie przez nią zignorowany. Po trzykroć!

– Dowód albo paszport? Dowód rejestracyjny? Ubezpieczenie? Zieloną kartę trzeba? Gumę do żucia masz? Woda się przyda – trajkotała, a ja biegałam i zbierałam ostatnie rzeczy. Wreszcie wyruszyliśmy w drogę, stawiając sobie za cel dotarcie przed nocą do Austrii.

*

Do Częstochowy przeważnie milczałyśmy. Powoli zaczynało do nas docierać, że wiemy, co robić (a przynajmniej tak nam się wydawało) tylko do Mediolanu: pojechać i odebrać pieniądze. Ta część planu była jasna. A potem co? Wracamy do Polski i prowadzimy tak zwane normalne życie? Dokądś wyjeżdżamy? Ale dokąd? Stany za daleko, w Grecji kryzys, w Hiszpanii corrida, we Francji też nie to, co kiedyś, w Londynie multi kulti, w którego powodzenie nigdy nie wierzyłam. A u nas... wiadomo... Może Malta? Albo Monako! Śladami najpiękniejszej kobiety świata Grace? Hm... Monako brzmi dobrze.

Gdy po mojej głowie buszowały najróżniejsze myśli, usłyszałam tradycyjne Weronikowe „Jestem głodna” i stanęłyśmy na prawdziwe polskie ruskie pierogi.

W starej chacie zamienionej w restaurację podawano wszystkie tradycyjne rodzime dania. Było nawet jajko sadzone z ziemniakami i maślaną. Usiadłyśmy w kącie izby, za wielkim drewnianym stołem, na wielkiej twardej ławie.

Obsługiwała nas pani mniej więcej w naszym wieku, ale jakaś taka zgaszona, smutna. Jej pusty wzrok i sztuczny uśmiech, jakim nas obdarzyła, gdy przyniosła nam sztućce i wodę, zwróciły moją uwagę.

– Przepraszam, czy mogę panią o coś zapytać? Jestem dziennikarką

i zbieram materiał do artykułu, oczywiście wypowiedziałaby się pani anonimowo... – nawijałam. – Gdyby mogła pani spełnić jedno swoje marzenie, nieważne, jak szalone, jak niesamowite, bez ograniczeń, co by to było?

Kelnerka w pierwszej chwili chciała odejść, jednak chęć podzielenia się czymś tak ważnym, czymś, co siedziało głęboko w jej sercu od wielu lat, była silniejsza.

– Chciałabym skończyć szkołę plastyczną – wyznała. – Nie teraz! Ze dwadzieścia lat temu. Ten obraz – pokazała palcem – i ten drugi są moje. – Po raz pierwszy lekko się uśmiechnęła, ale tak szczerze, nie „służbowo”.

„Są moje”. Powiedziała to z taką dumą, lecz po chwili wycofała się do kuchni, jakby zrobiła coś złego. Obrazy były naprawdę piękne. Na tym większym widnieje stara kuchnia, taka z piecem, na którym śpi jaśnie wielmożny pan kot. Na stole stoi kosz z owocami i leżą orzechy. Na drugim obrazie polne kwiaty w wazonie z Bolesławca, który uwielbiam.

– Co ci chodzi po głowie? – spytała podejrzliwie Wera.

– Nic. Po prostu zastanawiam się, o czym marzą inni.

– Każdemu czegoś brakuje – stwierdziła. – Ona pewnie ma dzieci, może już prawie dorosłe, zapewne dlatego nie skończyła szkoły i tyra po kilkanaście godzin dziennie. My szkoły skończyłyśmy i... Ja bym się chyba zamieniła na to tyranie i kogoś, kto mówiłby do mnie „mamo”.

Nie zdawałam sobie sprawy, że Wera aż tak cierpi, iż nie ma dzieci. Ten temat poruszałyśmy rzadko. Chyba dla nas obu był niewygodny i trudny.

– Podobno nic nie dzieje się bez przyczyny – szepnęła.

– No właśnie. A więc w drogę, moja kochana. W drogę!

*

Wsiadłyśmy do Saabinki, jak pieszczotliwie nazywałam mojego saaba w kolorze truskawkowym z zielonym bagażnikiem, i ruszyłam (niechcący!) z piskiem opon. Przed Cieszynem humory nam się poprawiły. Trochę italo disco i garść lentilek mogą zdziałać cuda.

– Gdyby moja teściowa wiedziała... – zaczęła Weronika.

– ...z całą pewnością leciałaby za nami na miotle – dokończyłam.
– A właściwie jak zareagowałaś, gdy sprawdziłaś liczby: pierwszą, drugą, trzecią... zgadzały się, i czwartą, piątą...

– Zupełnie zapomniałam o tej loterii, i dopiero gdy usłyszałam w *Teleexpressie* o tej dużej wygranej w Polsce, w Złotoryi chyba, której nikt nie odebrał, to mi się przypomniało, że ja też mam kupon do sprawdzenia. Boże, jak ja się go naszukałam! W każdej kieszonce walizki, w portfelu, torebkach... W końcu okazało się, że w książkę wsadziłam.

– Takie rzeczy to tylko ty – mruknęłam.

– Dwadzieścia razy spisywałam numery i datę losowania.

Porównywałam, sprawdzałam. Nie mogłam w to uwierzyć. Tym bardziej że to było takie symboliczne: nigdy nie gram, a zagrałam, nie gdziekolwiek i kiedykolwiek, tylko gdy za starym po Europie jeździłam, żeby mu zdrady udowodnić. Masz ideę, ile by kosztował detektyw, który zrobiłby to samo?! Masakra! I to nie Rutkowski, którykolwiek.

– Wyobrażam sobie, jakie mają dniówki plus wszystkie koszty.

– No właśnie.

Weronika wzięła mapę, chociaż jechałam z ustawioną nawigacją.

– Wiesz, ostatnio podjechałam pod nasz dom – ciągnęła

– właściwie nie wiem po co. No i zobaczyłam, że Dziecię zawładnęła nie tylko moim mężem, ale i domem, no całym życiem! Wyobraź sobie, że Tomek i Agata szli do nich w odwiedziny. Jak gdyby nigdy nic. Z kwiatkami dla niej i flaszką dla Rudego. Uwierzysz? Do mojego domu!

– Nie wierzę! – wykrzyknęłam. – Co za fałszywa małpa z tej Agaty! Tyle gadała o chłopach, którzy w drugi obieg wpadają, i o solidarności pierwszych żon, a tu proszę!

– Nie rozumiem tego. Jedli na talerzach, które kupiłam, gdy byłam na wycieczce szkolnej, i targałam przez pół Polski, na obrusie przeze mnie krochmalonym i maglowanym. Jakbym nie istniała! A przecież od naszego oficjalnego rozstania minęło dopiero kilka tygodni.

– Ołać dziada. Spójrz pozytywnie: tydzień w spa, przedłużysz włosy, założysz szpilki i capa czterdziestolatka na dwóch dwudziestolatków zamienisz.

– A daj ty mi święty spokój!

*

Do Austrii wjechałyśmy o osiemnastej. Na granicy kupiłyśmy ticket na autostradę i zaczęłyśmy się rozglądać za noclegiem.

Lubię Austrię, bo czysto, cena i jakość usług idą w parze, jest mnóstwo rodzinnych pensjonatów, gdzie człowiek czuje się, jakby był u cioci, a nie w hotelu. Mają też pyszne wina. Jedzenie wolę zdecydowanie włoskie, ale ogólnie rzecz biorąc, w Austrii jest sympatycznie.

Wjechałyśmy do małego miasteczka, położonego nad niewielkim uroczym jeziorkiem, i stanęłyśmy pod pierwszym pensjonatem.

Weronika pobiegła zapytać, czy mają wolne pokoje, a ja w tym czasie starałam się rozprostować nogi i całą siebie.

– Mają! – krzyknęła, zbiegając ze schodków. – Jest też restauracja, możemy tu zjeść. Chyba że wolisz się przejść.

– Sama nie wiem – odpowiedziałam, wyjmując z bagażnika nasze walizki. – Na razie chcę prysznic.

Pokój jak pokój: dwa osobne łóżka, panele na podłodze, dywaniki, telewizor. Wszystko nowoczesne, ale doskonale stylowo i kolorystycznie dobrane. Zaskoczeniem była łazienka: tak duża jak pokój, z prysznicem, wanną z hydromasażem i mięciutkimi ręcznikami. Wszystko to za szaloną kwotę... czterdziestu pięciu euro za pokój, czyli dwadzieścia dwa i pół euro od osoby.

Zrezygnowałam z prysznica na rzecz wanny i bąbelków, a gdy wreszcie dotarłam do restauracji, Weronika siedziała przy barze i piła małe piwo w otoczeniu wszystkich drwali i budowlańców z okolicy.

– Uważaj, bo cię jakiś Hans do ołtarza porwie – szepnęłam jej na ucho.

– Ooo, jesteś! Wiesz, nie miałam pojęcia, że Austriacy są tacy... ciepli.

– Chodź – powiedziałam – usiądziemy przy stoliku. Na co masz ochotę?

Panowie w pierwszej chwili na moje pojawienie się zareagowali entuzjastycznie, jednak gdy zamiast usiąść z nimi, porwałam Werę, wężą

niecو im opadły.

Po kolacji i bliżej niezidentyfikowanym czymś pysznym ziołowym i alkoholowym na trawienie poszłyśmy do pokoju i włączyłyśmy telewizor. Oczywiście nie było żadnego polskiego kanału, ale znalazłam RAI 1 i program Bruna Vespy. Oglądali go już chyba ludzie pierwotni w grotach.

Odcinek był zaskakująco ciekawy: w regionie Veneto jest mała miejscina podzielona na dwie części – San Rocco di Sotto i San Rocco di Sopra. We Włoszech zawsze, gdy coś jest *di sotto*, musi być i *di sopra*. Tak do pary. *Sotto* – „pod”, *sopra* – „nad”. San Rocco Górne i San Rocco Dolne.

To minimiasteczko, położone w Dolomitach i zapomniane przez świat i ludzi, pobiło kilka rekordów: średnia wieku to sześćdziesiąt siedem lat, ostatni mieszkaniec urodził się w 1981 roku, ale już tam nie mieszka – jak zresztą wielu innych ludzi – bo jego rodzice wybrali „ucieczkę” do miasta. Największa liczba nieruchomości na głowę, bo ci, którzy zostali, odziedziczyli domy po tych wyjeżdżających. I właśnie o te nieruchomości, a właściwie o podatki od nich, upomniał się nagle włoski urząd skarbowy. Mieszkańców jest poniżej setki, ale coś niesamowitego – miejscowość ma prawa miejskie od ponad trzystu lat!

– Przesuń się trochę, proszę – powiedziałam do stojącej przy telewizorze Weroniki.

W studiu siedział całkiem przystojny *sindaco* (wójt) i tłumaczył, dlaczego zrobił to, co zrobił. Otóż w miasteczku jest mnóstwo starych domów. W większości nie ma ogrzewania, stoją w szeregu, w jednych ktoś mieszka, w innych nie. Gdy taki ktoś dostaje tylko emeryturę, czasem siedemset, osiemset euro na miesiąc, a ma kilka takich pustych domów, z którymi nie ma co zrobić, i musi zapłacić od dwóch do czterech tysięcy euro podatku od każdej nieruchomości, to po prostu nie ma jak. W innych miastach, opowiadał wójt, zdesperowani właściciele posuwali się nawet do tak ekstremalnych rozwiązań, jak burzenie dachu, bo wtedy się nic nie płaci – dom nie jest już domem, a ruiną, a od ruiny podatku nie ma. Gdy więc Guardia di Finanza domagała się podatku, *sindaco* odkupił domy za symboliczne euro i teraz należą do miasta, podatku płacić nie trzeba, mieszkańcy odetchnęli z ulgą, lecz włoski rząd

chce go za to pozwać. Vespa gadał od rzeczy, że to nie fair, a mnie się bardzo podobało, że ktoś miał jaja, żeby coś takiego w obronie ludzi zrobić.

Najbliższa piekarnia oddalona jest o osiemnaście kilometrów, lekarz pierwszego kontaktu i większość usług o ponad trzydzieści. Koniec świata po prostu. Koniec świata w sercu Dolomitów. No, prawdziwy raj!

*

Do Mediolanu mamy jeszcze około ośmiuset kilometrów. Jeśli wyjedziemy rano, nie będzie korków i nie zgubimy się po drodze, przyjedziemy na miejsce wieczorem, a wieczorem przecież i tak niczego nie załatwimy. Decyzja wydaje się prosta: zahaczamy o San Rocco, bo niby dlaczego nie?

II Z ZIEMI POLSKIEJ DO WŁOSKIEJ

Granicę austriacko-włoską przekroczyliśmy o jedenastej. Weronika oczywiście zgłodniała, a mnie z każdym przejechanym kilometrem coraz bardziej chciało się pizzy. Takiej prawdziwej, z pieca opalanego drewnem, cztery sery i porcini. Moja ulubiona. Mniem!

Północne Włochy znam lepiej niż niektóre regiony Polski. Gdy tylko mogę, wskakuję w samochód i tu przyjeżdżam, a gdy wracam do domu, już w drodze planuję kolejny wypad i obiecuję sobie, że będę oszczędzała pieniądze na ten cel. Dla kilku dni w Italii gotowa jestem na wszelkie poświęcenia. Praktycznie nie jadam w restauracjach, sama robię przetwory na zimę, od ogórków kiszonych i dżemów zaczynając, a na przecierze pomidorowym kończąc, samochód przerobiłam na gaz i mam energooszczędne żarówki.

Decyduję się zajechać na pizzę do Venzone, ślicznego lawendowego miasteczka. Jeszcze kilka lat temu nie miałam pojęcia, że Włosi posiadają własną lawendową mini-Prowansję, w Venzone właśnie, z polami, zbiorami, lawendowymi produktami: świeczkami i olejkami eterycznymi, ciastkami, miodami i marmoladami. Pierwszy raz trafiłam tu, gdy zgubiłam się na trasie między Gemoną – a dokładniej restauracją La Perla, którą uwielbiam – a niedrogim rodzinnym hotelikiem Alla Terrazza położonym nad jeziorem w miejscowości La Rocca di Interneppo. W Alla Terrazza pokoiki są skromne, lecz okolica jest malownicza i przede wszystkim spokojna. Hotel powstał w 1923 roku i od zawsze jest w rękach tej samej rodziny. Dziś prowadzi go małżeństwo, Adriana i Cesare, oraz ich córka, moja imienniczka Laura. W pizzerii nieopodal, którą mi polecili i do której jeździłam na kolacje, sympatyczny akcent stanowią przyczepione na ścianie baru banknoty z całego świata. Jest tam i moje dwadzieścia złotych.

– Jak tu pięknie – westchnęła Weronika, wysiadając z samochodu i rozglądając się. – Zobacz, jaki cudo rower. – Pokazała palcem stary, pomalowany na biało bocykl przystrojony lawendą.

Maleńki plac z barem na rogu, zadbane kamienice, sklepiki jak z bajki. I ten fiolet!

– Uroczy – przyznałam. – Chodź, za rogiem jest pizzeria, ale chyba musimy jeszcze zapłacić za parking.

O dwunastej trzydzieści weszliśmy do pizzerii w stylu tyrolskim. Przemiały kelner, słysząc mój akcent, zapytał, czy jesteśmy tu na wakacjach.

– Można tak powiedzieć – odrzekłam. – Daleko stąd do San Rocco? Tego, gdzie wójt...

– Tak, tak, wiem, całe Włochy dziś o tym mówią. Nie bardzo daleko, niecałe sto kilometrów, tylko drogi są wąskie i kręte. Jak to w górach. Może też być śnieg. Macie łańcuchy?

– My jesteśmy z Polski, damy sobie radę – odpowiedziałam dumnie, zupełnie jakby samochody prowadzone przez Polaków były odporne na biały puch.

Z pełnymi brzuchami i humorami na sto dwa ruszyliśmy w dalszą drogę.

Mijałyśmy niewielkie, w większości opuszczone miasteczka i wioski, a za każdym zakrętem, których było milion, czekała jakaś niespodzianka: a to piękny dom, a to zaczarowany zdziczały ogród, a to skały tak blisko samochodu, że miałam wrażenie, iż otrę się o nie lusterkiem.

Pod górę wjeżdżałam z zawrotną szybkością całych czterdziestu kilometrów na godzinę i z obłędem w oczach. Matko jedyna, gdyby leżał śnieg, tobym chyba Saabinkę musiała pchać!

– Dlaczego ludzie stąd wyjeżdżają? – zastanawiała się Weronika.
– Tu jest cudnie!

– Brak pracy. Poza tym te domy stoją tak blisko jezdni, że masz wrażenie, iż otwierając okiennice, trzaśniesz w szybę przejeżdżającego samochodu. Są ładne, owszem, ale gdy je budowano, nie było korków i hałasu. Ludzie jeździli wozami zaprzężonymi w konie. Teraz w nocy obudzi cię przejeżdżający w odległości kilku metrów od łóżka tir.

– Masz rację.

– Jak zawsze!

– Zobacz ten dom na wzgórzu, na wprost nas. Gdyby tak

odmalować okiennice, przyszyć żywopłot, ogarnąć to trochę... Coś niesamowitego. Taka perełka stoi, marnieje i straszy.

– Skoro tam straszy, to i marnieje – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Miliony ludzi marzą o takim domku, a tu aż niemożliwe, ile ich jest niezamieszkanym. I jakich pięknych.

– Ale ty, kochana, jeśli masz takie marzenie, to możesz sobie całą wioskę kupić. Wynająć Edwarda Nożycorękiego, żeby ten żywopłot w czeresienki przyciął. A okiennice możesz wysłać do odmalowania do Australii. Nawet kibel wysadzany brylantami możesz sobie zamówić, jeśli masz taki kaprys.

– Jeszcze to do mnie nie dociera.

– Co tam dom! Zamek sobie kup. Z osiemdziesięcioma komnatami!

– Ty też możesz – zauważyła Weronika.

– No tak. Ja też mogę. – Zamilkłam na moment, po czym wrzasnęłam: – Kurna, ja pierdzielę! Ja nie mogę, ty nie możesz. Maaaaaaać!

– Co się stało?

– Ja pierdzielę! Ja pierdzielę! – piszczałam, rozglądając się jednocześnie, gdzie mogłabym na tej drodze o szerokości moich rozłożonych ramion zawrócić. – Zostawiłam biustonosz w łazience! W pensjonacie.

– Oj tam, oj tam. Jeden masz?

– Z kuponem na siedemnaście milionów euro? Tak!

– Co? Zapomniałaś TEGO biustonosza? Nie wierzę! Zawracaj!

– Gdzie?!

– Tam, Kwiatek!

Kwiatek – zakurzona ksywa prześladowająca mnie od przedszkola do uniwersytetu, zapomniana „na co dzień” przez ostatnich tysiąc lat, jednak w momentach kryzysowych wracająca jak bumerang.

– Gdzie „tam”?!?

– Tam jest droga. No zawracaj, no!

– Rany, to nie jest droga, tylko ścieżka, nie wykręcę.

– Wykręcisz. Ja cię zabiję. Normalnie zamorduję! Po to ci dałam kupon, żeby go nie zgubić. To ja wszystko gubię! Kręć!

– Nie zmieszczę się! – warknęłam podenerwowana, oglądając się za siebie.

– Zmieścisz! – krzyknęła Werka.

Wykręciłam ostro i wjechałam na ścieżkę, wycofałam i dupa Saabinki wylądowała w strumyku.

– Mówiłam, że to nie jest droga! – syknęłam.

Wysiadłyśmy z samochodu. Nie było większych uszkodzeń – chwala Panu – tylko pojęcia nie miałam, jak wyciągnąć auto z rowu.

– Co teraz? Dzwonimy po Pudziana?

Obeszłam Saabinkę, zastanawiając się gorączkowo, co zrobić, bo przecież plan to ja, tylko tym razem w głowie miałam pustkę.

Weronika oparła się o ścianę starego domu, za którym skręciłyśmy.

– Myślisz, że we dwie damy radę podnieść samochód i przesunąć go na mostek? – spytała.

– Same? Ty masz pojęcie, ile on waży? No i kto będzie kierował? Jak stanę z tyłu i nawet razem podniesiemy, choć nie sędzę, żebyśmy dały radę, ale jak skręcimy kołami, żeby nie przelecieć z drugiej strony, tylko na drogę wjechać?

– Masz rację.

– No kurde, mam!

Zaczęłam się (chyba z nerwów) śmiać i w tym momencie usłyszałam za sobą czyjeś kroki. Odwróciłam się. W naszą stronę szedł czterdziestoparoletni mężczyzna.

– Potrzebujecie pomocy? – zapytał. Oczywiście po włosku.

– Nie da się ukryć. – Wskazałam samochód. – Laura

– przedstawiłam się. – A to Weronika.

– Alessandro. Miło mi.

Nie tak bardzo jak nam, pomyślałam, w duchu dziękując mamie za to, że przekonała mnie do prywatnych lekcji włoskiego, gdy byłam w ósmej klasie szkoły podstawowej. Jej przemawiające do mojej wyobraźni mocne argumenty (że kiedyś na pewno do słonecznych Włoch pojedę i wtedy na sto procent ten język mi się przyda) oraz trafny wybór nauczycielki w postaci studiującej italianistykę sąsiadki, która wówczas mega mi imponowała, wzięły się ze strachu. Mama bała się, a przynajmniej tak mi się wydaje, że rozwinę mój udokumentowany

licznymi dyplomami talent taneczny, zacznę wyjeżdżać na ogólnopolskie zawody, zakocham się bezgranicznie w jakimś baletmistrzu, rzucę szkołę, przetańczę młodość i jeśli nie odniosę spektakularnych sukcesów, to zostanę z niczym. Jej zdaniem bezpieczniej było rozwinąć we mnie miłość do odległego wtedy kraju, jego muzyki i kina.

O włoskim jedzeniu można było co prawda tylko pomarzyć, bo w naszych siermiężnych sklepach nie sprzedawano ani prawdziwego, robionego z grano duro spaghetti, ani włoskich serów, o grana padano nikt nie słyszał i nikt nie wiedział, jak smakuje cukinia. Cała ta kumulacja nieznanego zachęcała mnie do uczenia się słówek i wkuwania gramatyki, mimo że za nieodrobienie lekcji nic mi nie groziło.

– Zadzwońię po brata – oznajmił Alessandro.

– Zaraz zadzwoni po brata – powiedziałam do Weroniki – i jakoś nam pomogą.

– A więc jednak oprócz duchów ktoś tu mieszka – stwierdziła.

– Dokąd jedziecie? – zainteresował się nasz wybawca.

– Do Mediolanu.

Oślupiał.

– Do Mediolanu? Tędy?! Na dole jest autostrada. Wiecie to, prawda?

– No tak, wiemy!

– Jedziecie z Polski? – Popatrzył na załadowany po dach samochód, naklejone na bagażniku PL, biało-czerwoną flagę z napisem „Kocham Mazowsze” i na orzełka na tylnej szybie. (Jestem patriotką, ale to nie ja tak udekorowałam Saabinkę. Już taka była, gdy ją kupiłam, ale bałam się to wszystko zerwać, żeby nie uszkodzić lakieru).

– Właściwie to jedziemy do San Rocco di Sotto, a docelowo do Mediolanu, tylko musimy zawrócić do Austrii, na pięć minut dosłownie, i zaraz wracamy – tłumaczyłam, z każdym wypowiedzianym słowem coraz wyraźniej zdając sobie sprawę, jak bardzo to wszystko jest pokręcone.

– No tak, kobiety... O, idzie mój brat.

Jacopo był nieco niższy od Alessandra, jednak równie przystojny. Obaj mieli niebieskie oczy, bujne, nieco dłuższe, ciemne i lekko kręcone włosy. Zresztą skądś się przecież wzięło w Polsce (w średniowieczu

chyba) nazywanie Italiańców Włochami.

– Jak daleko stąd do San Rocco? – spytałam.

– Pięć i pół kilometra.

Tak niewiele brakowało, by zaspokoić naszą babską ciekawość.

Teraz jednak musimy wskoczyć do samochodu i pojechać po mój biustonosz. Panowie chwycili tył auta, podnieśli go i... po bólu.

– Odpal – polecił Alessandro.

– Ja nie palę – oburzyłam się.

– Samochód odpal. Czy wy na pewno dacie sobie radę?

– Damy, damy – zapewniłam, siadając za kierownicą. Włączyłam silnik i zamarłam: coś zawyło, zacharczało, zaryczało... o mało nie wyrwałam stacyjki, gdy próbowałam go wyłączyć.

To miało być takie proste: jedziemy, załatwiamy, wymyślamy, wracamy (albo i nie). Miało...

– Tłumik! – wykrzyknęli Alessandro i Jacopo.

– Tłumik! – wykrzyknęłyśmy ja i Weronika.

Po dziesięciu minutach dołączył do nas przejeżdżający przypadkiem sąsiad, a po chwili ojciec i Luisa, żona Jacopa wraz z dwójką ich małych dzieci, Pierem i Gaią, po których zadzwonił Alessandro.

Po piętnastu minutach przyjechała żona dyrektora lokalnej szkoły – pojęcia nie mam, jak się dowiedziała, co się dzieje, i jak zamierzała nam pomóc. Dość, że po dwudziestu minutach nasze bagaże były przepakowane do ciocinego fiata pandy sisley, niewiele większego od mojej walizki, Saabinkę ciągnął traktor, bo chyba coś było nie tak również z chłodnicą, a my z nosami na kwintę człapałyśmy za bandą tubylców, naszych wybawców.

Po przejściu kilkuset metrów stanęliśmy przed ogromnym drewnianym domem z ogromnym spadzistym dachem.

Przed dom wybiegła mama Alessandra i Jacopa. Zaprosiła nas do środka, gdzie, jak się okazało, czekał obiad składający się z czterech dań, bo dla niej, jak dla wielu Włosek, słowo „turysta” było synonimem słowa „głód”.

Ani ja, ani wiecznie głodna Weronika po jeszcze niestrawionej pizzy nie miałyśmy ochoty na makaron z gorgonzolą i orzechami,

parmigiana di melanzane, czyli zapiekankę z bakłażanów, cardi in tecia[1] i kasztany, lecz o odmowie nie było mowy.

Po obiedzie i kawie Maria zabrała nas na spacer do ogrodu, a mężczyźni wjechali Saabinką do improwizowanego garażu, bo jak się okazało, własne samochody naprawiali sami.

– A tu jest orzech – powiedziała Maria – który Ernesto posadził, gdy zaszłam w ciążę i miał się urodzić Alessandro.

Coś pięknego, pomyślałam, podziwiając wielkość włoskiego orzecha we Włoszech.

– Mam dwie hotelowe propozycje – odezwała się Weronika.
– Zadzwońmy do Austrii i poprośmy, żeby odłożyli twój... hm nasz biustonosz. Chyba nie będą grzebali w wypełniaczach... No i tutaj trzeba jakiś nocleg załatwić, bo w najlepszym razie samochód skończą naprawiać jutro w południe.

– Signora Maria, może nam pani polecić jakiś hotel?

– Dziewczyny drogie, na noc zostaniecie u nas. Najbliższy hotel jest piętnaście kilometrów stąd. I na śniadanie nie robią jajecznicy, tylko mają pakowane ciastka z hipermarketu, sama chemia i konserwanty, fuj! A wy lubicie jajecznicę, prawda?

Zrobiło mi się miło, bo wiedziałam, że przyzwyczajeni do słodkich śniadań Włosi na ogół krzywią się na myśl o naszych porannych kanapkach, a tym bardziej jajkach.

Weronice zaszklily się oczy. Ostatni raz „dziewczyną drogą” – choć w zupełnie innym kontekście – nazwała ją nasza wychowawczyni w pierwszej klasie liceum, gdy zatrzasnęła się w szatni, gamoń jeden, i gdyby nie woźny, toby w niej nocowała.

Potem musiała szybko dorosnąć. Rodzinka Rudego... nie rozwinę tej opowieści, bo bez używania brzydkich słów o tych ludziach nie da się mówić. A tu obcy nas nakarmią, dają wyrko, samochód naprawiają...

– Wiesz – Weronika przerwała moją zadumę – jedyne, czego tak naprawdę od zawsze chciałam, to rodzina. Nie tylko dzieci i normalnego troskliwego męża, ale też fajnych szwagrów, głośnych rodzinnych świąt, wspólnych wyjazdów na wakacje. Nic nadzwyczajnego.

– Kochana, rozejrzyj się. To w dzisiejszych czasach jest nadzwyczajne.

– Pamiętam, że gdy byłam dzieckiem – ciągnęła – pan Marek, sąsiad z klatki obok, przebierał się za Mikołaja i w Wigilię obchodził z workiem prezentów wszystkie mieszkania. Rety, jaką frajdę mieliśmy my, starsze, dopuszczone do tej tajemnicy dzieciaki, ukrywając wszystko przed maluchami. To był taki niepisany pierwszy „krok ku dorosłości”.

– U nas Mikołaj zostawiał otwarte okno, nigdy go nie widzieliśmy.
– Uśmiechnęłam się na to wspomnienie.

– To jest niby takie proste, naturalne, normalne. A przynajmniej powinno takie być. Ale gdy myślisz, że już będzie tak normalnie, to dostajesz od życia w pysk.

– Weruś... Niby tak, ale pomyśl, gdyby cię dziad nie zdradził i nie zostawił, najprawdopodobniej zmarnowałabyś u jego boku całe życie. A tak, kochana, masz drugą szansę, *ergo*, nie dostałaś w pysk, tylko zdarzyło się coś, co jest dla ciebie najlepsze.

Gdy wróciłyśmy do domu, Maria pokazała nam nasze sąsiadujące ze sobą pokoje. Szło się do nich długim korytarzem, którego ściany zdobiły portrety. Pewnie przodków, bo jeden z nich to był wykapany Jacopo, tylko z wąsem i trochę ulizanymi włosami, zaczesanymi na bok z przedziałkiem. Mimo robiących wrażenie rozmiarów dom był przytulny i ciepły.

– Gdybyście czegoś potrzebowały, wystarczy poprosić – powiedziała Maria i sobie poszła. Pewnie do kuchni, by nagotować kolejną furę jedzenia, bo przed nami była przecież jeszcze kolacja. A może miała dość przysłuchiwania się naszej rozmowie, z której przecież nic nie rozumiała? No tak, nie popisałyśmy się dobrymi manierami...

Czego można potrzebować, gdy na królewskich rozmiarów łożu leży mnóstwo miękkich poduszek, wykrochmalona pościel pachnie i miło szeleści, a na komodzie stoi kosz owoców i kryształowa karafka z wodą.

Pokój był mniej więcej wielkości mojego mieszkania. W rogu stał rozgrzany do czerwoności bordowy kafłowy piec.

Usiadłam na łóżku, wzięłam torebkę i zaczęłam szukać wizytówki pensjonatu. Dlaczego tak jest, że gdy masz pęk kluczy, to ten, którego szukasz, zawsze jest ostatni? Dlaczego, gdy spada kromka chleba, to

zawsze masłem do podłogi. A gdy szukasz czegoś w torebce, to zawsze znajdujesz to na samym dnie?

Gdy wreszcie wydobyłam z dna torebki pomięty kartonik, sięgnęłam po komórkę i wybrałam numer. Usłyszałam „*ja, coś tam, coś tam*” i zastanawiałam się gorączkowo, jak, do diaska, jest po angielsku „biustonosz” albo „bielizna”. Po włosku „bielizna intymna” po francusku „podtrzymywacz piersi”, a po angielsku?

– *Hi* – rzuciłam – *I was... in bathroom with bedroom. No. Sorry... in the bedroom with bathroom. A piano terra*, dodałam po włosku, bo zapomniałam, jak jest „parter” po angielsku. – *And I forget...*

– *Okay* – usłyszałam.

– Nie *okay*, kurde. *Not okay!* Mówię przecież, że *I forgot* albo *forget...*

W końcu jakoś się dogadałam. A przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

Zapukałam do pokoju Weroniki, bo chciałam omówić z nią nowy plan podróży. Weszłam, choć nie usłyszałam „proszę”, i zobaczyłam ją smacznie chrapiącą w fotelu. Cicho zamknęłam drzwi i wróciłam do siebie.

Jak możemy się tym ludziom odwdzińczyć? – zastanawiałam się. Coś im kupić? Wysłać pamiątkę, gdy wrócimy do Polski? Rzucili wszystko i zajęli się samochodem i nami, nakarmili, ugościli.

Wieść o paniusiach z dalekiego kraju, które zaparkowały w strumyku, rozeszła się w mgnieniu oka, i na kolację, oprócz rodziny, którą już zdążyliśmy poznać, przyszli również sąsiedzi.

Wieczór upłynął na przemyślnych pogawędkach o Polsce, o tym, jak ich okolica zmieniła się przez ostatnie trzydzieści lat, o tym, jak u nas zapełniły się sklepowe półki, ale niekoniecznie portmonetki, o tym, co nas łączy, a co dzieli. Im nie mieści się w głowie, że osiemnastolatka może „bez powodu” opuścić dom rodzinny, a nam, że normalny i fajny czterdziestolatek ciągle mieszka z rodzicami i dopiero planuje ożenek i wyprawę. Oni patrzą na ciebie jak na wariata, gdy mówisz, że u nas czterdziestoletni dziadek to norma, a nas zaskakuje to, że u nich prawie nie ma akademików, większość młodych studiuje, dojeżdżając z domu, ewentualnie wynajmuje coś z innymi studentami.

Nie myślałam, że można czuć się tak wspaniale w domu dopiero co poznanych ludzi.

Po kolacji musiałam pójść na spacer, żeby jakoś strawić ogromne ilości jedzenia, które zdążyłam spożyć od rana – tak naprawdę zjadłam trzy obiady! *Mamma mia!* Gdybym jadła tyle co oni, ważyłabym więcej niż najcięższy człowiek świata. Minęłam garaż i stodołę, furtkę, przez którą wchodziło się do ogrodu, ogromną palmę i rozebraną na części Saabinkę.

Delikatny wiaterek muskał mi włosy. Było tak błogo. Niebo rozjaśniały miliony gwiazd i głowę bym dała, że widziałam, jak jedna z nich spada. Oczywiście po dwóch lampkach wina i jednym Limoncello można uznać za możliwe, iż była to gwiazda, a nie samolot, więc na wszelki wypadek rzuciłam marzenie w stronę niebios.

– Lauro! – usłyszałam nagle głos Alessandra.

– Tak?

– Wracasz do Polski na piechotę czy pilnujesz samochodu?

– Bardzo śmieszne – prychnęłam. – Muszę strawić.

– Rodzinę Grandi?

– Nie was, tylko te tony jedzenia. U nas w Polsce jest śniadanie, obiad i kolacja, przy czym obiad składa się z dwóch dań, a nie z siedmiu. Zaraz pęknię! – Pogłaskałam się po brzuchu. Miałam wrażenie, że jest wielki jak balon.

– Nie przesadzaj. Same warzywa, trochę sera...

– Tylko że my jadłyśmy już po drodze. Dobra, nieważne, lepiej być przejeżdżoną niż głodną, prawda? – Spróbowałam wciągnąć brzuch, by wyglądać atrakcyjniej.

– Zdecydowanie. – Alessandro się uśmiechnął.

Był bardzo przystojny. Męski i superatrakcyjny, ubrany sportowo, w czarne bojówki i ciemnozieloną koszulkę polo. Ja jednak zastanawiałam się, jak wygląda w garniturze. Takim dobrze skrojonym, jaki tylko włoscy krawcy uszyć potrafią, ciemnoszarym, z białą koszulą i błękitnym krawatem. Hm... Ta myśl zajmowała mnie bardziej niż to, czy milionowy kupon będzie czekał na nas w Austrii. Ponoć są sprawy ważne i ważniejsze.

– Czym się zajmujesz? – zapytał.

- Jestem dziennikarką.
- Czy czeka na ciebie jakiś eksmąż, obecny mąż czy też przyszły?
Roześmiałam się.
- Tak. Wszyscy trzej. Zaraz za czesko-polską granicą.
Odwróciłam się i spojrzałam w stronę domu.
- Żartuję. Nikt na mnie nie czeka. A ty kim jesteś z zawodu?
- Adwokatem.
- Adwokatem!? – powtórzyłam zdziwiona.
- A myślałaś, że kim? Mechanikiem? No, trochę jestem, bo lubię majsterkować.
- A ty masz gdzieś ukrytą żonę?
- Nie, nie mam.
- Bo?
- Bo nie zamierzam stąd wyjeżdżać, a żadna kobieta z miasta czy nawet z miasteczka nie chce mieszkać na takim odludziu. Z kolei te, które tu mieszkają i nie są ze mną spokrewnione, cóż... mógłbym wziąć pod uwagę tylko dwie. Młodsza dziewczyna ma siedemdziesiąt sześć lat, starsza o trzy więcej.
- I co? Nie podobają ci się?
- Nie myślałem, że jesteś taka zadziorna, pani dziennikarko.
- Przecież tu jest niesamowicie pięknie! Jak można nie chcieć tu żyć?
- Dzisiejsze kobiety są wygodne. Chcą jeść śniadanie w barze, podane przez kelnera, a nie piec chleb dla całej rodziny, jak moja mama.
- Twoja mama wspaniale gotuje – powiedziałam, by zmienić temat.
- Całe życie nas rozpieszczała. Kulinarnie i nie tylko.
- Jesteście bardzo... jak by to powiedzieć... sobie bliscy. To widać.
- Takie są włoskie mamy! A włoski tata wybudował ten dom, mając nadzieję, że każdy z nas zamieszka na jednym piętrze.
Zmarszczyłam czoło.
- Mam jeszcze jednego brata, ale wróci z Rzymu dopiero pojutrze
- wyjaśnił Alessandro.
- Ach, teraz zgadzają mi się piętra! Trzech synów. Rany. Nie chcę

nawet myśleć, jak rozrabialiście, gdy byliście mali.

Alessandro się uśmiechnął i pewnie przypomniało mu się to rozrabianie i jak *mamma* Maria biegała za nimi, krzycząc, że albo osiwieje, albo oszaleje, albo jedno i drugie.

– Masz dzieci? – spytał.

– Nie.

– Bo?

– Bo czekałam na odpowiedni moment i odpowiedniego mężczyznę, ale wygląda na to, że nigdy nie znalazłam się w odpowiedniej chwili w odpowiednim miejscu z odpowiednim mężczyzną.

Gdybym poznała cię dziesięć lat wcześniej, pomyślałam, mielibyśmy trzynaścioro dzieci, a teraz pracowalibyśmy nad czternastym.

No dobrze. To skutki uboczne Limoncello, które pobudza libido.

– Uważaj – Alessandro pociągnął mnie za rękaw – tu jest...

– Tak, tak, widzę – powiedziałam i dokładnie w tym momencie poczułam, że jedną nogę mam moką do kostek. Włazłam w błoto.

– Wa mać!

– To było przekleństwo?

– Tak. I to bardzo brzydkie.

– Wracamy?

– Wracamy.

Miłą atmosferę szlag trafił – dla mojej z trudem uzyskanej równowagi emocjonalnej to może i dobrze. Gdy rozmyślałam, niezgrabnie człapiąc i wydając przy tym niemilosiernie żenujące chlup chlup, o tym, które buty założyć i jak wysuszyć ten nieszczęsny lewy mokry – bo raczej nie na dachu Saabinki – Alessandro przyglądał mi się rozbawiony, a ja, zamiast czuć się skrępowana, gapiłam się na jego ładny uśmiech, który z minuty na minutę coraz bardziej mi się podobał.

Nie mam przecież kilkunastu lat, myślałam, żeby się od pierwszego wejrzenia zakochiwać. Hm!

Zaraz po „hm” poczułam na swojej dłoni coś mokrego i ciepłego i rozdarłam pychol tak, że najprawdopodobniej słysząc mnie było w San Rocco górnym i dolnym. Zatoczyłam się i wpadłam w ramiona

Alessandra, który najpierw mnie przytulił, oczywiście niezmiernie zaskoczony, a potem wyjaśnił, że potwór, którego się wystraszyłam, to Fred, skrzyżowanie leonbergera z czymś kochanym i dużym. Poglaskałam kudłatego potwora. Serce biło mi jak oszalałe nie tylko z powodu psa. Chyba.

W drodze do domu dowiedziałam się, że Alessandro trzy dni w tygodniu pracuje w kancelarii, w której jest wspólnikiem, a raz w tygodniu na dzień lub dwa, w zależności od potrzeb, jedzie do... Mediolanu i właśnie jutro rano, podczas gdy my po naprawieniu samochodu będziemy pędziły do Austrii i bezcennego biustonosza, on ruszy do stolicy Lombardii.

*

Wzięłam prysznic. To jednak genialna sprawa łazienka w pokoju gościnnym. Komfort i prywatność. Teraz rozumiem, dlaczego gwiazdy z Hollywood kupują wille mające tyle łazienek, ile sypialni! Nikt nie stoi rano w kolejce, nikt nie czeka na wolny prysznic. Zrozumiałam też, co przeżywał mój tata, gdy w niedzielę rano na przemian – ja, Klara i mama – kąpałyśmy się (każda z godzinę), a on biedny czekał, żeby spokojnie w pięć minut przyciąć brodę przed obiadem.

Owinięta ręcznikiem wskoczyłam do łóżka, obiecując sobie, że położę się tylko na momencik, a potem przebiorę w piżamę, którą zapomniałam wyjąć z walizki. Zamknęłam oczy i... od razu wpadłam w ramiona Morfeusza.

Miałam tyle do zrobienia! Zebrać czereśnie, wydłubać pestki z tych na dzemy, resztę zalać spirytusem. Sprawdzić, czy figi dojrzały, czy szparagi już urosły. Och, koniecznie podlać cukinie! Gdy szłam po kiwi... szłam po kiwi... kiwi... usłyszałam skrzypienie otwierających się drzwi i człapanie. No tak... Alessandro. Ciekawe, czy dzieci śpią. Ile ja mam dzieci? To jedno taki sajgon robi, czy to bliźniaki? Łóżko się ugięło. Położyłam mu rękę na plecach. A jednak fajnie mieć męża.

Poczułam język na ustach i na czole, i na oczach. Błeeeeee!!!
– Fred! – wrzasnęłam.

Wystraszony kudłacz podkulił ogon i zwiął z pokoju.

*

Rano trasę pokój–kuchnia przebyłam, podążając za unoszącym się w powietrzu zapachem świeżo zaparzonej kawy. Myślałam, że Maria uraczy nas prawdziwym espresso – łyżeczka kawy, łyżeczka wody – ale ku mojej wielkiej radości na stole czekało na mnie cappuccino z pianką z ubitego parą mleka, oprószoną czekoladą.

Stwierdziłam, że bardzo mi się podoba, jak Maria prowadzi dom. Krząta się i ciągle robi coś dla innych – mogę sobie tylko wyobrazić, jakie wspaniałe dzieciństwo mieli jej synowie – ale nie ciąży jej to, wręcz przeciwnie, na jej twarzy malują się szczęście, satysfakcja i zadowolenie. I nie ma ani jednej zmarszczki! Jak ona to robi?

To był czas na drugie „hm”.

Ze szklanką soku pomarańczowego, oczywiście takiego wyciśniętego z owoców pięć minut wcześniej, opatulona w gruby wełniany sweter wyszłam przed dom i zobaczyłam Weronikę w towarzystwie Jacopa i Ernesta. Stojąc tyłem do mnie, wymachiwała rękami, jakby starała się coś wytłumaczyć.

Słońce co prawda wstało jak ja, w dobrym humorze, i od razu wzięło się do pracy (w przeciwieństwie do mnie), lecz rześkie górskie powietrze obudziło mnie skuteczniej niż kofeina.

Dopiero gdy podeszłam bliżej, zrozumiałam, że Wera niczego nie próbuje tłumaczyć, lecz uczy się gestów używanych we Włoszech: „dobre”, „głodny”, „spadaj”, „czego chcesz”, „odbiło ci”, „świetne”... Można z tego ułożyć całą choreografię.

– *Buon giorno* – powiedziałam, obejmując przyjaciółkę i dając jej porannego buziaka w policzek. – Wy już po śniadaniu?

– Oczywiście. Wstaliśmy o piątej, żeby naprawić wasz samochód – odpowiedział Ernesto.

– Nie żebyśmy chcieli się was jak najszybciej pozbyć, jednak z tego, co mówił Alessandro, wynikało, że wam się spieszy – dodał Jacopo.

Rozglądałam się w nadziei, że zobaczę gdzieś Alessandra, dowiedziałam się jednak, że wstał wcześniej i pojechał do pracy.


No szkoda...

*

Rodzina Grandich żegnała nas, machając energicznie, dopóki nie zniknęliśmy za zakrętem. Dostałyśmy prowiant na drogę i dwa haftowane obrusy na pamiątkę. Gdybyśmy jeszcze kiedyś były w okolicy, serdecznie nas zapraszają, co oczywiście było miłe, ale niby pod jakim pretekstem miałybyśmy się pojawić? Przyjechać po odebraniu pieniędzy i zakrzyknąć: „Hej! Jesteśmy! Na jak długo nas tu chcecie?!”.

Chętnie spędziłabym z nimi trochę czasu, bo jakoś dziwnie mnie do nich ciągnęło. Myślałam o Alessandrze. Do niego też mnie ciągnęło. Oprócz wysłania swojego psa do mojego łóżka w środku nocy mógłby zrobić coś jeszcze, no, ale nie zrobił. Hm... Nawet się nie pożegnał, tylko po cichu wyjechał. Widocznie naoglądałam się za dużo komedii romantycznych...

III „OWSZEM” ZNACZY „NIE”!

- 
- Matko Boska! – wrzasnęłam tuż za granicą Veneto/Friuli.
 - Tylko mi nie mów, że zostawiłaś u nich dowód rejestracyjny albo prawo jazdy, bo tym razem cię zamorduję!
 - Nie. Patrz! – wskazałam lusterko.
 - Ktoś nas śledzi?
 - Nikt nas nie śledzi, ale zobacz, mam siwy włos!
 - Daj spokój, wystraszyłaś mnie. Siwy włos. Też mi tragedia. Ja miałam pierwszy jeszcze przed trzydziestką.
 - Nie dziwię się – mruknęłam, mając na myśli jej małżonka i jego rodzinę.

Słowa „ktoś nas śledzi” uświadomiły mi, jak bardzo będziemy musiały teraz uważać. Nie tylko, żeby Rudy i jego rodzicielka nigdy nie dowiedzieli się o wygranej. Ludzie potrafią zabić dla paru groszy, a co dopiero dla takiej fortuny.

Kolejnym powodem, dla którego sprawa koniecznie powinna pozostać między mną a Werą, jest to, że dopóki ktoś cię lubi, szanuje, kocha, bo „ty to ty”, wiesz, że te uczucia naprawdę dotyczą ciebie. Gdyby Rudy dowiedział się o wygranej i chciał do Wery wrócić, to raczej trudno byłoby uwierzyć w szczerą intencję. To oczywiście odnosiło się nie tylko do Rudego. Każda osoba, która wiedziałaby o naszych pieniądzach, od razu byłaby podejrzana.

Obie zdawałyśmy sobie sprawę, że jedynym rozwiązaniem jest zmiana otoczenia. Przeprowadzka. Nie miałyśmy jednak pomysłu, dokąd by tu wyjechać. Już niedługo odbierzemy pieniądze, będziemy miały na koncie kwotę z długim szeregiem zer, ale za to zero pojęcia, co ze sobą zrobić.

Cała ta sytuacja sprawiła, że uświadomiłam sobie jedną rzecz: już dawno temu przestałam marzyć. To straszne! Kiedyś miałam cel: pracować w redakcji pisma modowego. Stop. Kupić mieszkanie. Stop.

No niby pracuję w piśmie modowym... Karen Blixen napisała

kiedyś, że bogowie, chcąc nas ukarać, spełniają nasze prośby.

No niby mam mieszkanie, ale jakoś nie czuję się z tego powodu szczęśliwa i spełniona.

Pamiętam, jak się wprowadziłam. Na parapetowie było około dziesięciu najbliższych mi osób, mniej lub bardziej dyskretnie zastanawiających się, po co mi takie duże mieszkanie. U nas duże mieszkanie to niewiele ponad pięćdziesiąt metrów, plus cztery metry balkonu. Apartament po prostu! Hacjenda! Parapetowa była prawdziwą parapetową, bo przygotowane dania ze względu na brak stołu stały na parapecie. Przez pierwszy miesiąc umeblowanie stanowiły przywieziona z domku letniskowego rodziców trzeszcząca kanapa, dmuchany materac, stół w kuchni z odpadającą jedną nogą i dwa krzesła. Plus góra kartonów i kilka wiszących na klamkach wieszaków z ubraniami. Potem rodzice wrócili z urlopu i poratowali mnie gotówką, więc mogłam kupić kilka niezbędnych rzeczy, do których należały szafa i łóżko. Później jakoś samo poleciało i teraz nie mam jak się ruszyć. Nie wiem, ani skąd, ani kiedy to wszystko się u mnie znalazło. Niestety, mój mieszkaniowy entuzjazm wyparował, gdy kupiłam ponoć antyczną, rzeźbioną, dębową ławę, która nie chciała się nigdzie zmieścić. To, co kiedyś było cudem – moje ciasne, ale własne M-ileś – dziś jest normalnością.

Co mnie teraz czeka? Co prawda być może nie będę już musiała wyglądać z utęsknieniem emerytury, na którą zgodnie z planami rządzących nami polityków przejdę w wieku osiemdziesięciu pięciu lat i dostanę sto dwadzieścia złotych miesięcznie, od której to sumy będę musiała zapłacić podatek dwie stowy plus VAT. Ale gdzie podziały się moje marzenia? Kiedy o nich zapomniałam?

Nawet tego nie pamiętam.

Pewne jest, że nie mam jakiegoś wyjątkowego parcia na związek czy tym bardziej rodzinę, bo gdy kobieta naprawdę chce potomstwa, a nie ma szczęścia w miłości, to albo zachodzi w ciążę „przypadkiem”, albo wiąże się z byle kim. Ja chciałam wszystko albo nic. Chciałam czuć się bezpieczna finansowo, bo paraliżował mnie strach, że coś się stanie, a ja nie będę mogła zapłacić za buty dla dziecka, ortodontę czy korepetycje.

Mój mężczyzna miał być facetem, a nie fujarą. Problem z polskimi

mężczyznami jest jednak taki, że są za szybcy: zakładają rodziny na/zaraz po studiach. Dość szybko się rozwodzą, albo i nie. Czasem dorosną i zaczynają być interesujący... ale mają ogon, a niekiedy i dwa, jak na przykład mój przyjaciel z Łodzi, Stasio, właściciel antykwariatu. Mając niespełna czterdzieści trzy lata, dorobił się trójki dzieci, dwóch ekszon i jednej przyszłej małżonki już przebierającej nogami, żeby pędzić do ołtarza.

Znalezienie kawalera czterdziestolatka graniczy z cudem, chyba że zadowolimy się kimś sentymentalnie i emocjonalnie ubezwłasnowolnionym, na przykład synkiem mamusi, tudzież ekstremalnie popapranym

Włochy pod tym względem są rajem. Adwokatów, lekarzy, rzemieślników, sprzedawców, leniwców czy niespełnionych artystów, ale trzydziesto–czterdziestolatków singli w tym kraju jest mnóstwo. Pozostaje pytanie: skoro tak, to dlaczego, mimo że regularnie odwiedzam ten kraj, żaden z nich nie...

– W prawo, skręć w prawo – powiedziała Weronika, wrywając mnie z zadumy. – Na nawigacji masz ustawione centrum miasta, a pensjonat jest tam, zaraz za tym skrzyżowaniem.

– Co racja, to racja.

Zaparkowałam przed naszym hotelikiem i dopiero teraz dopadł mnie ogromny stres. A jeśli kuponu nie będzie? Nawet nie mogę powiedzieć, że moi potomkowie do szesnastego pokolenia włącznie będą oddawali dzieciom i wnukom Weroniki pieniądze, które tak głupio straciłam. Przeszłam przez pustą o tej godzinie restaurację i na nogach jak z waty stanęłam przy ladzie recepcji. Czekałam, aż podejdzie do mnie właścicielka. To były chyba najdłuższe sekundy mojego życia.

– Halo – usłyszałam za plecami.

– Ja dzwoniłam – powiedziałam łamanym angielskim, bo nerwy odebrały mi chyba zdolności lingwistyczne, odwracając się i pokazując jednocześnie „ja, ty, telefon” – bo zostawiłam tu... w łazience – pokazałam „szzzz prysznic” i pokój. Dodałam słowo *intym* – dla jasności, że chodzi o biustonosz.

– *Ja. Okay. No problem!* – usłyszałam od uśmiechniętej właścicielki, która stanęła za blatem, wsunęła pod niego rękę

i z rozmachem wyjęła... pudełko tampaxów.

Zdębiałam.

– Nie! – krzyknęłam po chwili, zastanawiając się, której części mojej przecież klarownej wypowiedzi nie zrozumiała.

– Biu-sto-nosz – przesyłabizowałam po polsku, jakby to mogło pomóc jej w zrozumieniu tego, co mówię. Na wszelki wypadek pokazałam swój biust, chwyciłam ją za rękę, drugą ręką wykonałam międzynarodowe „chodź!” i wzięłam z szafki klucz do naszego pokoju. Dopiero teraz zauważyłam Weronikę, która przypatrywała się moim wyczynom.

– Ona oskarży cię o molestowanie seksualne, kamery to potwierdzą i zamiast w zamku zamieszkas w celi – usłyszałam.

Weszliśmy do pokoju, a ja od razu pobiegłam do łazienki. Biustonosz powinien leżeć na parapecie, ale nie leżał. No tak, zdążyli posprzątać.

Właścicielka rozumiała, że nie dostałam okresu i nie chcę się wykapać, tylko czegoś szukam. Wyszła i po chwili wróciła z drugą kobietą, podobną do niej, tylko nieco wyższą. Gadały jak nakręcone, a ta druga zawzięcie kręciła głową. Jedyne, co w gąszczu słów rozumiałam, to *nein*. Tylko *nein* co?!

Przecież nie mogłam zgubić biustonosza po drodze, myślałam, wkraczając w stan przedzawałowy.

Nagle coś mnie tknęło. Odsunęłam kosz na śmieci i zobaczyłam wystające pod szafki białe ramiączko. Uff! Co za ulga! Mało nie pisnęłam „hurrrrraaaa”!

Ja i Weronika padłyśmy sobie w ramiona.

– Mamy go, mamy go! – śpiewałam, podskakując.

Na ziemię sprowadziły nas dopiero poważno-zdziwione miny właścicielek.

– To mój naj-droż-szy biu-sto-nosz, *very* ekspensyw – wyjaśniłam, by choć trochę się wytłumaczyć i nie wyjść na kompletną idiotkę.

Wsiadłyśmy do samochodu, wjechałam w leśną ścieżkę jakieś czterysta metrów dalej i zatrzymałyśmy się, by dyskretnie, z dala od ludzi sprawdzić, czy na pewno mamy nasz kupon.

– Jezus Maria! Nie ma! – krzyknęła Weronika, wyciągając

poduszczkę z biustonosza.

– Jak to nie ma?! Musi być!

– Nie ma, sama zobacz. Może ona zauważyła ten biustonosz, gdy sprzątała, i go znalazła, znaczy nasz kupon... a gdy zadzwoniłaś, podrzuciła pusty pod szafkę?

Wzięłam do ręki koronkowy biały biustonosz mojej ulubionej marki. Sprawdziłam drugą miseczkę. Pusto. Kuuurna! Jak to pusto? No jak, do ciężkiej, jasny gwint, cholery, pusto?!

– Nie wierzę. Co teraz?

Weronika siedziała jak kamienny posąg.

Paradoks. Żadna z nas nie wie, czego chce – jak mieszkać, gdzie mieszkać, co robić, czego nie robić – ale teraz, gdy zgubiłyśmy kupon, świat nam się zawalił.

I wtedy znowu coś mnie tknęło. Widać miałam dobry dzień.

Zacęłam nerwowo ściągać granatowy sweter.

– Pomóż mi – stęknęłam. – Trzymaj rękaw.

– Co ty robisz? Gorąco ci się zrobiło? Słabo ci?

Nie chciałam tracić czasu na rozpinanie guzików koszuli, więc ściągnęłam ją przez głowę, a guziki pryskały na wszystkie strony. Pod nią miałam czerwoną koszulkę. Wyszarpałam ją ze spodni i zadarłam.

Weronika patrzyła na mnie z otwartą buzią.

Włożyłam rękę do biustonosza i z triumfalną miną wyciągnęłam... paperek wart ponad siedemnaście milionów euro.

Siedziałam tak z cyckami na wierzchu, zgrzana i spocona, i myślałam, że cokolwiek sądzi przeciętny Kowalski, Smith czy Rossi, w życiu naprawdę wszystko jest możliwe.

Weronika zaczęła piszczeć, a grupa leśników, którzy spadli chyba z nieba, gwizdać. Na mój widok oczywiście.

– Od gubienia jesteś ty. Ja jestem od pilnowania – zaznaczyłam.

Zupełnie zapomniałam, że zanim weszłam do jacuzzi, przełożyłam kupon do drugiego biustonosza. Więc jednak jestem przezorna i bardzo ogarnięta!

*

Wjechałyśmy na autostradę. Ponieważ było czwartkowe

popołudnie, postanowiłyśmy pojechać na weekend nad jezioro Garda. Zatrzymamy się tam na noc, a rano ruszymy do Desenzano. Stamtąd będziemy miały w miarę blisko do Mediolanu – zdecydowałyśmy, że wyruszymy tam w poniedziałek rano.

Lago di Garda – jezioro otoczone górami. Łańcuch malowniczych i jakże romantycznych miejscowości ze średniowiecznymi budowlami, świetnymi restauracjami na każdą kieszeń, a wszystko to blisko Werony, którą odwiedzimy już jako milionerki. W Desenzano stoi hotel Bonotto, oczywiście z widokiem na jezioro, którego właścicielem jest pochodzący z hotelarskiej rodziny przesympatyczny Emanuele. Co mnie zaskoczyło, to to, że w hotelu na całym jednym piętrze w pokojach nie ma dywanów czy wykładzin, by osoby podróżujące ze zwierzętami mogły czuć się komfortowo.

O osiemnastej trzydzieści byliśmy w okolicach Treviso i zaczęłyśmy rozglądać się za noclegiem. Wtedy moja przyjaciółka, pani magister geografii przecież, wpadła na genialny pomysł: przecież prawie po drodze mamy Wenecję! *Serenissima!* Najczarowniejsze miasto świata! Jak można go nie odwiedzić? Postanowiłyśmy, że pojedziemy tam rano.

Zatrzymałyśmy się w przydrożnym niedrogim hotelu. Postanowiłyśmy zaoszczędzić na spaniu, by zaszaleć na kolacji. Kilka lat temu mój przyjaciel zabrał mnie do kultowej restauracji, otwartej prawie sto lat temu, gdzie wystrój i menu nie uległy presji czasu: All'Oca Bianca, czyli Pod Białą Gęsią.

Nigdzie nie robią tak dobrej radicchio e fagioli jak tu. Radicchio di Treviso to gatunek czerwonej cykorii. Choć samo radicchio rośnie w całych Włoszech, ta odmiana jest tylko tutaj, od pozostałych różni się smakiem i kształtem. Rolnicy płuczą cykorię w przepływającej przez centrum Treviso rzece Sile i twierdzą, że to dzięki jej oligomineralnym walorom jest chrupiąca i delikatnie słodka. Zbiór zaczyna się w listopadzie, a kończy w styczniu. Można ją grillować, dodawać do risotta, makaronu, a nawet robić z niej grappę. Moim ulubionym przysmakiem jest radicchio e fagioli, czyli cykoria z kremem z fasoli. Palce lizać!

– Pycha – sapnęła Weronika, wcinając drugi talerz, ku uciesze

właścicielei trattorii.

– Gdzie jak gdzie, ale we Włoszech ze mną nie zginiesz i z głodu nie umrzesz – powiedziałam zadowolona.

*

Rano obudziło nas wesoło zagładające do pokoju słońce.

Pierwsza poszłam pod prysznic, bo Weronika chciała jeszcze trochę poleżeć. Gdy skończyłam się kąpać, poprosiła mnie, bym na moment usiadła.

– Lauro, musimy zacząć myśleć poważnie – zaczęła. – Ja oczywiście nie chcę roztrwonić tej fortuny, ale coś przecież musimy zrobić, coś kupić, zainwestować... Nie zamierzam wydać wszystkiego, zresztą chyba nie da się wydać takiej kwoty, ale jakąś część to spokojnie.

– Wiem. Z tobą sprawa jest prosta, ty zawsze marzyłaś, by podróżować. A ja, gamoń, nie wiem, czego chcę. Bo w końcu ile mogę sobie kupić torebek i butów?

– Ty chciałaś pisać – przypomniała mi Weronika.

– Ja chciałam pisać – powtórzyłam jak echo. – To prawda... chciałam pisać! Jak mogłam o tym zapomnieć?!

– Kochana, widzę, że ciągle do nas nie dociera, co się stało. Układamy sobie dzień po dniu, a tu trzeba złapać szerszą perspektywę, rozumiesz?

– Werka, porozmawiamy przy śniadaniu, dobrze?

– Dobra. Biegnę do łazienki. Masz jakąś odżywkę do włosów?

– Jest na umywalce. Taka bez spłukiwania.

Nie czekając na Weronikę, zesłam na dół. Zamówiłam dla nas obu cafe latte i sok pomarańczowy. Wykorzystując działające tylko w holu i restauracji wi-fi wzięłam telefon i surfowałam po internecie, sprawdzając newsy. Wera dołączyła do mnie kilka minut później.

– Mam taką propozycję – powiedziałam, biorąc drożdżówkę.

– Włosi mówią, że „nie wkłada się wszystkich jajek do jednego koszyka”. Założymy więc pięć kont w pięciu różnych bankach. Do trzech przelejemy po dwa miliony euro i założymy lokatę, na czwarte konto damy milion, też zablokujemy, a na ostatnie resztę. Jeśli lokata będzie oprocentowana na trzy procent w skali roku, to dostaniemy ponad

pięćdziesiąt tysięcy euro, czyli jakieś cztery tysiące miesięcznie.

– Osiem tysięcy złotych? – Weronika do tej pory przyzwyczajona do niedużej nauczycielskiej pensji i pazernego męża aż rozpromieniła się na myśl o tym, co można za to kupić.

– Nie osiem, tylko szesnaście – poprawiłam ją.

– Osiem ty, osiem ja. Zaczynam rozumieć sens powiedzenia „pieniądz robi pieniądz”. To ostatnie konto to jest to, którego będziemy używały na co dzień?

– Tak. Na nim też co noc zablokujemy jakąś kwotę. Osiem czy ileś milionów. Oprocentowanie jest niższe, ale pieniądze są dostępne od rana do wieczora.

– Podoba mi się takie rozwiązanie. Dzięki! O rety! Zupełnie zapomniałam! – wykrzyknęła Weronika i zaczęła szukać czegoś w torebce. – Cholercia, przecież miałam – mamrotała. Upiła łyk soku i wydobyła portmonetkę, kosmetyczkę, notes, ładowarkę do telefonu, latarkę, lakier do paznokci, klej Kropelkę, klucze, paszport i jakąś kartkę

Wyglądała jak siostra Mary Poppins albo Mama Muminka.

– Jest!

– Co jest? – zapytałam, patrząc na kartkę. – Przecież kupon mam ja!

– To jest coś, co sądząc po tym, jak spuściłaś nos na kwintę, gdy wyjeżdżałyśmy od Grandich, chyba będzie miało dla ciebie tak wielką wartość jak kupon.

Zaintrygowana wzięłam od niej kartkę, rozłożyłam i przeczytałam:

Biorąc pod uwagę Twój talent do pakowania się w różne kłopoty, pamiętaj:

– Wjedziesz do morza, wpadniesz do cysterny z mlekiem, zgubisz się w lesie lub zmalujesz cokolwiek innego, najpierw dzwonisz pod 112, a zaraz potem pod 348558210.

– Ktoś zaczepia Cię w barze, nieznany mężczyzna oferuje lampkę wina, fryzjer schrzanił pasemka – dzwonisz pod 348558210.

– Masz ochotę porozmawiać, dzwonisz pod 348558210.

Alessandro

Uśmiechnęłam się i oblałam rumieńcem.

– Wyglądasz, jakbyś wygrała los na loterii – zauważyła Weronika.

- Kiedy ci to dał?
 - Wczoraj rano, gdy jeszcze spałaś.
- Hm...

*

Otwarcie kont poszło nam ekspresowo. W każdym z banków prosiłam dyrektora, mówiłam o dużej kwocie, która zostanie przelana, i że wrócimy, gdy pieniądze już będą, by podpisać dokumenty dotyczące lokat lub innych ewentualnych papierów wartościowych. Oni chyba nie zdawali sobie sprawy, jaki ogrom pieniędzy mam na myśli, biorąc pod uwagę to, że Treviso od zawsze było, jest i pewnie zawsze będzie jedną z najbogatszych włoskich prowincji, z okazałą grupą milionerów, przedsiębiorców na naprawdę dużą skalę, może tu nasze siedemnaście milionów wygląda bladziutko? – myślałam. A tak się martwiłyśmy, jak ukryć naszą fortunę. Najciemniej jest przecież pod latarnią.

Do Wenecji postanowiłyśmy pojechać pociągiem. Tak jest taniej i wygodniej: bilet kosztuje nieporównywalnie mniej niż postój na kilkupiętrowym i jedynym parkingu przy wjeździe do miasta. Zostawiłyśmy więc samochód przed hotelem, uprzedzając, że odbierzemy go po południu.

Godzinę później siedziałyśmy w jednej z najpiękniejszych i najstarszych kawiarni na świecie, Florian, otwartej 29 grudnia 1720 roku. Bywali tu Casanova i Canaletto, Goldoni, Byron, Dickens, Goethe... A teraz Werka i ja obsłużone przez kelnera ubranego w białą marynarkę popijałyśmy kawę i podziwiałymy zarówno lokal, jak i plac Świętego Marka. W kawiarni znajduje się kilka sal tematycznych – między innymi Senatu, Orientalna czy La Sala degli Uomini Illustri (Sala Ważnych Ludzi). Każda jest inna, ale w każdej jest bogato zdobiony sufit, a na ścianach wiszą piękne obrazy. W tej ostatniej znajdują się portrety dziesięciu najważniejszych Wenecjan, takich jak Marco Polo, Tycjan czy Palladio. Czułam się niczym księżniczka. Korzystając z darmowego wi-fi, weszłam do internetu na stronę SISAL, czyli włoskiego monopolu gier. Klik tu, klik tam... *Pieniądze wypłacane są sześćdziesiąt jeden dni od losowania, na odebranie nagrody zwycięzca ma dziewięćdziesiąt dni. Potem wygrana przepada.* O, fajnie!

A więc dostaniemy je od ręki. Od ręki?! Wszystkie?! *Mamma mia!*

Na odebranie nagrody zwycięzca ma dziewięćdziesiąt dni. Potem wygrana przepada. Trzeba być nieprzeciętnym gamoniem, żeby wygrać i nie odebrać, pomyślałam. A jednak to się zdarza.

– Weroniko, a kiedy ty grałaś w tego włoskiego lotka? – spytałam.

– Gdy byłam we Włoszech – odpowiedziała inteligentnie

Weronika.

– No, to wiem! Ale kiedy! Pamiętasz? Nie będę tu kuponu wyciągała.

– W sierpniu jakoś.

– Jakoś na początku czy jakoś na końcu?

– Na początku, bo po dziesiątym musiałam być w szkole na poprawkach.

– *Na odebranie nagrody* – przeczytałam tym razem na głos – *zwycięzca ma dziewięćdziesiąt dni. Potem wygrana przepada.*

– Pamiętam, że to był czwartek, bo w piątek miałam samolot.

Pierwszy czwartek miesiąca był siódmego – powiedziała, sprawdzając w kalendarzu.

– Ja pierdołę, to było wczoraj! – wrzasnęłam.

– Jak to wczoraj!?

– No wczoraj! Byłyśmy milionerkami do wczoraj. Przepadło.

Wszystko przepadło!

– Pokaż cycki – zażądała Weronika.

Pobiegłam do toalety i sprawdziłam datę: 7.08. 2014 jak byk. Przeliczyłyśmy te cholerne dziewięćdziesiąt dni raz jeszcze, biegnąc do pociągu, i wyszło nam, że to dzisiaj!

– Damy radę – wydyszałam. – Jeśli w Mediolanie nie będzie korków, to damy radę!

Gdybym nie zgubiła kuponu, pieniądze już byłyby nasze. A tak...

– Mam plan – oznajmiłam. – Nie ma sensu tracić czasu na powrót do Treviso, a w Mediolanie mogą być korki. Możemy pojechać pociągiem. Wtedy, jak dobrze pójdzie, będziemy na miejscu koło piętnastej. Biuro otwarte jest do osiemnastej, więc zdążymy bez problemu!

– To jest myśl – powiedziała Weronika. – Bywasz genialna.

Rzadko, ale bywasz, wiesz?

– Taaaa...

– A poważnie: co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Poważnie, to zostaniemy na noc jakieś trzysta kilometrów od Saabinki i szczoteczki do zębów – zauważyłam. – Ale o tym będziemy myślały później.

– Będziemy milionerkami, więc kupimy sobie szczoteczki. I pastę!

– Tak. Milionerkami...

*

Pociąg pędził, a ja pogrążyłam się w rozmyślaniach.

Pierwszy poważniejszy związek miałam w liceum. On: grający na gitarze harcerz. Był ode mnie o rok starszy. Zakochana po uszy, marzyłam o wspólnym wyjeździe na Mazury. Skończyło się na wypadzie do Nowego Dworu Mazowieckiego, żeglowaniu po trzech znajdujących się tu rzekach: Wkrze, Narwi i Wiśle, a nie po tysiącu jezior. Wtedy to wyciągnęłam bolesny dla mnie wniosek, że jego wyjazd na studia jest przeszkodą nie do pokonania. I tak nasza wielka miłość umarła śmiercią naturalną.

Po kilku latach przeżytych bez szybszego bicia serca poznałam Rafała. Imponował mi znajomością japońskiego oraz tym, że chwili nie usiadł spokojnie. Ciągle musiał coś robić. Uprawiał jogging, co czwartek grał z kolegami w piłkę nożną. I miało być tak pięknie... Po kilku miesiącach nasz związek stał się toksyczny, bo Rafał był chorobliwie zazdrosny. Na początku bardzo mi to schlebiało, jednak gdy włamał się na moją służbową skrzynkę e-mailową, czał się za śmietnikiem, by sprawdzić, czy naprawdę idę na zakupy z mamą, i zrobił mi awanturę, bo wpuściłam do domu listonosza, ogarnęłam myśli i siebie, związek zakończyłam, ale męczyłam się z nim jeszcze przez kilka miesięcy. Nachodził mnie w pracy, śpiewał pod oknami, śledził. Policja nie robiła nic, bo gdy ktoś mówi, że cię kocha, to nie łamie prawa. Nawet jeśli mówi ci to, wysyłając jednego dnia czterysta SMS-ów: *Jesteś tylko moja*.

Po zakończeniu beznadziejnej, zahaczającej o stalking historii, bezgranicznie zakochałam się w mieszkającym za oceanem piosenkarzu

Richardzie Marksie, doszłam bowiem do wniosku, że miłość na odległość jest o wiele bezpieczniejsza. Był daleko, nie pisał, nie dzwonił, nie kontrolował. Nie wiedział też o moim istnieniu, ale nie bądźmy drobiazgowi. Już miałam w planie odezwać się do niego, wysłać mu kartkę czy coś (internetu, a więc ani e-maili, ani Facebooka wtedy nie było), ale gdzieś przeczytałam, że spotyka się z aktorką z *Dirty Dancing*, tą długonogą blondynką, która uczyła Baby tańczyć. Obiektywnie nie miałam szans. Odpuściłam. Ostatnio sprawdzając, co tam u niego słychać, dowiedziałam się, że po dwudziestu kilku latach się rozwodzą. Trochę szkoda, ale nie zamierzam go pocieszać.

Ostatnia moja dłuższa niż niezobowiązująca historia – Lucjan, dla przyjaciół Lucek. Był miły i dobry, czuły i troskliwy. Dbał o wszystkich, tylko nie o siebie, i na każdym kroku pozwalał się wykorzystywać. Altruizm jest dobry, empatia konieczna, lecz naiwność połączona z jednym i drugim niewskazana. Ze względu na szacunek, jaki do niego żywię, żenujące szczegóły przemilczę.

*

Stazione Centrale, czyli dworzec główny w Mediolanie, robi wrażenie. Jest ogromny, ma przeszklony sufit i marmurową podłogę. Dziennie przyjeżdża tu około sześciuset pociągów przewożących ponad trzysta tysięcy pasażerów, co w skali roku daje zawrotną liczbę: sto dwadzieścia milionów osób.

Decyzja, żeby jechać pociągiem, była lepsza niż dobra. Okazało się, że biuro, do którego musimy się udać, oddalone jest od stacji około kwadransa spacerkiem lub kilka minut taksówką czy metrem.

Zdecydowałyśmy w nowe życie wkroczyć na piechotę. Świadomie i szybkim krokiem, bo wyglądało na to, że w powietrzu wisi burza.

Lepiej niż stukot naszych obcasów słychać było bicie naszych serc.

Gdy dotarłyśmy na miejsce, okazało się, że odebranie milionów euro to wbrew pozorom szybka i prosta sprawa, jeśli oczywiście wcześniej skreśliło się sześć odpowiednich liczb.

Powiedziałam pani w okienku, że mam kupon, ona oczywiście chciała go zobaczyć, poszłam więc do toalety i wyciągnęłam go z biustonoszowego sejfu. Gdy wzięła go do ręki, odwróciła się do kolegi

z biura i oznajmiła, że przegrał zakład.

Ponieważ na odbiór wygranej miałyśmy jeszcze tylko dwie godziny, pracownicy SISAL obstawiali (albo tylko tak żartowali), czy pieniądze zostaną odebrane, czy też nie. Otworzono przed nami drzwi, pogratulowano po raz pierwszy i poproszono, żebyśmy momencik poczekały w towarzystwie uśmiechającego się do nas ochroniarza. Na korytarzu, gdzie stałyśmy, była maszyna podobna do bankomatu, przez którą został przepuszczony nasz kupon w celu weryfikacji. Zachrumkało, zadzwoniło, na ekranie pojawił się napis *Congratulazioni, hai vinto*, „Gratulacje, wygrałaś” – inaczej mówiąc, oficjalne stało się oficjalne. Mamy główną wygraną.

Pani, która przedstawiła się jako Vanessa, zaprosiła nas do przeszklonego biura. Na wprost ściany ze szkła było okno. Na środku stało dość duże biurko, dwa krzesła, wieszak, a po prawej szafy, na stoliku duża pokojowa palma. Vanessa zasunęła rolety i poprosiła, żebyśmy usiadły.

- Podekscytowane? – zapytała.
- Bardziej niż bardzo!
- To normalne...
- Skąd jesteście?
- Z Polski.
- Z Polski?! Ale mieszkacie tutaj?
- Nie, nie! W Polsce.
- Interesujące. Byłam w Polsce. Lubię pierogi – powiedziała.
- Pani lubi pierogi – przetłumaczyłam Weronice.
- My też! – wykrzyknęłyśmy.
- A więc, która z pań wygrała?
- Właściwie to obie! – wykrzyknęłyśmy jednocześnie.
- Wygrałyście, gdy byłyście tu na wakacjach lub służbowo?
- Ani jedno, ani drugie – odrzekłam tajemniczo.
- Ja zawsze mówię, że co komu pisane, to nieważne, jak i kiedy, i gdzie – spełni się, i tyle. Są ludzie, którzy grają od trzydziestu lat i tylko trójkę od czasu do czasu trafią, jak moja mama, a są osoby, które przyjadą do Włoch, kupią jeden los, i o! Usiądźcie, zapraszam. I poproszę dowód którejś z pań. – Werka podała jej swój, a Vanessa

spisywała dane i nie przestawała nawijać. – No, nie powiem, żeby moja mama miała szczęście w miłości – dodała. – Tak się mówi we Włoszech, że albo ma się w miłości szczęście, albo w grach.

– U nas też tak się mówi – powiedziałam.

– Wiecie, bo ja kocham mojego tatę i życie bym za niego oddała – położyła rękę na sercu, jakby chciała być bardziej wiarygodna – ale gdybym miała takiego męża, tobym go pewnie po godzinie pogoniła. To mężczyzna starego typu – trajkotała – on siedzi sobie wygodnie i trzeba koło niego skakać. Jajka nawet nie potrafi ugotować! Nawet filiżanki po kawie do zlewu nie wstawi. Rozumiem, dopóki pracował i na rodzinę zarabiał, ale teraz, gdy jest na emeryturze?! Mężczyźni... – Machnęła ręką. – A jak już coś robi, to dramat! Ja nie wiem, czy on tak specjalnie, żeby niczego od niego nie wymagać?

– Możliwe – mruknęłam.

– Coś wam opowiem: moja mama była miesiąc w szpitalu. Jakies babskie sprawy. Tata został sam, więc stołował się albo u mnie, albo u siostry, albo w restauracji. Wreszcie mamę wypisują, on pierwszy raz posprzątał sam w domu i po nią pojechał. Mama stanęła w progu. Podłoga błyszczy i pięknie pachnie, mama wchodzi, bum – leży jak długa. Złamała obojczyk.

– O rety! – sapnęłam.

– No to pojechali do szpitala, tylko na inne piętro, założyli jej gips, lekarz pyta, to się stało, mama opowiada, pytają tatę, czym tę podłogę mył, a on, że nie mył, tylko czyścił. Użył pronto. Takie do mebli, w sprayu.

– Nie wierzę! Wygląda więc na to, że my dwie mamy szczęście i w miłości, i w grach – stwierdziłam, podając dowód i dokumenty otwarcia kont we włoskich bankach.

– Czy chce pani... czy chcecie panie – poprawiła się Vanessa, widząc, że Weronika ma dostęp do wszystkich „moich” kont – skorzystać z porad naszego doradcy? Usługa jest darmowa.

– Jak to wygląda? – spytałam.

To jest bardzo interesujące! Z badań, jakie przeprowadzono w USA i Wielkiej Brytanii, wynika, że ponad osiemdziesiąt procent szczęśliwców, którzy wygrali sumy większe niż milion dolarów (czy też

odpowiednik tej sumy w euro), traci fortunę w ciągu (szok!) niespełna dziesięciu lat. Może inaczej: po dziesięciu latach nie ma śladu po wygranej. Niektórzy przepuszczają majątek w rok, inni w kilka lat. Są depresje, samobójstwa, powroty do poprzedniej pracy, rozwody i zniknięcia. Kilka osób mieszka na ulicy. Tylko niewielki procent loteryjnych farciarzy utrzymał całą kwotę, na przykład żyjąc lepiej niż dobrze z samych odsetek. Tych, którzy mieli jakiś sensowny pomysł i pomnożyli majątek, było bardzo niewielu.

We Włoszech przeprowadzenie podobnych badań byłoby trudne, a wręcz niemożliwe, bo ze względu na prawo do prywatności – dotyczące również wygranych na loteriach – dziennikarze i naukowcy nie mają dostępu do osób, które stały się milionerami z dnia na dzień.

W Anglii i Irlandii wygląda to tak: każdy, kto wygra, może zdecydować, czy pozostanie anonimowy, czy też pokaże się światu. Jeśli wybrana zostanie ta druga opcja, loterie nie dokonują przelewu w tajemnicy, tylko wręczają czek szczęśliwcowi, a jego twarz, imię i nazwisko można zobaczyć w lokalnej prasie i ogólnokrajowej telewizji. Dotarcie do takich osób jest więc bardzo łatwe. W Ameryce natomiast opcję anonimowości można wybrać tylko w niektórych stanach. W innych trzeba się ujawnić – do tego zobowiązuje regulamin gry. Szok. Wujek Google przecież pomaga. Nie wiem, jak to się ma do bezpieczeństwa, do mafiosów z Sycylii czy chłopaków z Wołomina.

We Włoszech i w Polsce jest zupełnie inaczej.

Włosi wyciągnęli wnioski z badań (*chapeau bas!*) i wyznaczyli kilku ekspertów inwestycyjnych, adwokatów – czyli osoby, które podobnie jak ksiądz i lekarz zobowiązane są do przestrzegania tajemnicy zawodowej – by doradzali w kwestii zarządzania wygranymi pieniędzmi.

Świetna sprawa!

Rola eksperta ogranicza się do bycia niewidzialnym przewodnikiem, mentorem, doradcą. Nie może czerpać profitów z proponowanych rozwiązań ani sprzedawać jakichkolwiek usług. Płaci mu SISAL. Jeśli chciałby zarobić na czymś, co proponuje, i ktoś by mu to udowodnił, nie tylko natychmiast straciłby *licenza*, zostałby również skreślony z listy adwokatów, a więc nie mógłby pracować w wyuczonym zawodzie.

Jak się dowiedziałyśmy od obsługującej nas Vanessy, Francuzi (kuzyni z za Alp, jak nazywają ich Włosi), w rozłożeniu parasola ochronnego nad loteryjnymi szczęśliwcami poszli milowy krok dalej, choć oczywiście nic nie jest obowiązkowe i każdy sam decyduje, w jakim stopniu korzysta z tej pomocy. Raz w miesiącu organizowane są wyjazdy na weekend, fundowane przez monopolistę gier Française des Jeux. W czasie tych top secret wyjazdów milionerzy uczą się o inwestycjach, bankach, mają wykłady z prawa, tłumaczy im się, że jeśli na przykład podarują koleżance samochód, to trzeba od tego zapłacić podatek od wzbogacenia się. Innym razem mają warsztaty z psychologiem, który uczy asertywności. Tłumaczy, komu i jak powiedzieć o wygranej, jak nie dać się naciągać i nie pozwolić szantażować emocjonalnie. Aranżuje się też spotkania ludzi, których w pewnym sensie połączył los, bo doskonale się rozumieją, mogą wymieniać doświadczenia, otworzyć się, i gdy ktoś powie, że „nagły przyływ tak wielkiej gotówki to ciężar”, pozostali nie fukną: „Też bym chciał mieć takie problemy”, tylko zrozumieją, o czym mowa. Zaskoczyło mnie, że za te wyjazdy milionerzy nie płacą, ale ma to jakiś sens, bo dzięki temu pieniądze zostają we Francji, są mądrzej wydawane i prawie nikt bezsensownie nimi nie szasta.

Pomyślałam, że gdyby parę lat temu w Polsce też byli tacy doradcy, to losy rodziny z okolic Olsztyna, która w latach dziewięćdziesiątych w ciągu dwóch tygodni trafiła nie jedną, ale dwie szóstki (!) i wszystko przepięrtęgowała w kilka lat, mogłyby potoczyć się inaczej. Na szczęście w naszym kraju tacy doradcy już są.

Po usłyszeniu tego wszystkiego, skoro to nie kosztuje i pewnie nie zaszkodzi, decydujemy się z Werką na niezobowiązującą rozmowę z doradcą, który wyszedł na aperitif, ale wróci za kilka minut.

Tymczasem miła Vanessa zaproponowała nam kawę.

– Jacy ludzie wygrywają najczęściej? – pytam, bo przecież nadal w głębi duszy jestem dziennikarką.

– *Mia cara*, reguł nie ma, czasem babcia, czasem wnuczek... kiedyś była to wdowa z siedmiorgiem dzieci. Płakała i dziękowała nam, jakbyśmy to my dali jej te pieniądze. Zdarzają się różne sytuacje. Mówi się, że trudno jest wygrać, ale tak naprawdę, moim zdaniem, jeszcze

trudniej utrzymać te pieniądze. Jeśli ktoś nie ma głowy, inteligencji, obycia, to poszaleje. Ale raczej krótko.

Na korytarzu rozległy się czyjeś energiczne kroki. Po chwili ktoś zapukał do drzwi.

– *Prego!* – krzyknęła Vanessa. – Och, mecenasie, to są panie, które przyjechały po wygraną...

– *Buona sera* – usłyszałyśmy.

Odwróciłyśmy się i zamarłyśmy.

Metr od nas, w ciemnoszarym garniturze i błękitnym krawacie stał mężczyzna, którego chciałabym spotkać na ulicy, w pizzerii, barze, hotelu. Wszędzie, tylko nie tu.

– *Buona sera* – wymamrotałam.

– Zostawię was – powiedziała Vanessa, nie zwracając uwagi na nasze miny, i szybko wyszła.

Zapadła kłopotliwa cisza. Nie wiem, które z nas było bardziej zaskoczone. Patrzyliśmy na siebie bez słowa, aż Alessandro podszedł do Werki, pocałował ją w policzek i powiedział:

– Miło znów was widzieć.

Potem w taki sam sposób przywitał się ze mną.

Był ogolony i pachnący.

– Zanim cokolwiek powiecie, muszę was uprzedzić, że ponieważ się znamy – choć ja nie znam waszych nazwisk ani adresu, ale przecież nie da się ukryć, że jakoś się znamy, bo już kiedyś rozmawialiśmy – macie prawo wybrać innego doradcę. Może przyjechać na waszą prośbę mój kolega z Rzymu.

– Co robimy? – zapytałam Weronikę.

– Teraz to już niczego nie zmieni. Przecież wie, że ileś tam wygrałyśmy.

– No tak...

– Może to i dobrze. Jeśli coś zmałstruje, to przynajmniej wiadomo, gdzie go szukać – dodała.

– Ha! Ha! Ha! To prawda!

– Alessandro – odwróciłam się do niego – co chcesz wiedzieć?

– Ile wygrałyście?

– Werka, ile tego dokładnie jest?

– Siedemnaście milionów czterysta osiemdziesiąt trzy tysiące dwieście dwadzieścia cztery euro – wyrecytowała.

– To ta wygrana z sierpnia? Dziś mija termin odbioru? Dziś za...

– spojrział na zegarek – godzinę i czterdzieści pięć minut?

– Tak, to ta wygrana – potwierdziłam.

– No tak... Dlaczego nie jestem zdziwiony... Macie konto we Włoszech, czy chcecie przelać pieniądze do Polski?

– We Włoszech. – Pokazałam mu wydruki z banków.

– Dobrze. To przelejmy te pieniądze, bo szkoda czasu. Jeśli coś pójdzie nie tak, to nie będziemy mieli pola manewru. To mądry ruch, otworzyć kilka kont. Jak zamierzałyście podzielić wygraną?

– Dwa miliony, dwa miliony, dwa miliony, milion, a reszta tu.

– Pokazywałam Alessandrowi dokument po dokumencie.

– Wy wcale nie potrzebujecie doradcy – stwierdził z uśmiechem Alessandro. – Chcecie jakieś pieniądze w gotówce? Pięć, dziesięć, piętnaście tysięcy?

Po krótkiej rozmowie decydujemy się wziąć dziesięć tysięcy euro.

– Wystarczy nam do poniedziałku, prawda? – spytała Weronika, puszczając do mnie oko.

– Powinno... A jeśli nie, to mam kartę kredytową. A na niej jeszcze około pięciuset euro, no i mogę zrobić debet na tysiąc...

– odpowiedziałam poważnie.

– Ja też coś mam na karcie – rzekła z taką samą poważną miną moja przyjaciółka.

Uśmiechnęłam się do niej szelmowsko.

– Do której macie zapłacony parking? – chciał wiedzieć Alessandro.

– Jaki parking?

– Lauro, a gdzie zostawiłaś samochód? Koło siedemnastej zawsze sprawdzają, czy parking jest opłacony.

– W Treviso.

– W Treviso!? Wiecie, że jesteście w Mediolanie, prawda?

– My tak, ale samochód stoi w Treviso przed hotelem, w którym nocowałyśmy, a my przyjechałyśmy pociągiem, bo byliśmy w Wenecji i...

Alessandro machnął ręką i uśmiechnął się, kręcąc z rezygnacją głową, jakby porzucił próby zrozumienia kobiecej logiki.

– Opowiedzcie mi przy kolacji. Teraz załatwmy to, co musimy załatwić.

– Dobrze, prze pana.

Wróciła Vanessa. Po podpisaniu dokumentów, dokonaniu wszystkich przelewów, przybiciu pieczętek i pogratulowaniu nam raz jeszcze, dostałyśmy kwiaty i dziesięć tysięcy euro w kopercie.

– Co panie chcą teraz zrobić? Jakie macie plany?

– Chciałyśmy jechać nad Gardę, ale to było, zanim samochód został w Treviso.

– Moja propozycja jest taka: zabieram was na kolację, macie przecież co świętować! Potem zawiozę was do Treviso. Może być?

– Nie będziemy komplikowały ci planów – bąknęłam.

– Nie zostawię was tu samych, bo skoro zgubiłaś samochód, to teraz do zgubienia została ci tylko Weronika, a gdy zgubisz i ją, i zostaniesz sama, to i siebie zgubisz – przekomarzał się ze mną.

– My mamy inną propozycję – powiedziałam, gdy namówiłam się z Werką. – Na kolację jedziemy do Werony, i to my zapraszamy, żeby podziękować za naprawę samochodu i za gościnność.

– Póki pamiętam, przepraszam na moment, uprzedzę mamę, że wrócę późno.

– Lauro... – odezwała się Werka.

– Tak?

– Chcę szalonego weekendu: hotel za tysiąc euro, szampan. Chcę spełnić moje i twoje zachcianki. I chcę, żebyśmy wreszcie pozwoliły sobie na szaleństwa. Oczywiście w granicach rozsądku. Nie mówię o kupieniu biletu na Księżyc, ale... nowy samochód mogłybyśmy mieć.

– I Saabinkę na obcej ziemi zostawić? Nie ma mowy! Jeździ i ma się dobrze. Zgadzam się co do reszty, ale Saabcia ma u mnie dożywocie!

– Musimy zacząć zmieniać nasze nastawienie, zachowanie...

– Wiem. Wiem. Wiem!

Nie ma korespondencyjnego kursu ani tym bardziej prywatnych lekcji dla świeżo upieczonych milionerów, a z dnia na dzień nie jest łatwo przestawić się mentalnie na tak duże zmiany. Całe życie, rodzina

i społeczeństwo programują nasze ograniczenia. Kodują ci, że masz w życiu obowiązki i ograniczenia: musisz się pilnie uczyć, skończyć taką czy inną szkołę, to potem w nagrodę pracować będziesz tu... zarobisz tyle, nie więcej, masz prawo mieć ileś dni urlopu rocznie i ani dnia dłużej. Stać cię będzie na to i na to. *Fine*, koniec, *the end*. W zależności od pochodzenia, wpadasz do jakiejś szufladki, którą ktoś zamyka na klucz. Nikt ci nie mówi, że marzenia są drogą do sukcesu, że jeśli rozwinie się skrzydła, to można daleko zalecieć. O nie! Tylko nie to! Tobie przecież nie może być lepiej! Dla większości twardo stąpających po ziemi daleko idące ambitne plany są głupotą i wymysłem lekkoduchów, bo przecież życie to nie bajka. „Cza mieć twardą dupę, nie miętkie serce”. Żeby życie miało gdzie kopać. Bleeeee! Trochę jak w tym nieśmiesznym kawale: siedzą pesymista i optymista, pierwszy mówi, że gorzej być nie może, a optymista odpowiada, kiwając głową: „Może, może”. Nigdy nikogo nie zdołuję, obiecałam sobie. Nigdy nie powiem, że czegoś się nie da, chyba że ktoś wymyśli, iż chce na wrotkach zjechać z Everestu i sama zapiszę się na warsztaty poprawiania samooceny – jeśli tylko takie znajdę.

Na kolację Alessandro zabrał nas do Al Pompiere, czyli Pod Strażaka. Samo centrum Verony, bliźniutko domu Julii. Tę osterię założył wiele lat temu pewien strażak, gdy przeszedł na emeryturę, ale nigdy nie nadał lokalowi nazwy. Zrobili to klienci tego wyjątkowego miejsca, oddając mu swego rodzaju hołd. Przez lata działalności osteria kilka razy zmieniła właścicieli i z lokalu „na luzie” zmieniła się w elegancką restaurację. Jedno pozostało bez zmian: menu oparte na lokalnych potrawach i pasja, z jaką się je przygotowuje.

Spędziłam cudowny wieczór, podczas którego zrozumiałam, skąd (wiem, co mówię!) wzięło się powiedzenie „niebo w gębie”. Dawno, dawno temu Pod Strażaka trafił pewien „powiedzeniolog” i jednocześnie smakosz. Zamówił tortellini di saras del fen[2], do których podano mu lampkę wina, którego nazwa kojarzy mi się z miłością – amarone – upił pierwszy łyk i usłyszał niebiańskie chóry.

Bo amarone to nie wino, lecz nektar bogów. To jedno z najbardziej prestiżowych włoskich win powstało przez przypadek. W winnicy Cantina Sociale Valpolicella w 1936 roku szef piwnicy znalazł

zapomnianą beczkę słodkiego recioto. Wino przefermentował raz jeszcze, a cały cukier zmienił się w alkohol. Pierwszy raz oficjalnie wino zostało zabutelkowane i sprzedane pod tą nazwą w 1953 roku, a więc w tym, w którym urodził się mój tata. Zastanawiałam się, czy to mocne wino o zdecydowanym smaku, jednocześnie jednak aksamitne i z posmakiem czereśni i migdałów, by mu smakowało.

– Jak się nazywa producent tego wina? – spytałam Alessandra.

– To nie jest producent, tylko maestro sztuki winiarskiej

– sprostował. – Nazywa się Romano dal Forno.

– To może wypijmy za niego i za kolejne równie udane roczniki?

– zaproponowałam.

*

Do Treviso dojechaliśmy koło pierwszej w nocy. Oczywiście nie szukałyśmy noclegu, tylko poszłyśmy zapytać, czy mają pokój w naszym pensjonacie. I tak, będąc milionerkami, obudzimy się jutro w tanim hotelu, i oczywiście, biorąc pod uwagę nasze charaktery, będziemy przeszczęśliwe i zadowolone, bo... a, co tam, że lodówka jest pusta, to dobrze, schudniemy. Gdy pełna – super! Nie stać nas na nowe buty? E, po co nowe sztywne, skoro stare są takie wygodne!

Ponoć nie można być szczęśliwym warunkowo, czyli zakładając, że do szczęścia potrzeba tego czy tamtego, bo wtedy takie szczęście nigdy nie nadchodzi. Należy się nauczyć być szczęśliwym, mając to, co się ma. To było od zawsze nasze motto, sposób na życie, credo, ale też nasza największa wada i coś, co nas hamowało. Nadchodzi jednak taka chwila, że by się rozwijać, trzeba zacząć podnosić sobie i swoim marzeniom poprzeczkę. To był nasz moment.

Zasnęłam z uśmiechem na ustach. Wszystko udało się załatwić.

Hm...

– Założę się, że śnił ci się Alessandro – usłyszałam nagle.

– Owszem... – powiedziałam, przeciągając się. – To znaczy nie!

– krzyknęłam. – O, to już jest dzień?

IV CIEKAWOŚĆ JEST KOBIETĄ

W Treviso postanowiłyśmy zostać do wczesnego popołudnia. Po śniadaniu poszłyśmy na spacer, obejrzałyśmy w pięć minut polecaną w „Il Gazzettino” wystawę współczesnego malarstwa, którego nikt normalny nie rozumie, bo jak można rozumieć czterdzieści obrazów, których tematem przewodnim są szlaczki w kolorze, co się do słowa „szlaczki” rymuje?! Potem zobaczyłyśmy kolejny ważny zabytek – zbudowaną w XIII wieku Loggia dei Cavalieri. Tu trafiłyśmy na sympatyczne spotkanie autorskie lokalnej poetki. Od organizatorki dowiedziałyśmy się, że Loggia kiedyś otwarta była tylko dla szlachty, która w sezonie przychodziła tu grać w gry towarzyskie, między innymi do dziś przeze mnie nierozumiane szachy. Była też cała masa nieistniejących już dzisiaj gier planszowych, z których większość w taki czy inny sposób wykorzystywała kostki. Przed obiadem zdążyłyśmy jeszcze skoczyć do oddalonej o kilka minut Ca’ dei Carraresi. Po przekroczeniu progu przeniosłyśmy się do Kraju Kwitnącej Wiśni. Czego tam nie było: kimona, rzeźby, broń, porcelana, ceramika, zdjęcia Nobuyoshi Araki, kącik gejszy, obrazy, netsuke... mała Japonia w pigułce, w dodatku z ostatniego tysiąca lat. Nie przepadam za długimi lotami, ale przyznam szczerze, że wyszłam zafascynowana i z nieopisaną ochotą zwiedzenia wszystkich trzech tysięcy japońskich wysp.

– Jeśli kiedyś będę chciała zniknąć – powiedziała Werka – to polecę na wyspę Amami Ōshima. Muszę się nauczyć, jak to się pisze. Myślisz, że ja się tych ich ptaszków kiedykolwiek nauczę? Da się? To znaczy będąc Polką w naszym wieku.

– Wszystko się da – powiedziałam. A *amami* to po włosku „kochaj mnie”.

– No widzisz? To jest nasza meta. Wyspa Amami, z miastem Amami i językiem amami. Kochana, nas tam będą kochali, że ho, ho!

– Jak miło, że zapomniałaś o swoim antyfacetyzmie!
– roześmiałam się.

Na obiad poszliśmy do L'incontro, jednej z najbardziej znanych restauracji w okolicy, gdzie podają ręcznie robione makarony i gnocchi. Sympatyczny kelner zaproponował nam pikantne spaghetti alla sbrinsolona. Idealnie pasowało do naszej sytuacji, bo w dialekcie Treviso *sbrinsolona* to kobieta, której nigdy nie ma w domu, bo ciągle ją gdzieś nosi. Gośćmi L'incontro bywają znane osobistości: arystokraci, przedstawiciele świata polityki, mody, biznesu – od rodziny Benettonów (tej od United Colors) czy Bulgarich (biżuteria) zaczynając, a na księciu Giovanellim kończąc.

Potem... ech, ta nasza babska ciekawość... postanowiłyśmy pojechać do San Rocco.

Nie miało to najmniejszego sensu, bo w najbliższej okolicy nie było żadnego hotelu (dziwne, jak na Włochy), więc albo będziemy musiały wrócić do Treviso, albo poszukać czegoś w Belluno czy Feltre.

– Wydaje mi się, że mogłabyś zadzwonić do Alessandra
– powiedziała Weronika, gdy zjechałyśmy z autostrady.

– Bo...

– Bo mógłby z nami pojechać. Nocleg jakiś gdzieś doradzić.

Oczywiście nie w jego domu. Albo kupmy coś, żeby podziękować im za gościnę, i zawieźmy. Przecież będziemy koło nich przejeżdżały.

– No niby tak...

– Wiesz, obudziłam się w nocy i nie mogłam zasnąć. Przemyślałam dokładnie całą sytuację i wydaje mi się, że miałyśmy wyjątkowe szczęście. Spotkałyśmy adwokata, w dodatku doradcę Enalotto, poznałyśmy jego rodzinę... No i zauważ, nie jest jakiś szpetny...

– Ani słowa więcej! – ostrzegłam.

*

Zatrzymałyśmy się na szybką kawę.

– Ja zapłacę – powiedziała Weronika. Gdy szukała drobnych, zadzwoniła jej komórka. – Telefon z Polski – rzuciła. – Wyjdę przed bar, zaraz wracam.

Wróciła po paru minutach bardzo poruszona. Koleżanka z pracy najpierw podpytywała ją, czy naprawdę jest we Włoszech, czy na pewno wróci do szkoły, i czy wszystko w porządku. Wreszcie po kwadransie

bezsensownych pytań powiedziała, o co chodzi: ktoś (czytaj Rudy lub jego wysłannicy) rozsiewa o niej plotki, że niby do zamkniętego klasztoru pojechała (i ma komórkę?!), że ma depresję (kto nie ma?!), że jej stan emocjonalny jest na tyle poważny, iż powinna leczyć się u psychiatry i dopiero gdy dojdzie do siebie, pracować z młodzieżą. Nasz nagły wyjazd oczywiście jakoby potwierdził tę tezę, no bo kto znika w środku roku szkolnego?

Z plotek wynikało też, że nie odważyła się po zdradzie męża, lecz że mąż znalazł sobie inną kobietę, która wyciągnęła go, biedaczka, z chorego związku z niestabilną psychicznie osobą.

– Czasami myślę, że gdybym straciła pracę przez czyjąś wredność czy złośliwość, to możliwe, że ostatni grosz wydałabym na płatnego mordercę.

– Tak tylko mówisz, ale w środku za dobra jesteś i za miętka.

– Miętkie serce, twarda dupa, tak to było?

– No tak. Co on kombinuje? – zastanawiałam się. – Na radnego będzie próbował startować czy co? Dlaczego tak manipuluje ludźmi i mataczy?

– Naprawdę nie wiem, o co mu chodzi.

– Zdradził, chce mieć młodą dupę, no to ma, ale po co męczy ciębie?

– Boże, jakiego ja cymbała na męża sobie wybrałam – westchnęła Weronika.

– Zdarza się najlepszym... – próbowałam ją pocieszyć.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Jaki znowu?

– Chociaż nie wiem jak, chociaż nie wiem gdzie i kiedy, chciałabym jakoś pomóc kobietom, które tkwią w toksycznych związkach, bo nie mają gdzie się podziać.

– Się zrobi – powiedziałam.

Przy drodze, bardzo krętej drodze, była winnica – zajęchałyśmy tam, żeby kupić karton lokalnego prosecco. Białego z bąbelkami. Idealnego na każdą okazję, może być aperitifem, pasuje do każdego dania, od przystawek przez makaron po deser. Okolica, gdzie produkuje się to wino, to jedno z najbardziej malowniczych miejsc we Włoszech:

niewielkie wzgórza porośnięte winoroślą, na które nie da się wjechać traktorem, więc wszystko trzeba robić „ręcznie”, tak jak przed wiekami.

Po degustacji, podczas której ja niczego nie degustowałam, bo byłam „kierownicą”, zadzwoniłam do Alessandra. Umówiliśmy się za pół godziny na miniparkingu przy maksizakręcie – po włosku *grande curva*.

Alessandro przyjechał ubrany w dżinsy, kaszmirowy granatowy sweter i krótką sportową kurtkę. Jego styl weekendowy podobał mi się tak samo, jak je-go styl pracy. Właściwie to podobał mi się cały Alessandro.

Gdzie on był, gdy go nie było?!

Żeby Saabinka i nasze bagaże były bezpieczne, zaparkowałyśmy ją na oddalonej około kilometra od miejsca spotkania posesji należącej do cioci Alessandra, a my przesiadłyśmy się do jego dużego, pachnącego i sterylne czystego samochodu.

– Podkręcić trochę ogrzewanie? – zapytał.

– Nie trzeba, jest nam ciepło – zapewniłam.

– Mogę też włączyć ogrzewanie siedzeń.

– Werka, chcesz, żeby w dupę ci było gorąco? – zapytałam.

– Co?

– Alessandro pyta, czy włączyć ogrzewanie siedzeń.

– Nie, nie *grazie*. Lauro, zastanawiałaś się kiedyś, jak by to było, gdyby okazało się, że osoba siedząca za kierownicą, imienia nie wypowiem, znała język polski i rozumiała, co mówimy?

– No, byłoby średnio, ale kiedyś robiłam wywiad z panią prowadzącą polonijne czasopismo w Austrii, gdy zapytałam, jaki jest jej przepis na udane pożycie małżeńskie, odpowiedziała, że ona nie zna niemieckiego, więc nie ma jak i o co się z mężem kłócić, a byli małżeństwem ponad trzydzieści lat.

– O czym rozmawiacie? – zainteresował się Alessandro.

– O tym, że czasem lepiej nie rozumieć... – odpowiedziałam.

– Nie rozumiem.

– No właśnie.

*

Gdy zobaczyłam napis „San Rocco di Sotto”, poczułam dziwne ukłucie w sercu. Znalazłam się w najpiękniejszym miasteczku, jakie widziałam w życiu.

Jechaliśmy wąską uliczką, po obu jej stronach wznosiły się średniowieczne kamienice z arkadami. Przed niektórymi drzwiami ustawiono krzesła i małe stoliki. Na końcu uliczki był nieduży plac, na którym zaparkowaliśmy samochód, i dopiero wtedy zauważyłam stromą drogę prowadzącą w górę – pewnie do San Rocco di Sopra.

Przed domem po prawej stronie placu stało kilka osób z kubkami czegoś gorącego w rękach.

Architektura miasteczka zachwycała, a to, że wiele domów było opuszczonych, przydawało mu tajemniczości, a nawet pewnego mistycyzmu. Oczami wyobraźni widziałam, jak pięknie musiało tu być przed la-ty, gdy okiennice były otwarte i odmalowane, a przed domami bawiły się dzieci. Na jednej z kamieniczek zauważyłam napis „Calzolaio” (szewc) i „Trattoria”. Pewnie kiedyś był tu i bar, i apteka, sklep spożywczy, i fryzjer...

– Można by tu film nakręcić – powiedziała Weronika.

Mieszkańcy przyglądali nam się z zaciekawieniem. Nieczęsto pojawiali się tu goście.

– *Ciao, Alessandro!* – krzyknął starszy dystyngowany pan w zielonym kapeluszu z piórką. – Chodźcie na grzańca.

– Dawno nie czułam się taka młoda – zachichotała Weronika, bo wszystkie osoby, które widziałyśmy, były o kilkadziesiąt lat od nas starsze. – To miasteczko przypomina dom spokojnej starości pod otwartym niebem.

– Później, teraz idziemy do Enza! – odkrzyknął Alessandro, machając do wszystkich.

W tym momencie na czerwonej vespie przemknął jegomość w długim czarnym płaszczu i w kasku chyba równie starym jak on. Zatrąbił, objechał z animuszem plac i zniknął.

Alessandro zaprowadził nas przed ogromne drewniane drzwi. Otworzył je i... takie cuda tylko we Włoszech – zobaczyłyśmy wewnętrzny ogródek i wyłożony kamieniami chodnik prowadzący do budynku Municipio – Urzędu Miasta.

Weszliśmy do środka, przywitała nas sekretarka i powiedziała, że *sindaco* na nas czeka.

– Po co tu przyszliśmy? – szepnęłam do Alessandra.

– Chciałyście przecież zobaczyć miasteczko, prawda? Pomyślałem więc, że przedstawię wam *sindaco*.

– No ale co mam mu powiedzieć? Że ładnie, ale nudno? Że widziałam go w telewizji i...

– Spokojnie, Lauro.

Weszliśmy do niedużego, niezwykle gustownie urządzonego gabinetu. Pod ścianą naprzeciwko drzwi stało stare bogato zdobione biurko.

Na ścianach wisiały obrazy i szkice przedstawiające San Rocco. Obok lekko uchylonych drzwi sali konferencyjnej tykał zegar w tym samym stylu co biurko.

– Zobacz – szepnęła Weronika, wskazując jeden z obrazów. Były na nim ubrane w długie suknie kobiety robiące zakupy na targu pod arkadami.

– Kiedyś tak tu było... – usłyszałam.

– Enzo Grandi, *sindaco* miasta fantazmatów, Laura i Weronika, fanki tego miejsca – przedstawił nas Alessandro.

– Miło mi panie poznać.

– Enzo... Grandi? Jesteście spokrewnieni? – zapytałam, choć podobieństwo było widoczne gołym okiem.

– To mój brat.

Och, ten trzeci, który był w Rzymie, przypomniałam sobie.

– Gratuluję pomysłu, żeby za symboliczne euro odkupić stare domy – zwróciłam się do Enza.

– Dziękuję, pomysł jednak był nie mój, a mojego doradcy. Ja tu tylko sprzątam i czasem podlewam kwiatki – dodał z uśmiechem.

– Ilu mieszkańców ma San Rocco di Sopra? – chciałam wiedzieć.

– W tej chwili, nie licząc bezdomnych kotów i duchów, zero.

– Zero?!? Jak to zero?

*

Pyszny grzaniec i piętnaście minut i później znałyśmy wszystkich

mieszkańców San Rocco di Sotto oraz sekrety ich zaskakująco zorganizowanego życia. O tym miejscu należałoby nakręcić film! Giuseppina co środę piecze chleb dla wszystkich – a jest ich sześćdziesięcioro dwoje, więc zajmuje jej to prawie cały dzień. Marilena – kiedyś krawcowa – łąta, ceruje i przerabia. Jej klientami są głównie wdowcy lub kawalerowie (a tych jest aż pięciu!), a ona dba, by dobrze wyglądali. Dwie Marie niezależnie od pory roku co rano parzą kawę na starym kafłowym piecu. Kawę kupują na zmianę Luigi i Primo. Secondo naprawia meble i odnawia okiennice. Sandro gra na akordeonie, Otto na perkusji, Domenico śpiewa, dzięki temu w każdą sobotę całe miasto tańczy. Luisa stawia bańki i masuje. Vittoria haftuje i dzierga na szydelku, choć nie wie dla kogo. Cristina jest specjalistką od farbowania wełny. Szalejący na vespie Franco to emerytowany pilot. Felice zdobył medal na olimpiadzie w rzucie młotem. Fortunato pracował jako dziennikarz, więc to on przygotowuje wszelkiego rodzaju pisma, a Prospero, były bankier, do dziś doradza, jak oszczędzać. Daniele naprawia pralki, telewizory i ustawia anteny. Michele oddelegowany został do robienia nalewek. Zakupy: ci, którzy mają samochody, zabierają na nie tych, którzy ich nie mają. Jeśli trzeba jechać do lekarza, zawsze ktoś podrzuci. Wszyscy robią, co mogą i co potrafią, za usługi się nie płaci, bo po prostu każdy coś z siebie daje, a na ekstra wydatki są zrzutki. Oczywiście są też romanse, rozwody i... jest Enzo, który zachowuje się raczej jak głowa nieco szalonej i zdecydowanie niekonwencjonalnej rodziny, a nie jak *sindaco*.

- Dzisiaj będą tańce i nie może was zabraknąć – powiedział Ettore.
- Chcecie jeszcze trochę grzańca?
- Nie zabraknie! – zapewnił Alessandro.

*

San Rocco di Sopra okazało się niedużym, otoczonym wysokim murem zamkiem. Nikt w nim nie mieszka.

Enzo od kilku tygodni ma do niego klucze, choć zamek opuszczony został w latach siedemdziesiątych. Przez cały ten czas dwa, trzy razy w roku na prośbę właścicieli ktoś przyjeżdża, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Po śmierci poprzedniego, niemal stuletniego właściciela, nieruchomość odziedziczył jego siedemdziesięcioletni syn, który postanowił posiadłość sprzedać.

Enzo otworzył zamkniętą na kłódkę bramę i dopiero wtedy zobaczyliśmy Castello delle Rose – Różany Zamek – w pełnej krasie.

Budowla otynkowana jest na bladoróżowo. Główną część stanowi czteropiętrowa wieża, a do niej jakby doczepiono dwupiętrowy zamek. Masywne, drewniane, okute drzwi dają poczucie bezpieczeństwa: za takimi drzwiami nic złego nie może się stać. Właśnie za takimi drzwiami można „żyć długo i szczęśliwie”. Może nie w zamku, może nie we Włoszech, ale takie wejście to było moje *must have*.

Za drzwiami znajdują się hol i strome kręcone schody prowadzące na wieżę, po prawej stronie wchodzi się do salonu, w którym meble, jak w amerykańskich filmach, przykryto prześcieradłami. Za salonem są kuchnia z ciemnozielonym piecem kafłowym i spiżarnia. Na końcu salonu kamienne schody prowadzą na piętro. Pod schodami nieduża łazienka odremontowana w latach sześćdziesiątych, cała – ściany, umywalka, bidet, toaleta – w czarnym marmurze z białymi żyłkami. W ogóle nie pasuje do reszty domu, ale ma urok.

– Możemy? – zapytałam Enza, wskazując schody. Byłam zafascynowana tym miejscem.

Enzo poprowadził nas na górę. Tam wszystko było symetryczne: portret, drzwi do sypialni, portret, drzwi do sypialni, portret, drzwi do sypialni... W ostatniej, do której weszliśmy, największej, stoi łóżko z baldachimem. Pokój wygląda tak, jakby jego mieszkaniowiec miał zaraz wrócić. Na nocnych szafkach lampki, a na jednej z nich leży książka, *Świętoszek* Moliere. Szafa – zapewne zrobiona z orzecha – jest tak ogromna, można by zaparkować w niej spory samochód. Komoda, a na niej bibeloty. Jest też mniejsza szafa, nieco jaśniejsza niż reszta mebli. Enzo otworzył ją i okazało się, że to... ukryte przejście do wieży! W wieży na każdym piętrze znajduje się pokój z łazienką, a na ostatnim, najwyższym, urządzono bibliotekę. Z okien roztacza się widok na San Rocco do Sotto, na wzgórze i góry, na lasy i pola. Jest tak cicho...

– Ile kosztuje ten zamek? – spytałam.

– Jest wart pewnie ze trzy miliony, ale teraz, ze względu na kryzys,

sytuację w okolicy i podatki, rodzina chętnie pozbędzie się go nawet za milion – powiedział Enzo, otwierając okno. – Jeśli masz drobne w kieszeni, to kupuj! – zażartował.

– Nigdy nie widziałam czegoś takiego – powiedziała Weronika.
– Żaden zamek, żaden zabytek, nawet muzeum nie zrobiło na mnie tak wielkiego wrażenia.

– Wiesz, pomyślałam, że chciałabym kupić coś takiego w Polsce. Oczywiście u nas nie będzie dachu ani okien, nie będzie parkietów czy mebli, bo nasze zabytki co prawda przetrwały powstania, dwie wojny światowe, ale zrujnował je demokratyczny dostatek... – stwierdziłam.
– Chciałabym coś uratować, odtworzyć, dać drugie życie. Nie możemy przecież tak bezczęścić naszej historii.

– Coś w tym jest, ale... Chodź tu na chwilę. – Weronika pociągnęła mnie za rękaw. Mówiła szeptem, jakby zapomniała, że ani Alessandro, ani Enzo nie mogą nas zrozumieć. – Nie wiem dlaczego, ale ten zamek...

– Zwariowałaś chyba!

– To może być doskonała inwestycja! Słuchaj! W tej samej cenie w Polsce są ruiny, a tu wystarczy posprzątać, przewietrzyć... Jezu, powiedz mu, żeby zamknął to okno, bo piździ jak w Kieleckiem... i można się wprowadzić, a potem organizować kursy gotowania, kolacje, wesela... można...

– Weronika, przecież tu nie ma młodych ludzi! Nie ma turystów, dzieci, nikt nie wyprawia wesel. Tu się nic nie dzieje. *Pardon*, biorąc pod uwagę wiek mieszkańców, na pewno urządzają stypy!

– Ludzi przecież można ściągnąć. Miasteczko jak malowane, fajni ludzie, góry!

– Mnie też się tu bardzo podoba, ale żeby od razu kupować?

Za zamkiem jest zaniedbany ogród. Kiedyś pewnie królowały tu róże, teraz zaś rządzą koty. Enzo wziął z kuchni puszki, suchą karmę i poszedł je nakarmić.

Zaczynał mi się udzielać entuzjazm Weroniki. Tu jest jak w bajce. A gdyby tak tu zamieszkać? Szaleństwo! Szalone szaleństwo! A może...

– Musimy znaleźć jakiś nocleg – powiedziałam do Alessandra.

– Mam dwie propozycje.

– Na pewno nie będziemy spały u was w domu! Nie możemy nadużywać waszej gościnności.

– Mama już przygotowała wam pokoje. Propozycja numer dwa: możecie zostać tutaj. Przy okazji przepalimy w piecach i kominkach, a rano wszystko porządnie przewietrzymy. Przywiozę z domu świeżą pościel. Pamiętajcie, że wieczorem idziemy na tańce!

– Możemy zostać tu na noc? – spytałam z niedowierzaniem.
– Chcesz? – zwróciłam się do Weroniki.

– Tu w zamku?

– No tak.

– Co za pytanie! Jasne, że chcę!

*

Godzinę później Maria przygotowywała kolację w zamkowej kuchni, Ernesto rozpałał w piecach i kominkach, Alessandro parkował Saabinę, a Enzo i Jacopo wnosili do zamku nasze walizki. Piero i Gaia biegali za małym kotem, którego zamierzali zabrać do siebie, a Luisa nakrywała do stołu. A mówią, że Włosi są niezorganizowani...

*

Po kolacji odświeżyliśmy się nieco, wystroiliśmy – no, nie bardzo miałyśmy w co, bo wzięłyśmy raczej turystyczny zestaw ubrań, ale przynajmniej włożyłyśmy czyste bluzki, ja spódniczkę, trochę się umalowałyśmy – i ruszyliśmy na tańce. Okazało się, że weekendowe potańcówki odbywają się w... kościele. Który już dawno przestał być prawdziwym kościołem, został, że tak powiem, odświęcony.

Felice, widząc nasze miny (w Polsce to by nie przeszło!), zapytał, czy jesteśmy tym zgorzzone.

– Nie, nie – powiedziałam, patrząc na minę Weroniki. – Tylko trochę zaskoczone.

– Wychodzi na to, że nawet Bóg nas tu opuścił – skwitował Felice z westchnieniem.

– I rząd, i różne instytucje – dodał Prospero.

– Tylko urząd skarbowy o nas pamięta – dorzucił Luigi.

– Oni toby nas najchętniej w samych majtkach zostawili

– podsumował Felice.

Obiecałam sobie, że w wolnej chwili zapytam Alessandra, o co chodzi z tymi majtkami.

Ktoś zaczął przygrywać na akordeonie, a mieszkańcy patrzyli na nas, jakby na coś czekali.

– Niby co mamy zrobić? Zacząć tańczyć? – szepnęła Weronika.

– Poważnie? Pierwszy taniec jest nasz czy co?!

– Wiedziałam, że wyrosłam z dyskotek, ale nie wiedziałam, że to już czas na dansingi – odszepnęłam.

W końcu, nie czekając na nas, towarzystwo z przytupem wypłynęło na kościelny „parkiet”.

– Poznajecie?! – zapytał podekscytowany Michele, dziwnie przytupując, kiwając głową i wybałuszając oczy.

– E... – zająknęłam się i popatrzyłam na Weronikę. Niby brzmiało znajomo. Staro i znajomo, jednak żadna z nas nie wiedziała, co to za melodia.

– To przecież polka! – wykrzyknął i porwał mnie do tańca.

Zrobiło mi się głupio. Oni, w przeciwieństwie do nas, znali polki i mazurki, odróżniali je, potrafili zatańczyć, podczas gdy my ruszałyśmy się jak dwie matrony. Ja, w spódnicy do kolan, zastanawiałam się, czy czasem nie świecę intymnym tym i owym. A od tego kręcenia Weronice zrobiło się niedobrze.

– Gdy tylko zagrają coś z tego wieku, pokażemy im, co potrafimy!

– wrzasnęłam do odliczającej kroki zdyszanej Weroniki.

– Ja potrafię doskonale podpierać ściany! – odwrzasnęła.

– O co chodzi z tymi majtkami? – zapytałam Alessandra, gdy wreszcie udało mi się uciec z miejsca kaźni.

– „Zostawić w majtkach”, tak się mówi, gdy ktoś chce cię zrujnować: ekszona, podatki...

– Aaa! U nas mówi się „puścić kogoś z torbami”, ale majtki są fajniejsze.

I wtedy wszystko mi się ułożyło w diabelnie logiczną całość. Miałam plan!

*

Po kościelnej imprezie byliśmy wykończeni. Mnie bolały łydki, chyba miałam zakwasy – to mścił się brak ruchu i kanapowy tryb życia. Moje ciało już dawno zapomniało, że miało być ciałem tancerki. Ktoś mi kiedyś, lata temu, jeszcze w podstawówce wmawiał, że sport wyczynowy czy taniec są gwarancją tego, że nasze ciało zawsze będzie sprawniejsze niż osób, które wuefu unikały jak dżumy. Nie wiem, czy to prawda. Niby się specjalnie nie roztyłam, ale przecież nie rodziłam dzieci i nigdy się nie przejadałam, jednak wchodząc po schodach, mam zadyszkę. Przypomnieli mi się niektórzy otyli piłkarze i doszłam do wniosku, że żadnej gwarancji nie ma, no, chyba że było się baletnicą i całe życie jadło tylko jabłka i sałatę. I jakoś mi się lepiej zrobiło, bo nieźle się trzymam, mimo że Kocham chleb i makaron.

*

Luisa i Jacopo zegnali się z nami tak serdecznie, jakby znali nas od lat. Enzo odwiózł rodziców do domu, a Alessandro odprowadził nas do zamku.

Gdy weszliśmy do salonu, w kominku ciągle się tliło, Alessandro jednak od razu dołożył dwa polana, a Weronika wyjęła z torebki butelkę nalewki, którą dostała od Michele „na lepszy sen” i pobiegła szukać kieliszków. Była w doskonałym humorze.

– Podoba ci się tu? – spytał Alessandro, podchodząc do mnie.

– Tu w zamku?

– Tu u nas.

– Mhm. – Pokiwałam głową.

– Ty też mi się podobasz.

– Jak to „też”!? Nie powiedziałam, że podobasz mi się ty, tylko to miejsce, ten salon, to miasteczko, te góry... Twoja rodzina mi się podoba...

Wtedy Alessandro przycisnął mnie do ściany, chwycił za rękę i gdy zaczęłam sobie wyobrażać, co stanie się za sekundę... weszła Weronika.

– Mam kieliszki! – zaświergotała.

– Bosko – mruknęłam.

– Może usiądziemy na kanapach? – zaproponowała.

– Oook!

– Za nas – powiedział Alessandro, unosząc kieliszek i patrząc mi w oczy.

– Za nas – odpowiedziałam, przygryzając nerwowo wargę.

– Za nas! – zakrzyknęła Werka. – Nie obrazicie się, jeśli was zostawię? – zapytała, gdy wychyliła jednym haustem zawartość kieliszka. – Muszę posiedzieć trochę w bibliotece. No po prostu muszę. Widziałam tam stare atlasy... Chcę zlokalizować Amami.

– Nie obrazimy się – zapewniłam ją skwapliwie.

– Amami? – zapytał zdziwiony Alessandro?

– *Ciao*, Alessandro, do jutra! – krzyknęła.

I już jej nie było.

– To wyspa w Japonii. Ona uczy geografii. Byłyśmy na wystawie i... – Znowu gadam od rzeczy, pomyślałam.

*

Wstałam z kanapy i podeszłam do kominka. W zamku nie było telewizora, nie było radia, panowała niczym niezmacona cisza. Najcichsza cisza, jaką kiedykolwiek słyszałam – zakłócało ją tylko bicie mojego serca, a po chwili ciche kroki Alessandra, który podszedł do mnie i stanął za moimi plecami tak blisko, że czułam na szyi jego oddech.

– A więc ci się podobam? – zapytał, odwracając mnie do siebie.

Spojrzałam w jego błękitne oczy, uśmiechnęłam się i odpowiedziałam:

– Cokolwiek powiem, zostanie użyte przeciwko mnie, dlatego odmawiam składania zeznań bez mojego adwokata.

– Czasem bezpieczniej jest bez adwokata niż z nim – powiedział cicho i pocałował mnie tak, że zabrakło mi tchu. Potem jeszcze raz. I jeszcze.

Przysunęliśmy kanapę do kominka i usiedliśmy przytuleni.

– Gdybyś jako doradca miał mi powiedzieć, czy warto kupić ten zamek, to...

– Warto! Ty i Weronika jesteście pierwszymi osobami tak rozsądnie podchodzącymi do wygranej. Większość ludzi, którym doradzałem, już zamawiałyby wakacje na Seszelach i górę

bezsensownych gadżetów, których nigdy nie będą używali.

– A my zastanawiamy się tylko nad kupnem skromnego zamku...

– Twoje ulubione danie? – Alessandro nieoczekiwanie zmienił temat.

– Polski chłódnik z jajkiem. Włoskie radicchio e fragioli. Twój znak zodiaku?

– Lew. A twój?

– Strzelec.

Ogień i ogień... hm!

– Czego nie lubisz? – chciałam wiedzieć.

– Arogancji, głupoty, chamstwa.

– Co musi mieć kobieta, którą kochasz?

– Głowę raz w chmurach, a raz na karku.

Jestem więc kobietą idealną, pomyślałam. I tak na pocałunkach, pytaniach i odpowiedziach minął nam czas aż do świtu.

Wtedy przypomnieliśmy sobie, że Alessandro nie ma tu swojego samochodu, bo przecież przyjechał moim. Ja po nalewce nie mogłam go odwieźć, więc cóż było robić, skoro w zamku jest tyle wolnych pokoi...

*

Wskoczyłam do pachnącej pościeli, ale w ogóle nie chciało mi się spać. Kiedy ostatni raz tak się czułam? Chyba zanim człowiek wylądował na Księżycu...

Kiedy ostatni raz tak bardzo podobał mi się jakiś mężczyzna? Patrick Swayze w *Dirty Dancing*.

Kiedy ostatni raz po przegadanej nocy ktoś zapukał do moich drzwi? Nigdy!

– Nie śpię – powiedziałam. – Wejdz, Alessandro.

Drzwi się otworzyły.

– Co ty mi tu po włosku parlasz?

– Och, to ty!?

– No a kto? Duch? Nie mogę zasnąć... Przemyślałam sprawę: chcę ten zamek i już. Kupujemy! Ja w wieży, ty tu. Jak Paweł i Gaweł.

– Mów ciszej albo zamknij drzwi, bo obudzisz Alessandra.

– To on tu jest?

– Tak. Zagadaliśmy się i nie miał jak wrócić do domu, bo przecież przyjechał Saabinką.

– Po nocach o nim jęczysz, w dzień o nim marudzisz, Alessandro tu jest i ty go do innego pokoju odmeldowałeś? Walnięta jesteś!

– Sama jesteś walnięta. Co miałam mu powiedzieć? „Śpij ze mną”, skoro tu tyle pustych pokoi?

– A niech będzie i dwadzieścia. Co to ma do rzeczy? Między wami iskrzyło od pierwszej chwili.

– Taa... iskrzyło...

– Idziemy zobaczyć, jak śpi?

– No!

– No „tak” czy no „nie”?

– No tak. Ciiii!

Byłam naprawdę ciekawa, jak Alessandro śpi. Na plecach? Na boku? Chrapie? W koszulce? Bez koszulki?

Po cichutku, choć ogarniała nas głupawka, przemknęłyśmy korytarzem i otworzyłyśmy drzwi pokoju, w którym spał Alessandro. Zrobiłam ostrożny krok po zdradziecko trzeszczącej podłodze, a Weronika popchnęła mnie tak mocno, że prawie upadłam, i uciekła.

W tym momencie Alessandro otworzył oczy. Było mi potwornie głupio, ale jeszcze bardziej głupio byłoby tłumaczyć się, że to wina Weroniki. Uśmiechnął się do mnie i zachęcająco odchylił kołdrę.

Spał w samych bokserkach.

I tak, w wieku prawie czterdziestu lat, po raz pierwszy w życiu wskoczyłam facetowi do łóżka, przy okazji odkrywając, że Alessandro nie chrapie.

V
NIEDZIELA TO NIEDZIELA, *MAMMA TO MAMMA*



Skoro świt, o jedenastej trzydzieści siedem, ja obudziłam się szczęśliwa, a moje prawe udo, na którym spoczywała dłoń Alessandra – w raju.

Pierwsze wspólne poranki często bywają krępujące. Nie wiesz, jak się przywitać. Kto pierwszy idzie do łazienki. Gdzie jest szlafrok, w którym chyba raczej na pewno przyszłaś.

Ten poranek nie był krępujący ani trochę. Był naturalnie słodki, spokojny i relaksujący, dopóki nie zadzwonił telefon. To *mamma* Maria chciała wiedzieć, czy przyjdziemy do niej na obiad.

Jakie na obiad, skoro człowiek jeszcze śniadania nie zjadł i kawy nie wypił?

– Alessandro...

– Tak?

– Nie chcę urazić twojej mamy, ale... naprawdę nie mam ochoty nigdzie wychodzić – szepnęłam. – Kawy mi się chce. O cholera – skrzywiłam się – nie mamy kawy!

Alessandro powiedział mamie, że Weronika jeszcze śpi i że zadzwonią się później, a mnie uspokoił, że kawa na pewno będzie.

*

Szlafrok znalazłam pod łóżkiem. Włożyłam go i żeby nie biegać po całym zamku, wróciłam do mojego pokoju i przez szafę, na skróty, wlałam na wieżę. Niestety, nie znalazłam Werki ani w jej pokoju, ani w bibliotece, zesłałam więc na dół, do kuchni.

Siedziała w fotelu owinięta kocem w szkocką kratę, z książką w ręku.

– Cześć – rzuciłam. – Dobrze spałaś?

– Na pewno nie tak dobrze jak ty – odpowiedziała.

– Bardzo śmieszne!

– Opowiadaj.

– Co?

– Kochana, właściwie to nic nie musisz mówić. Więcej można wyczytać z twojej zadowolonej i zrelaksowanej twarzy niż z tej poplamionej pruskiej książki!

– Całe życie z wariatami! – westchnęłam i otworzyłam drzwi Alessandrovi, który właśnie wrócił z kawą.

– Incontri czy abbracci[3]? – spytał, szeleszcząc papierowymi torebkami ciastek śniadaniowych Mulino Bianco.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co chodzi, dopiero po chwili zauważyłam, że są w nich ciastka śniadaniowe Mulino Bianco.

– Te kakaowe – powiedziałam.

Po śniadaniu Alessandro poprosił nas, żebyśmy pomogły mu ściągnąć prześcieradła z mebli i popakować je w torby. Nieznosząca kurzu i brudu Maria koniecznie chciała je przeprać.

Wreszcie lepiej przyjrzałam się stołom, kredensom i obrazom. Salon – chyba powinnam powiedzieć komnata? – ma sporo ponad sto metrów kwadratowych. W części bliżej kuchni stoi ogromny stół, przy którym mogłoby usiąść około trzydziestu osób, a może więcej. Gdyby dostawić jeszcze jeden, można by tu urządzić huczne wesele. Krzesła – wysokie, rzeźbione. Po przeciwnej stronie, w rogu, ustawiono drugi, mniejszy, okrągły stolik i cztery skórzane krzesła.

Ciekawe, jak wyglądały tu święta? – zastanawiałam się. Na pewno była wieceelka choinka i góra prezentów. Czy to tu zjeżdżała cała kilkupokoleniowa rodzina?

Przed wielkim marmurowym kominkiem stoją dwie wygodne kanapy w stylu Chesterfield, trzy fotele i ława. Czy to tu miała swoje miejsce wielka choinka?

Na ścianach wiszą obrazy – pejzaże i portrety – ten, który najbardziej mnie zaintrygował, przedstawia uśmiechniętą młodą kobietę biegnącą przez ukwieconą łąkę. Ma rozwiane, długie, kruczoczarne włosy i czerwoną sukienkę za kolano. W odróżnieniu od innych jest stosunkowo nowy, bo sądząc po stroju kobiety, pochodzi chyba z lat pięćdziesiątych XX wieku. Pod obrazem stoi zakurzona zielona skrzynia wianna malowana w kwiaty – zakurzona, bo była jedynym sprzętem w pokoju nieprzykrytym prześcieradłem.

– Chcesz dolewkę kawy? – zapytała Weronika, wchodząc z ekspresem do salonu.

– Chętnie, ale małą, a potem pójde się ubrać – powiedziałam, otulając się ciasniej białym bawełnianym szlafrokiem. – Werka, dokąd dziś jedziemy?

– Nie wiem. Zapytaj Alessandra. Byle gdzieś blisko. Aha, i ten zamek – kupujemy. Bez dwóch zdań! Popytaj go, czy wie, jak to szybko załatwić.

– Najpierw pieniądze muszą wpłynąć na konto.

– Wpłyną, wpłyną.

– Alessandro?

– Tak?

– Możesz nam polecić jakiś hotel?

– A jakie macie plany?

– Żadnych, oprócz wyjazdu do Polski za tydzień. Dobrze byłoby zostać w miarę blisko Treviso, bo tam mamy...

– ...konta w bankach – dokończył.

– Tak. I chciałabym się spotkać z Enzem, bo mam dla niego pomysł. Właściwie nie pomysł, raczej propozycję.

– Propozycję dla mojego brata?

– Tak.

– Dobrze. Coś blisko... – powtórzył.

– Tylko błagam, nie u twoich rodziców!

– Nie. Muszę zadzwonić.

*

Poszłam się ubrać. Pierwsza wada mieszkania w zamku: jesienią rano jest chłodno. Phi! Od czego są grube skarpety i kaszmir?

Gdy wskakiwałam w dżinsy, do pokoju weszła Weronika – oczywiście nie przez normalne drzwi.

– Sorki, że nie pukam, ale jakoś głupio pukać w szafę. Jesteś sama? – spytała.

– Sama, sama. Mama Alessandra zaprosiła nas dzisiaj na obiad, ale odmówiłam.

– No zobacz, jak ty fajnie mówisz: nie „żona Ernesta”, nie „mama

Enza” czy „mama Jacopa”, tylko „mama Alessssssandraaa”. – Tu zatrzepotała rżęsami.

– Te, Kupidynek, przestań.

– Oj, nie nerwuj się, bo ci zmarszczka wyskoczy, a taka ładna i zrelaksowana jesteś.

– Nie było z Alessandrem żadnego seksu. Poprzytulaliśmy się i tyle.

W tym momencie usłyszałam chrząknięcie i:

– „Seksu Alessandro”? Co to znaczy? – zapytał rozbawiony Alessandro, który właśnie wszedł. Też bez pukania. Hm...

– Werka, ja ciebie, kurna, najnormalniej w świecie zamorduję.

– Nie złość się! – uspokajała mnie. – Dobra, ja mówię, ty tłumaczysz. Tylko niczego nie przekreśl. Zaufaj mi – dodała, unosząc brwi. – Tłumacz.

Uprzedziłam Alessandra, że przetłumaczę mu, co powie Werka.

– Jestem zaskoczona i wzruszona tym, jacy jesteście wspaniali – zaczęła. – Ponieważ nie miałyśmy okazji ani czasu podziękować wam za naprawę samochodu i za nocleg, i za wszystko inne, chciałabym, i pewnie Laura też, zaprosić całą waszą rodzinę na kolację. Gdy tylko zorganizujemy nocleg i dowiem się, gdzie jest najlepszy lokal w okolicy. Chyba że mi powiesz, jakie miejsce twoja rodzina lubi, to od razu rezerwuję stolik. I chcę, żeby byli wszyscy: Enzo i Jacopo z rodzinami, jeśli chcecie zaprosić jakąś ciocię czy kogoś, zapraszajcie.

– Weroniko, nie musicie nam dziękować, bo nie ma za co. Ile razy mam to powtarzać? – odrzekł Alessandro. – Słuchajcie – zmienił temat – Enzo ustalił z właścicielem zamku, że jeśli macie ochotę tu zostać do czasu wyjazdu do Polski, to weźmie od was symboliczne sto euro za dzień. Co wy na to?

– *Grazie!* – wykrzyknęłyśmy.

*

Musiałymy użyć naprawdę mocnych argumentów, by wyciągnąć całą rodzinę Alessandra na kolację. Maria bardzo się opierała, chciała, żebyśmy przyszli do niej, miała już nawet ułożone menu, ale w końcu, dzięki naszemu słowiańskiemu uporowi, uległa.

Po dziewiętnastej kolumną liczącą trzy samochody wyruszyliśmy w drogę. Ja z Weroniką w Saabince, Jacopo z Luizą i dziećmiakami ich autem, a Alessandro i Enzo z rodzicami.

Na miejscu byliśmy po trzydziestu minutach. W drzwiach lokalu powitał nas właściciel – znali się z rodziną Grandich od lat – i zaprowadził do pięknie nakrytego stołu. Na jego środku, w dużym kryształowym wazonie stały białe, obłędnie pachnące lilie. Zaczęliśmy ustalać, kto gdzie siada, co we Włoszech zawsze wywołuje spore zamieszanie. Jest kilka szkół: mężczyzna–kobieta–mężczyzna–kobieta, pary koło siebie, pary rozdzielone. Miejsce honorowe w połowie długości stołu, miejsce honorowe na jego szczycie, kobiety po jednej, mężczyźni po drugiej. Niepisana zasada: dzieci daleko od wózka z likierami i kieliszkami.

Po tym, jak okrążyliśmy stół kilka razy, Maria zarządziła wreszcie, kto gdzie siada, a my się dostosowaliśmy. Weronika wylądowała na końcu stołu między Enzem a Luizą, a ja trafiłam blisko Marii i Jacopa, na wprost Alessandra. Po przystawkach Weronika miała na kolanach Gaię, a pierwsze danie zjadła, karmiona przez Piera, który doskonale się przy tym bawił. Przy okazji dzieci nauczyły ją kilku słów po włosku i pytały, jak mówi się to czy tamto po polsku. Gdy dowiedziały się, że słowo *cosa* (wypowiadane „koza”) i znaczące po włosku „co”, to polsku „koza”, chichotały przez dobry kwadrans. Od kozy się zaczęło, a na Koziółku Matołku skończyło. Dzieciaki obejrzały na komórce Weroniki wszystkie dostępne na YouTube odcinki i ciągle było im mało. Obiecałyśmy, że przywieziemy z Polski DVD, kolorowanki, komiksy i co tylko Koziółkowego Matołkowego znajdziemy.

– A kiedy wyjeżdżacie? – zapytał Piero.
– Za tydzień – odpowiedziałam.
– A dlaczego?
– Bo mamy w Polsce rodzinę, pracę...
– Aha – mruknął. – A kiedy wrócicie?
– Nie wiem, kochanie. Ale Koziółka możemy przesłać wam paczką.

– To nie to samo – stwierdził Piero. – Jak Koziółek na początku mówi, to nikt mi tego nie przetłumaczy, bo nikt nie zna tego waszego

polskiego.

Luisa wzięła Piera na kolana, przytuliła i wytłumaczyła, że tydzień to niezbyt długo i że jakoś wszystko potem zorganizujemy.

– Werka, rozkochałaś w sobie tego dzieciaka – powiedziałam.

*

Gdy żegnaliśmy się po kolacji, Maria przytuliła mnie i spytała:

– Ale wróćcie, prawda?

– Prawda – odpowiedziałam.

– Przecież jeszcze nie wyjeżdżają – wtrącił Alessandro.

– Jakie macie plany na jutro? – zainteresowała się Maria.

– Najpierw musimy pojechać na zakupy, a potem chciałam wpaść porozmawiać z Enzem. Poza tym relaks.

– No tak. Macie rację. Przecież jesteście tu na urlopie.

Alessandro odprowadził nas do samochodu. Pożegnał się z Weroniką, a potem podszedł do mnie, wziął moje dłonie w swoje ręce, ścisnął mocno i długo patrzył mi w oczy. Miałam ogromną ochotę go pocałować – ale nie przy całej jego rodzinie, do diaska – zaprosić na drinka, na kawę, na cokolwiek. Jednak nie powiedziałam ani słowa, a „Przytulisz mnie tak jak wczoraj?” nie było w moim stylu.

Milion innych kobiet znalazłoby tysiąc „powodów”: ciekący kran, niezamykająca się brama, skrzypiące drzwi, duchy... Ja jednak jestem ekspertem w układaniu planów i znajdowaniu rozwiązań w każdej dziedzinie oprócz mojego życia uczuciowego. Szlag by to najjaśniejszy trafił!

*

Do zamku dotarłyśmy koło dwudziestej trzeciej. Weronika wyskoczyła z samochodu i otworzyła bramę, ja wjechałam na dziedziniec, zaparkowałam i podeszłam, by pomóc jej ją zamknąć. Brama ważyła chyba z tonę. Była kuta, bogato zdobiona i oplątana suchymi łodygami pnących roślin. Wyobraziłam sobie, że wiosną i latem, gdy zamiast tych patyków są soczystozielone liście, musi wyglądać wspaniale.

Zdążyłyśmy zatrzasnąć kłódkę, kiedy usłyszałyśmy nadjeżdżający

samochód.

Otworzyłyśmy więc bramę i zobaczyłyśmy mrugającego światłami dżipa. Alessandro wjechał na dziedziniec i od razu zrobił kółko, stawiając samochód tak, by łatwo było nim wyjechać.

Wyskoczył z niego Enzo ze słowami:

– Dwie Polki za granicą, można o was nakręcić komedię!

Patrzyłam na niego z głupią miną.

Po chwili wysiadł Alessandro, trzymając coś za plecami. Podszedł do mnie i szepnął mi do ucha:

– Nic mu o naszych sprawach nie mówiłem. Słowo dżentelmena! I dodał głośno: – Jesteś pierwszą kobietą na świecie, która wyszła z restauracji, zapominając o własnej torebce.

Podał mi moją Gucci vintage, a ja w duchu dziękowałam mojej podświadomości, bo załatwiła mi to, czego świadomość załatwić nie potrafiła.

– Lampka prosecco? – spytała Weronika.

Wtedy doznałam olśnienia: Alessandro podał mi płaszcz, ja podałam torebkę Weronice, a ona mi jej nie oddała, tylko gdzieś, gamoń, położyła.

– Ty miałaś moją torebkę! – powiedziałam z fałszywym wyrzutem, celując w nią palcem.

– Przecież to ja jestem od gubienia. – Wzruszyła ramionami, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona.

Mężczyźni poszli zamknąć bramę, a my weszłyśmy do zamku.

– Chonotu – syknęłam do Weroniki. – A gdyby nas *carabinieri* zatrzymali albo nikt by torebki nie znalazł? Skąd mogłaś wiedzieć, że mi ją przywiozą, geniuszu? Tam są numery kont. Wszystko tam mam! Dziesięć tysięcy euro w kieszonce! À propos, za dzisiejszą kolację oddam ci połowę pieniędzy. Jak wszystko na pół, to wszystko!

Enzo rozpałił w kominku w salonie, podczas gdy my z Werką szukałyśmy wiaderka na lód i kieliszków. Alessandro wyjął z lodówki butelkę wina, a drugą włożył, by się schłodziła.

Po toaście Enzo zwrócił się do mnie:

– Miałaś dla mnie jakąś propozycję, tak?

– Owszem.

Wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju, bo mój mózg działa tak, jakby był na pedały: jeśli chcę coś dobrze opowiedzieć, muszę dreptać. Inaczej się zacynam albo gadam bez sensu.

– Waszym największym problemem tu, w miasteczku, jest to, że nie ma młodych ludzi, a właściwie żadnych ludzi oprócz mieszkańców, których co rok ubywa. Prawda? – zaczęłam.

– Prawda – przytaknął Enzo.

– Jak tak dalej pójdzie, to za dwadzieścia czy trzydzieści lat nie będzie tu żywej duszy – dodał Ale.

– Mimo to – ciągnęłam – wypracowaliście unikatowy na skalę światową i doskonale działający system usług. Bezgotówkowy, sprawdzający się, bo każdy ma to, czego mu na co dzień potrzeba, a robi to, co potrafi.

– To też prawda...

– Ile macie pustych domów, tych, które odkupiłeś za euro?

– Około dwustu.

– Dwieście?! *Mamma mia!* Myślałam, że o wiele mniej. No dobrze... Ponoć od przybytku głowa nie boli.

Tu wtrącił się Alessandro:

– Gdyby każdy z mieszkańców miał zapłacić podatek od nieruchomości, które posiada... może inaczej... To, co zrobiliśmy, czyli wykupiliśmy domy za *nummo uno*, uchroniło mieszkańców przed wylądowaniem pod mostem. To nie był nasz wymysł, lecz ekonomiczna konieczność.

– Jakie *nummo*? – zapytałam zdezorientowana.

– *Nummo uno* to po łacinie symboliczny cent – wyjaśnił Ale.

– Jasne. Rozumiem. – Upiłam łyk wina. Zaczynałam się rozkręcać.

– Wy w ogóle nie zdajecie sobie sprawy, że dokonaliście cudu.

Zrobiliście coś niesamowitego, teraz wystarczy mały krok i wszystko się ułoży! Na początek zakładamy fanpage na Facebooku, bo dziś, jeśli nie ma cię na fejsie, to nie istniejesz. To raz. Dwa: robimy zdjęcia okolicy, gór i wszystkiego, co piękne. Robimy też zdjęcia na placu i jak pijecie grzańca, jak Giuseppina piecze chleb... żeby dać jasny przekaz: u nas jest wspaniale. Mówiliście, że rząd chce was puścić w samych majtkach. No to żeby było o was głośno, zrobimy majtkowy happening: kupimy

hurtem męskie slipy i damskie gacie à la Bridget Jones i na każdej parze napiszemy, ile kto ma emerytury. Żeby dać ludziom do myślenia, z czego tu niby jakieś podatki płacić, skoro ledwie wiążecie koniec z końcem. W ten sposób zamkniemy pyski tym, którzy czekają, że wszyscy mają płacić tyle samo. Jak tyle samo, ja się pytam? Mieć cztery stare niezamieszkanie od czterdziestu lat domy, a cztery wille na Sardynii czy w Cortinie to chyba nie to samo, prawda? Przeciagniemy przez miasto linkę, zawiesimy na niej majtki, zrobimy zdjęcia i roześlemy do redakcji różnych gazet. Na pewno ktoś o was napisze i machina ruszy. Ale to tylko połowa planu – zazaczyłam, podstawiając kieliszek do napełnienia. – Oto druga część: gdy już będzie o San Rocco głośno i wszyscy dowiedzą się o waszej zaje-za-przeproszeniem-bistości, założymy bezgotówkową platformę turystyczną!

– Co takiego? – wybąkał oszołomiony Enzo.

– Waszą marką, towarem, będzie to, że jesteście bardzo fajnymi ludźmi! I uwaga, przyciągniemy tu innych fajnych ludzi z całego świata! – prawie krzyczałam, zdziwiona, że nikt nie nadąza za moim tokiem rozumowania.

– Stój, nie ruszaj się i przez moment nic nie mów. Idę po drugą butelkę wina – powiedział Alessandro.

Po chwili wrócił, otworzył wino, z którego – założę się, że to dobry znak – korek wskoczył do kominka.

– Na początek wyremontujemy dziesięć domów, które są w najlepszym stanie, i wyposażymy, pełen komfort – podjęłam wątek, gdy upiłam parę łyków wina. – Kochani moi, jest kryzys! Mnóstwo ludzi nie ma pieniędzy, a chciałoby wyjechać choćby na kilka dni, więc do San Rocco będzie można się zapisać przez platformę właśnie, na tydzień. Prawie za darmo – tylko za koszt zużycia prądu i wody, ale uwaga – gestykulowałam jak prawdziwa Włoszka – chętni będą musieli coś zaproponować. Na przykład, że ten tydzień odpracują albo coś подарują. Jeśli jakaś nauczycielka angielskiego zaproponuje na przykład, że zorganizuje kurs języka, wrzuca info na platformę, a my odpowiemy, czy nas to interesuje, czy nie. Jeśli budowlaniec będzie chciał podarować tynk albo dachówki – odpowiemy, czy nam to pasuje. Zrobi się ruch. Ludzie zaczną tu przyjeżdżać, a gdy będą przyjeżdżać i będzie to miało

sens, to się otworzy i bar, i fryzjera, bo już będzie dla kogo! San Rocco stanie się najbardziej *cool* miejscem na świecie! Przyciągniemy ulicznych artystów, fotografów, krawcowe!

– To jest genialne! – wykrzyknął Enzo. – Ty jesteś genialna! Mogę cię pocałować? – I zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, poczułam na czole jego usta.

– Mogę zadzwonić do Stefana Mitrione – zwrócił się Ale do Enza. – Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby po Wenecji i Nowym Jorku zgodził się zrobić wystawę obrazów u nas?

– A ja do Livia Ceschina. Pamiętasz tego litografa z Collalto? – spytał Enzo. – Na pewno nam nie odmówi! Alessandro dolał wina Weronice i podszedł do brata. Jemu też mój pomysł bardzo się spodobał, od razu zaczęli o nim żywo dyskutować. Usiadłam na kanapie koło przyjaciółki, szybko opowiedziałam jej o mojej propozycji i widziałam, jak z każdym wypowiedzanym przeze mnie słowem jej oczy robią się coraz większe.

– No tak... plany to, kochana moja, zdecydowanie ty – stwierdziła. – A właśnie: jakie masz plany wobec Alessandra?

– Hm... – Uśmiechnęłam się mimo woli.

– Do tego malowania i zakupów możemy się dorzucić – zaproponowała. – Co ty na to?

– Jestem za!

*

To była kolejna przegadana noc. Enzo z Werką zaczęli rozmawiać po niemiecku, wtrącając angielskie słowa, a ja i Alessandro doszliśmy do wniosku, że teoretycznie rzecz biorąc, każdy z każdym mógłby być szczęśliwy, pod warunkiem że obie osoby miałyby niezienne, albo i zmienne, ale te same priorytety, wcześniej jasno i szczerze obgadane. Jeśli (teoretycznie) obie strony chciałyby tego samego i dokładały starań, by do tego czegoś dążyć, to przy dużej dawce rozsądku, szacunku i miłości musi się udać.

– Jeszcze „seksu Alessandro” jest konieczne – szepnął mi na ucho. Nawet nie zauważyłam, kiedy zostaliśmy sami. Nie wiedziałam, czy Weronika poszła do pokoju z Enzem, czy on odjechał samochodem

Alessandra, a ona po paciorku grzecznie poszła spać. Bo problem z nią jest taki, że po niemal dwudziestu latach związku z Rudym, który, mówiąc szczerze, do niczego się nie nadawał, Werka w ogóle nie miała ochoty ulec czyjemukolwiek urokowi, i choćby na chwilę się zapomnieć, tak choćby nawet na sekundę. O prawdziwym zakochaniu nie było mowy. Po kilku szczerych babskich rozmowach zaczęłam się obawiać, że na tym związku kontakty Werki z facetami definitywnie się zakończą, a przecież całe lepsze życie jest jeszcze przed nami! Wiedziałam jednak, że jeśli jest na świecie miejsce, które potrafi rozbudzić zmysły nawet w kłodzie drewna, to są to Włochy. A my byliśmy we właściwym miejscu, może jednak nie wszystko stracone?

Tak więc ja i Alessandro zostaliśmy w salonie sami. Te godziny, gdy nie mieliśmy szansy na kontakt fizyczny, dały nam się we znaki, bo nagle zaczęliśmy się namiętnie całować.

Wiedziałam, że tym razem na pocałunkach się nie skończy. Na schodach Alessandro objął mnie mocno, a ja położyłam rękę na jego piersi. Gdy już byliśmy w pokoju, rozpięłam mu koszulę i poczułam na szyi jego usta.

Położył mnie na zaścielonym łóżku i nagle spytał jak najbardziej poważnie:

- Ile dzieci?
- Dwoje – odpowiedziałam z uśmiechem.
- Dwóch chłopców?
- Chłopczyk i dziewczynka.
- Zamieszkamy gdzieś tu blisko?
- Mhm... – Kiwnęłam głową.
- Umowa stoi?
- Mhm...

Va banque, pomyślałam. Ja zawsze gram va banque. Wszystko albo nic. Czekałam całe życie i... warto było. Choćby dla tej jednej nocy z Alessandrem, tu i teraz. Co będzie, to będzie.

VI KRYZYS DNIA SIÓDMEGO

W poniedziałek rano pojechałyśmy na zakupy, bo trzeba było trochę urozmaicić garderobę. Musiałyśmy wrócić w miarę szybko, bo po popołudniowej sjeście Enzo zorganizował zebranie, na którym miał zostać omówiony mój pomysł.

Spotkaliśmy się w miejscu potańcówek, czyli odświęconym kościele. Mieszkańcy San Rocco pomysł rewitalizacji miasta przyjęli z ogromnym entuzjazmem. Gdy tylko zrozumieli, o co chodzi, zaczęli się przekrzykiwać, co, kto i kiedy robi, kogo ściągnie, do kogo i po co zadzwoni. Wrzało jak w ulu. Wspólnie wybraliśmy pierwszych dziesięć domów do remontu i omówiliśmy, jakie prace należy w nich wykonać.

We wtorek przyjechali syn Prima z bagażnikiem pełnym farb, a także zięć Silvany, który ponaprawiał niedziałające kontakty oraz umocował wszystkie niebezpiecznie wystające kabelki.

Ja założyłam fanpage. Przeciągnęliśmy między domami sznurki, powiesiliśmy na nich majtki (skoczył po nie do hurtowni siostrzeniec Vittorii, tej od haftowania, były naprawdę wielkie i paskudne, ale pięknie powiewały na wietrze) i skontaktowaliśmy się z mediami, których przedstawiciele, zgodnie z naszymi oczekiwaniami, zjechali tłumnie do miasteczka. Zaczęło się od lokalnej gazety, a skończyło na BBC. O San Rocco znowu zaczęło być głośno.

Strona o San Rocco właśnie się tworzyła. Werka, udzielająca się na kilku internetowych forach poświęconych geografii i turystyce, zaczęła promować na nich nasze niezwykle miasteczko.

W chwili gdy na moje i Werki konta wpłynęły pierwsze dwa miliony euro, szorowałyśmy na kolanach podłogę w jednym z domów.

Bardzo nas to bawiło. Werka, która zamierzała pławić się w luksusie – hotele, masaże, spa – sprzątała dom opuszczony na początku lat dziewięćdziesiątych. Ale miło było patrzeć, jak mój projekt nabiera kształtu.

Chciałyśmy się też nacieszyć zamkiem, nowymi znajomymi i tym, jak zupełnie przypadkowo wariacki pomysł może stać się pomysłem na życie. Zapraszałyśmy gości na śniadania, obiady i kolacje. W kuchni bulgotało, w salonie wrzało. Jedni wychodzili, inni przychodzili w odwiedziny, zupełnie jakbyśmy mieszkały w San Rocco od zawsze.

Teraz też urzędowałyśmy w kuchni i pichciłyśmy. Tym razem tylko małą przekąskę dla siebie – skromną caponatę.

– Weź to ode mnie, bo zaraz upuszczę – powiedziała Weronika, podając mi miskę z sałatą.

– Jeśli spadnie, to nic się nie stanie, bo mówiłaś przecież, że można jeść z podłogi, tak ją wyszorowałaś – zażartowałam, po czym wzięłam miskę i postawiłam ją na stole.

– Chcesz wina? – spytałam.

– Chętnie, dzięki. Rety, jak ten czas zleciał. Pojutrze wyjeżdżamy! Ależ mi się nie chce.

– Przecież nie na zawsze!

– Niby tak... O której mamy jutro notariusza? O szesnastej?

– Nie, przełożone na siedemnastą trzydzieści.

– To może i lepiej, bo zdążę skoczyć do fryzjera. – Werka spojrzała na swoje paznokcie. – Rany, ale zniszczone. Pedicure też by się przydał.

– Paznokcie ja ci mogę zrobić – zaproponowałam, patrząc na swoje dłonie i krzywiąc się. – Przy okazji zrobię też moje, bo się tylko do kapitalnego remontu nadają.

– Wspaniale, to muszę tylko ogarnąć siano na łbie i stanę się człekopodobna.

– Nie przesadzaj. Jesteś śliczna jak z obrazka, tylko więcej ognia, więcej ognia! We Włoszech przecież jesteśmy, a wokół pełno Włochów!

– wykrzyknęłam takim tonem, jakbym była sprawozdawcą sportowym albo właścicielką agencji matrymonialnej.

– Taaak, średnia wieku osiemdziesiąt lat – mruknęła Weronika i poszła robić się na bóstwo.

*

Enzo przyjechał, zanim zdążyłyśmy zjeść lunch. Przywiózł ciepłe bułeczki upieczone przez Marię i złą wiadomość: właściciel zamku złamał obojczyk, jeżdżąc na nartach, w związku z tym nasze dzisiejsze spotkanie zostało odwołane. Poczułam się nieco rozczarowana.

– To co robimy? – zwróciłam się do Weroniki.

– Daj mi moment pomyśleć...

– Może po prostu kupimy, gdy wrócimy?

– W sumie, skoro tyle czasu stał pusty, jest raczej mało prawdopodobne, że podczas naszej nieobecności ktoś nagle zapragnie go kupić, prawda?

– No chyba tak... ale teraz o San Rocco wszędzie się mówi... dobra. Co ma być, to będzie!

– Nie ma czasu na to, by pan Ennio wyznaczył pełnomocnika – tłumaczył nam Enzo – ale nie wycofuje się ze sprzedaży. Tak się cieszył, że was pozna...

Zaczęłam się zastanawiać, czy to opóźnienie to jakiś znak. Może za szybko się w to pakujemy? No, ale skoro pieniądze zostały wygrane we Włoszech, to wypadałoby zostawić tu chociaż ich część. Ale czy koniecznie tu? Hm... „Wypadałoby”... Czy to nasz moralny obowiązek?

– Mam pomysł – powiedziała Wera. – Damy Alessandrowi upoważnienie poświadczane u notariusza, a on kupi zamek w naszym imieniu. Proste.

Podzieliłam się z nią moimi wątpliwościami, ale zostałam zrugana, zagadana i tyle było mojego marudzenia.

Po obiedzie poszłam się położyć, a żeby połączyć przyjemne z pożytecznym, z łóżka ogarniałam wzrokiem wszystko, co musiałam spakować. Mowy nie ma, żebym upchała to w aucie. Chyba że luzem w bagażniku. Uśmiechałam się do dużej papierowej torby, w której znajdowało się moje torebkowe szaleństwo: beżowe cudo, nie od Gucciego, lecz od Prady. Torba była duża, miała długi pasek na ramię i uszy, by wygodnie nosić ją w ręku. Nie potrafiłam też odmówić sobie pasujących do niej kozaków. Teraz pozostało mi tylko zdobyć się na odwagę, by te rzeczy, warte mniej więcej tyle, ile mój samochód, włożyć i przygotować się psychicznie, żeby nie płakać po pierwszej rysce.

*

Ostatni wieczór przed wyjazdem spędziliśmy z Alessandrem i jego kolegami z pracy, którzy przyjechali do Treviso na zaplanowaną długo przed naszym poznaniem się kolację. Mieli coś świętować. Oczywiście wolałabym być z nim sam na sam, albo z jego rodziną, albo choćby z mieszkańcami San Rocco, ale, niestety, nie miałam na to wpływu: jeśli chciałam spędzić czas w jego towarzystwie, musiałam pójść na tę kolację.

Nie czułam się dobrze w towarzystwie koleżków Alessandra. Moja naiwność kilka razy dostała w pysk. Wiedziałam oczywiście, że do sądu idzie się po wyrok, a nie po sprawiedliwość, ale, na litość boską, sarkazm powinien mieć jakieś granice. Po tym, gdy jeden z nich chwalił się, że wygrał trudną sprawę dotyczącą zanieczyszczenia środowiska w okolicy, gdzie na nowotwory choruje więcej dzieci niż w pozostałych regionach Włoch, zrobiło mi się niedobrze. Oczami wyobraźni widziałam matki, których nie stać na równie skurwysyńskiego adwokata, i było mi ich cholernie żal.

Potem rozmowa zeszła na głośną sprawę zamordowania studentki. Po kilku latach procesu oboje oskarżeni zostali uniewinnieni. Dobra, *good job*, tylko w mojej głowie znów pojawia się pytanie: Czy jeśli kobieta mecenas prowadzi fundację broniącą kobiet, będących ofiarami przemocy, jeśli ona tym bitym i maltretowanym pomaga, i na tym buduje swój wizerunek i jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych adwokatek w kraju, to czy powinna być obrońcą mężczyzny oskarżonego o zamordowanie młodej kobiety?

Ja pierdzielę, na jakim świecie my żyjemy? – pytałam się w duchu, gdy poczułam drażniący ostry zapach kogoś, kto wylał na siebie całą butelkę perfum. Matko jedyna, jak mnie w nosie kręci. Aromat ten poprzedzał stukot szpilek. Po chwili koło Alessandra, mojego Alessandra, stanęła kobieta – długonoga, ubrana w czarny kostium, pewnie od Armaniego, i założę się, że również w koronkową odłotową bieliznę i seksowne pończochy.

– *Hello everybody* – przywitała wszystkich i cmoknęła Alessandra w policzek, zostawiając na nim ślad szminki, by po chwili ścierać go ociekającym seksem gestem.

No tak, dla niego buziak i ręka na ramieniu, jakby był jej własnością, a dla reszty *hello*. Kim ta baba jest?

– Jennifer – przedstawiła się, wyciągając do mnie rękę. Paznokcie miała pomalowane na kolor krwistej (a jakżeby inaczej!) czerwieni, a uścisk zdecydowany, męski, jakby chciała dać do zrozumienia jedynej samicy oprócz niej, że ona tu rządzi. – Ty musisz być tą Polką, która się zgubiła, prawda?

Zgubiła?! Alessandro powiedział tej wampirzycy, że się zgubiłam, i nic więcej? Tak mnie przedstawia? Tak o mnie mówi?

– W pewnym sensie – wybąkałam.

Pokazała kelnerowi, żeby przestawił jej krzesło i przełożył nakrycie, by mogła usiąść koło Alessandra. A gdy zobaczyła moją torebkę, wykrzyknęła:

– *Oh my God!* Ma ze trzydzieści lat prawda? Mój tata kupił mamie taką, gdy podróżowali po Europie, ale ona uznaje tylko francuskie marki: Vuitton, Hermes, Chanel... i tata trzymał w niej gwoździe w garażu! Uwierzycie! Ha, ha, ha!

W ten sposób moja torebka od Gucciego została publicznie poniżona. A ja razem z nią.

Chciałam jej coś odpowiedzieć, odpysknąć jakoś, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Nie mam i nigdy nie miałam kompleksów z powodu tego, że jestem Polką, nie czuję się gorsza, bo trzydzieści lat temu ktoś trzymał gwoździe w torebce, która wtedy kosztowała tyle, co w Polsce samochód. Kim ona, do diaska, jest!?

– Jennifer jest córką naszego amerykańskiego wspólnika – wyjaśnił Alessandro, jakby czytał w moich myślach. – Skończyła prawo, jest u nas na wymianie, a nasz kolega pracuje w kancelarii w Nowym Jorku.

Wcale mnie to nie uspokoiło. Co za wydra. Oczy jej wydrapię. Pierdolizm i nepotyzm, pomyślałam. Córnka tatusia wspólnika, cholera jasna! Wszyscy, kurde, mądrzy, gdy im się gotowe życie na tacy poda.

– Dlaczego w Ameryce jest tylu ludzi z poważną nadwagą?
– wyparowałam bez sensu.

– *Well* – bąknęła zaskoczona Jennifer – to zależy od stanu, w Kalifornii ludzie są szczupli, uprawiają sport...

– Tak, wiem, a każda kelnerka z Los Angeles zostanie oscarową

aktorką. Nie byłam nigdy w USA, jakoś mnie tam specjalnie nie ciągnie – kontynuowałam – ale czy wy macie oprócz cheeseburgerów, hot-dogów, indyka na Święto Dziękczynienia i genetycznie modyfikowanej kukurydzy coś normalnego jedzenia?

Wywiązała się dyskusja na temat kuchni, warzyw obecnych tylko w niektórych krajach i tego, gdzie żyje się najlepiej, wyłączając Włochy. Wyszło, że w Nowej Zelandii, Szwajcarii i Norwegii. W tej chwili wyjechałabym nawet to Tadżykistanu, byle nie siedzieć w tej knajpie.

Ciekawe, jak spędzają czas Weronika i Enzo? – zastanawiałam się, obracając w palcach kieliszek i patrząc, jak w czerwonym winie odbija się światło świec. Na pewno bawią się lepiej niż ja.

Po pierwszym daniu zdałam sobie sprawę, że właściwie nie znam Alessandra.

Po drugim zrobiło mi się niedobrze.

Przy deserze Jennifer, najwyraźniej pragnąca czegoś więcej niż stosunków służbowych, położyła rękę na jego udzie.

Nie chciałam robić scen, ale w środku aż się gotowałam. Gdy chciał przesunąć jej dłoń, ona zaborczo złapała go rękę. Moje spojrzenie zawędrowało niżej i dopiero teraz zauważyłam, że jej studentymetrowa szpilka leży na podłodze, a ona mizia go stopą po łydce. Alessandro zaczął się pocić i rozglądać nerwowo, ale tak naprawdę nie wiedziałam, czym się tak denerwuje: tym, że ta baba tak otwarcie go kokietuje, czy tym, że robi to przy mnie. Czy kiedyś coś ich łączyło? Przecież mógł mnie uprzedzić! Każdy miał kiedyś jakiegoś eksa. A jeżeli ona wcale nie jest eks? – zaświtała mi w głowie straszna myśl – a Alessandro to zwykły bawidamek i łotr? W każdym razie, gdyby nie przedstawił mnie jako zagubionej sieroty przybyłej ze Wschodu, ta flądra pewnie zachowywałaby się inaczej.

Po kilku łyżeczkach tiramsu, które z trudem przełknęłam, doszłam do wniosku, że to ja jestem tą trzecią. Taaak, skusiła go moja słowiańska uroda (nieważne, że nie mam blond warkoczy i błękitnych oczu, ale dla Włocha na pewno jestem egzotyczna), to że byłam tylko przejazdem, więc mógł się zabawić bez zobowiązań i pewnie moje pieniądze, kto wie? Zrobił skok w bok, teraz jednak doszedł do wniosku, że lubi odór perfum Jennifer, stukot szpilek, nowe luksusowe torebki i że to u jej

amerykańskiego kościstego boku chce spędzić resztę życia.

No to co ja tu robię?!

W moment obmyśliłam plan: napisałam SMS do Weroniki, ona oddzwoniła, a ja poprosiłam, żeby po mnie z Enzem przyjechali. Pożegnałam się, mówiąc, iż moja przyjaciółka mnie potrzebuje, i wyszłam. Alessandro wyskoczył za mną, zapewniłam go jednak, że wszystko w porządku. Uznałam, że jakoś za szybko go to uspokoiło. Wolałabym, żeby trochę ponalegał, błaganie na kolanach też byłoby niezłe, ale widać spieszyło mu się do chudego tyłka amerykańskiej wywłoki!

*

– Nie wierzę, że są parą. No po prostu nie wierzę – powiedziała Werka, robiąc nam po drinku. – To zupełnie do niego nie pasuje!

– Srata, ta, ta. Wiem, co widziałam. A poza tym, jak nie pasuje! Jest przystojny i zamożny, to ma powodzenie. To normalne przecież. Gdzie on by się taki sam uchował, pomyśl!

– Jeśli naprawdę czujesz, że cię oszukał, to zakończ tę historię od razu. Rudy po raz pierwszy zdradził mnie kilka miesięcy po ślubie. Wybaczyłam mu. Jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie.

– Poważnie?! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?!

– Nie chciałam, żebyś była do niego uprzedzona.

– Byłam do niego uprzedzona, od kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, więc próżny twój trud. Miał chytre świńskie oczka i cię nie szanował. Zaglądał babkom w dekolt, no a gdy ściągał buty, to... no wiesz. *Sorry*. Nareszcie to z siebie wyrzuciłam.

– Nie przejmuj się. Wiem! Ale proszę, obiecaj mi, choć jest to raczej niemożliwe, że gdybym związała się z jakimś kolejnym patafianem, to mi od razu szczerze powiesz, co myślisz, zgoda?

– Zgoda.

A miało być tak pięknie... – westchnęłam i zapatrzyłam się w wygasły kominek.

*

Przed wyjazdem widziałam się z Alessandrem tylko przez moment.

Nie lubię pożegnań, więc szybko cmoknęłam go w policzek i wskoczyłam do samochodu, a on został z trochę głupią miną. Niepokoilo mnie, że nie próbował się tłumaczyć, ale co tam, to już zamknięta sprawa. Mam nauczkę.

Prowadząc, rozmyślałam nad swoją głupotą i dopiero w ostatniej chwili, o mało nie doprowadzając do zderzenia, skręciłam na autostradę, bo najwyraźniej ciągnęło mnie do Włoch, a nie do Austrii i Polski.

Najbardziej bolała mnie świadomość, że wszystkie moje cudowne plany najprawdopodobniej trafił szlag.

VII BEZSENSOWNY BEZSENS

Przez pierwsze dni po powrocie do Polski chodziłam jak zombie. Alessandro próbował się do mnie dodzwonić, ja jednak konsekwentnie nie odbierałam jego telefonów, tylko wysyłałam SMS-y, że jestem zajęta i gdy znajdę wolną chwilę, to na pewno się odezwę.

Miałam najszczerzą ochotę zwolnić się z pracy, bo chodziłam do niej tylko po to, by mieć mniej czasu na głupie rozmyślenia, rozpaczanie i uzalanie się nad sobą. Tylko że nie miałam planu B.

W niedzielę ja i Werka byłyśmy zaproszone na obiad do moich rodziców. W ogóle nie miałam ochoty tam iść, bo kto jak kto, ale moja mama zna mnie doskonale i widzi, gdy coś jest nie tak, a dopadł mnie sercowy dół... I do tego kac moralny. Świadomość, że oszukuję moich bliskich, nie robiła mi najlepiej. Rodzice nie wiedzieli, że zasiądą do stołu z milionerkami. Nie mogłam im kupić czegoś superfajnego, żeby nie wzbudzić podejrzeń, poza tym nie miałam zakupowej weny. Najchętniej zaszyłabym się w domu na zawsze i płakała nad moim marnym żywotem. Ograniczyłam się do kupienia tortu z Batidy i włoskiego wina – niby przywiezionego z wojażu. Na szczęście pamiętałam, żeby ściągnąć polską banderolę. Włączyłam uśmiech, i stwierdziłam, że doskonale nadaję się na pierwszą damę, która pod maską dobrych manier skrywa prawdziwe uczucia.

U rodziców nie było włoskiego gwaru ani biegających dzieci. Nie było makaronu, tylko zasmażana kapusta, ziemniaki przywiezione ze wsi i trzymane w piwnicy oraz kotleciki z selera. Pyszne. Jak to u mamy.

– Co nam jeszcze opowiecie o waszych włoskich wakacjach?
– zagadnęła moja siostra Klara.

Popatrzyłam na Werkę, a ona na mnie.

– A co się tutaj działo? – odpowiedziałam szybko pytaniem.

– Martyna się zakochała.

Martyna to nasza kuzynka, córka siostry mojego taty. Zakochuje się intensywnie i często. Na każdą rodzinną imprezę przyprawia

innego amanta, ale ponieważ ma wyjątkowo niewyparzony pysk, nikt nie śmie tego komentować. Byli motocyklista z brodą do pasa i muskularny nabotoksowany trener, był rolnik, który nie szukał żony, informatyk, którego zwinęła policja, bo włamał się na czyjeś konto bankowe i je wyczyścił, kilku szemranych biznesmenów i barman alkoholik.

Brakowało tylko księdza.

– Tym razem oszalała do reszty – dodała Klara.

– Mogli ją sprzedać za siedem kóz – powiedział mój tata, machając ręką.

– Tato, a kto by ją kupił! Kolejną miłość swojego życia znalazła przez internet – oznajmiła Klara.

– Nie bądź złośliwa – upomniała ją mama.

– Przecież nie jest! – wziął ją w obronę tata. – Wstyd na całą rodzinę i... pół miasta. Pojechała do Francji, a tam się okazało, że oprócz wielkiej miłości czekały na nią jego...

– ...trzy żony – dokończyła Klara.

– Bigamista?! – wykrzyknęłam.

– A ona miała być czwartą? – upewniła się Werka.

– Tak, czwartą. Jaja normalnie – prychnęła moja siostra. – Niech mi ktoś wytłumaczy, jak można w jej wieku być tak naiwną, żeby myśleć, nawet zupełnie hipotetycznie, o porzuceniu ojczyzny, pracy, rodziny i wyjechaniu w cholerę, żeby z dopiero co poznanym chłopem rodzinę zakładać, no! A na dodatek chciała mieć dzieci. Akurat z nim. Nosz mać! – zaklęła.

– Dziecko, nie przeklinaj. A swoją drogą... – tu tata popadł na chwilę w zadumę – z jedną żoną trudno wytrzymać, a co dopiero z trzema.

– Janek! – fuknęła oburzona mama.

– Chciałam zauważyć – odezwała się Werka – że miliony muzułmanów mają po kilka żon i jakoś to znoszą, ale nie ma na całym świecie kobiety, która zniosłaby czterech mężów.

– Chyba że kilka razy zostanie wdową... – dodała Klara.

– Albo rozwódką, jak Liz Taylor, świeć Panie...

Mama powiedziała to takim tonem, jakby najpiękniejsza na świecie Liz była kimś z rodziny albo co najmniej sąsiadką czy koleżanką.

Wybuchnęliśmy śmiechem, a ja odetchnęłam z ulgą, że dzięki durnej kuzynce uniknęłam wypytywania o nasze włoskie wakacje.

*

Do domu wróciłam w dobrym humorze. Gdy wyjęłam z torebki komórkę, zobaczyłam siedemnaście nieodebranych połączeń, z czego szesnaście od Alessandra i jedno od Werki.

Po co do mnie dzwoni, skoro przed chwilą się rozstałyśmy?

– Tak sobie myślę, czy ty na pewno dobrze robisz... – zaczęła, gdy do niej oddzwoniłam – to znaczy taki Alessandro... Wiesz, ta cała Jennifer w ogóle do niego nie pasuje. Poznałyśmy jego rodzinę, oni wiedzieli, że coś między wami jest... i tak cię, no i mnie przy okazji, ładnie przyjęli, więc ta laska raczej nie jest jego narzeczoną.

Obiektywnie na to patrząc.

– Obiektywnie na to patrząc, Rudy przyprawił ci rogi tak wielkie, że w drzwiach się nie mieściłaś – przypomniałam jej. – A my z Alessandrem znaleźliśmy się zaledwie kilka dni.

– Wygląda na to, że wpadłaś w histerię. Za dużo dramatów oglądasz.

– A ty naczytałaś się harlequinów!

– Weź się zastanów, Laura, jakie sygnały ci wysyłał. Przecież wie, ile masz lat i że nie jesteś jakąś naiwną dzierlatką.

– Jezu, co ci się dzisiaj stało?! Kapusta mojej mamy ci zaszkodziła czy ki pieron?!

– Przestań się dąsać i włącz wreszcie myślenie!

– Czego ty ode mnie chcesz? – warknęłam.

– Żebyś była *happy* chcę. A ty zachowujesz się jak nastolatka – odrzekła niezrażona Weronika. – Ja tam z tobą byłam, widziałam, jak cię traktował, jak na ciebie patrzył. Przez głupi upór lada moment przegapisz życiową szansę...

– Szansę na bycie pohańbioną i zdradzoną?! – rzuciłam ze zbędnym dramatyzmem rodem z *Trędowatej*. Widać miłosne zawody sprawiają, że osuwam się w domenę kiczu.

– Ech, nie mam do ciebie siły – westchnęła Werka i się rozłączyła.

A ja miałam ochotę zwinąć się w kłębek pod kołdrą i snuć gorzkie

rozmyślania. Co też uczyniłam i skuteczniałam do samego rana. Kto bogatemu zabroni?

*

W poniedziałek stawiałam się grzecznie w pracy jak każda normalna osoba żyjąca od wypłaty do wypłaty. Odnosiłam niejasne wrażenie, że podczas mojej nieobecności ktoś urzędował przy moim biurku i coś sobie z niego pożyczył – na przykład moje ulubione karteczki do zaznaczania w kształcie piesków – ale pierwszego dnia po urlopie postanowiłam się nie awanturować. Dostałam do napisania tekst na superciekawym temat: Ewolucja męskich gadżetów na przestrzeni wieków.

Historia od sakiewki po... no właśnie, po co? Po: „Do twarzy mi? Powaga? No we! Mi pasuje taka torebka, ojej, no dzięki”!

No, chyba że chodzi o od pędzla po smartfona, czyli jak mężczyźni robili portrety kobiet. Nie jestem tylko pewna, czy pędzel to gadżet.

Mogłabym też napisać o kaskach: od hełmów, takich od zbroi, po górnicze czy motocyklowe. Pozostaje jednak pytanie: czy kask to gadżet?

Jezu, po co ja się tu męczę?

Mogłabym dokądś wyjechać, dokądkolwiek, i coś robić, cokolwiek, otworzyć lodziarnię w Amsterdamie czy w Alicante...

Tęskniłam za Alessandrem. Cholernie tęskniłam. Ambicja nie pozwalała mi jednak się do tego przyznać, więc udawałam sama przed sobą, że nie tęsknię. Nosiło mnie od nadziei do rozpacz.

Miałam plan: powiem Klarze, że może u mnie zamieszkać, a swoje mieszkanie wynająć. To pomogłoby jej i nie było podejrzane. Ja i Werka zamierzałyśmy przecież wyjechać, mówiąc, że znalazłyśmy we Włoszech ciekawą pracę przy promocji turystyki regionalnej. Pracę z mieszkaniem oczywiście. No ale po co mam tam jechać, skoro Alessandro okazał się szubrawcem? Zostanę jak głupia z zamkiem na jakimś zadupiu i będę dokarmiała coraz więcej kotów?!

No dobrze, przygarnę też trochę psów. Lubię koty, Kocham psy. Buuuu!!!!

Pieprzona Jennifer i pieprzone gwoździe jej ojca w pieprzonej

starej torebce. Wszystko pieprzone! Na pomoc!

*

Czwartek. Dzień jeszcze dobrze się nie zaczął, a ja już mam dość. Wstałam lewą nogą i wlałam w stojący obok łóżka kubek niedopitej cholera jasna herbaty. Nie mogłam zjeść śniadania: chleb miałam tylko w zamrażarce, a wczoraj oczywiście zapomniałam go wyjąć.

Padał śnieg z deszczem, chlapa po kolana, wiatr zacinał mi w twarz, jakby był moim największym wrogiem. Dotarłam do redakcji i od parteru słyszałam wrzaski. Po co w ogóle ja tu przyszłam? – zastanawiałam się, pokonując kolejne piętra, bo winda znowu nie działała. Mam jakiś syndrom masochizmu rozdwojonego? Rozdwojonego, bo dotyczy on zarówno życia prywatnego, jak i zawodowego.

– Laura, kurwa, dlaczego nie odbierałaś telefonów?! – wydarł się na mnie Wincent, gdy tylko stanęłam w drzwiach.

„Laura, kurwa” co to ma być?

– Nikt do mnie nie dzwonił – powiedziałam, wyjmując telefon z torebki i z przerażeniem stwierdzając, że mam pięć nieodebranych połączeń. Był wyciszony. Schowałam go do kieszeni kurtki.

– Co się dzieje? – spytałam, widząc miotające się po redakcji koleżanki.

– Kurwa, Ewka odeszła i potrzebujemy tekstów, bo nie wiadomo, co u konkurencji ta suka puści. Daj mi jakiś twój zapas – zażądał uważający się za Pana Boga szef.

Jezuuu, „kurwa Laura”, „kurwa Ewka”, czy on myśli, że w burdelu pracuje?!

– Albo dwa zapasy – dodał.

Zapas... Mamy w redakcji niepisane prawo, a właściwie obowiązek: musimy mieć gotowe teksty na wypadek śmierci znanych ludzi, takie ogólne, kim byli, co robili, z kim byli związani, żeby potem szybko wrzucić je na stronę, dokładając, o ile to możliwe, makabryczne detale. To raz. A dwa: każdy z nas ma mieć minimum trzy teksty w zapasie, całkowicie gotowe, na wypadek gdyby na przykład okazało się, że wychodzący kilka dni wcześniej konkurencyjny magazyn dał na

okładkę te same tytuły co my. Założmy coś w stylu:

Cienie do oczu na wiosnę dla blondynek

Jak szybko schudnąć po zimie

Oczaruj teściową elegancką ponadczasową garsonką

A my:

Jesteś blondynką? Oto wiosenny makijaż dla ciebie.

Bądź w formie po zimie!

W takiej garsonce pokocha cię nawet teściowa.

Zonk! Net, to net, rządzi się swoimi prawami, szybko można coś edytować i zmienić, jednak dwa podobne modowe magazyny leżące obok siebie na półce nie mają szans. Właściwie to my nie mamy szans, bo później trafiamy do kiosków. Wtedy na wariata zmieniamy okładkę, jeśli się da, wciskamy na nią teksty, które miały być w środku, jednak nie zawsze jest to możliwe, choćby dlatego, że Wincenty Pierwszy Pierdolnięty tekstów niektórych z nas na okładkę wpuścić po prostu nie chce. Za duży zaszczyt.

– Jak by co to dzień dobry – rzuciłam, siadając do biurka.

Odpaliłam komputer. Przeczytałam kilka najnowszych e-maili. Wszystkie dotyczyły nowego numeru. Otworzyłam folder z zapasami. Całe szczęście coś w nim mam, pomyślałam, wysyłając Wincentemu moje zapasowe tytuły: *Bądź sexy podczas deszczu, Kapeluszone szaleństwo dopasowane do kształtu twarzy i Ślub zimą? Tego unikaj.*

Pomyślałam, że wejdę na moment do internetu, zobaczyć, jakież to tragedie, oprócz moich osobistych, spadły ludzkości na głowę przez ostatnie dwanaście godzin. Zaczęłam czytać o kryzysie w Grecji, gdy usłyszałam za sobą kroki szanownego szefa. urozmaicone kurwami i innymi wrzaskami.

Minutę później opadły mi ręce i wszystko, co mogło opaść. Okazało się, że Aleksandra, znając niezmiennie od lat hasło, weszła do mojego komputera, bezczelnie wykradła z niego moje zapasowe teksty i przesłała jako swoje. Oczywiście zostały już uwzględnione w nowej makiecie numeru i oczywiście Wincenty nie miał najmniejszego zamiaru ani przestać się drzeć, ani tym bardziej uwierzyć, że moje artykuły są naprawdę moje.

– Czy możesz się uspokoić? – zwróciłam się spokojnie do

Wincentego Zająca.

On jednak nie zamierzał się uspokoić, tylko wyrzucił z siebie kolejną wiązanekę, a właściwie bukiet przekleństw. Zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę muszę pozwalać się takiemu Zającowi poniewierać. W imię czego, do cholery? Za kogo on, Wincenty Zajac się uważa? I za kogo uważa mnie? Za jakieś zahukane czterdziestoletnie popychadło?!

– Siadaj, kurwa, i pisz! – usłyszałam.

– A weź ty się, kurwa, babo (z akcentem na „babo”), czep tramwaja, a nie mnie – rzuciłam. – Jutro dostaniesz moje wymówienie i nie wkurwiał mnie, bo oskarżę cię o mobbing – ostrzegłam go, zbierając spokojnie swoje rzeczy.

Wincenty zamarł z otwartą gębą.

– Zdechniesz z głodu – oznajmił, gdy doszedł do siebie. – Zrobię ci taką reklamę, że nikt cię nie zatrudni.

Dzięki Bogu nie musi, pomyślałam, a na głos rzuciłam:

– Ej, Zajac, *nu, pogodi!* – I wyszłam z podniesioną wysoko głową.

Po raz ostatni – hurra! – wracając z pracy do domu, zajechałam na stację zatankować. Gdy płaciłam, zaświergotała komórka.

– Cześć, kochana, jakie masz plany na święta? – zaświergotała Marta, charakterologicznie najbliższa mi kuzynka. Jesteśmy w tym samym wieku, po tych samych studiach, z tą różnicą, że ona pisze w regionalnym dzienniku o lokalnej polityce, czasem o edukacji, a ja o kaskach albo rajstopach.

– Nie mam jeszcze planów, a co?

– Bo mnie się marzy wielkie Boże Narodzenie. Takie jak kiedyś, żebyśmy się całą rodziną gdzieś spotkali, na kilka dni zaszyli. Może w jakiejś agroturystyce, sama nie wiem. Każdy tak pędzi, czasu mało, wesel nie ma, dzieci nie ma, jak tak dalej pójdzie, to się będziemy tylko na pogrzebach spotykali.

– W sumie racja – przyznałam, choć tak naprawdę ostatnią rzeczą, na którą miałam teraz ochotę, to spotkanie się z całą rodziną.

Chciałam dokądś uciec, schować się, wybudować domek na drzewie i otoczyć go drutem kolczastym, oczywiście pod napięciem.

– Zastanowię się nad tym – obiecałam na odczepnego i się

rozłączyłam.

Gdy nieco zmarznięta dojechałam do domu, wskoczyłam we flanelową piżamkę w pieski i zapaliłam w sypialni kadzidełko.

Usiadłam na łóżku, nie wiedząc, co ze sobą począć. Wstałam, poszłam do dużego pokoju, usiadłam na kanapie, wzięłam kartkę, pod którą podłożyłam kilka numerów eks-mojego czasopisma, żeby lepiej mi się pisało, i postanowiłam, że nie pójdę spać, dopóki nie spiszę, czego tak naprawdę chcę.

Popatrzyłam w sufit, popatrzyłam na okno, włączyłam i wyłączyłam telewizor. Zrobiłam sobie herbatę.

Nic nie przychodziło mi do głowy.

Co mogę zrobić dzięki pieniądzom, które tylko czekają, by mnie uszczęśliwić?

Zero pomysłów.

Pomóc komuś?

Spojrzałam na zegarek. Rety, dopiero osiemnasta, a ja już w piżamie?!

Cholerne jesienne ciemności.

Decyzja podjęta: ubiorę się i pójdę coś sobie kupić.

Coś, co poprawi mi humor.

Na przykład... hm...

*

O dziewiętnastej byłam pod centrum handlowym. Zaparkowałam Saabinkę i gdy miałam wejść, zobaczyłam niedużego psa przywiązanego do stojaka na rowery. Drżał z zimna. Postanowiłam do niego zagadać, a jak się uda, to pogłaskać. Piesio był najwyraźniej zadowolony ze znajomości ze mną, bo pomachał nieśmiało ogonem. Gdy zdobyłam jego zaufanie, nadszedł ochroniarz i powiedział, że mogę go sobie wziąć, bo siedzi tu od poprzedniej nocy. Ktoś go przywiązał i zniknął. Dzwonili do hycła, ma po niego przyjechać. Może jutro. Może nie. Pies siedzi i na cud czeka, trzęsie się cały i zastanawia, kiedy jego ludzie po niego wrócą. Nie wie biedak, na jakie menty trafił. W mądrej psiej głowie nie mieści się ludzkie zło. Na szczęście ochroniarz go karmił. Było mu żal psiaka, więc proponował go każdemu, kto wchodził do centrum, jednak

niektórzy mówili, że nie mogą, inni, że mają już psa, jeszcze inni udawali, że nic nie widzą i nie słyszą. Marznące istnienie to nie ich problem. Pieprzona znieczulica.

– Chcesz pojechać do mnie? – zapytałam kudłatego stwora.

Merdnął wesoło ogonem.

– Ja go pani przytrzymam – zaproponował ochroniarz. – Zaraz przy wejściu jest sklep zoologiczny, potrzebuje pani coś dla niego? Ja tu zarabiam pięć złotych na godzinę, wie pani, ale się dorzucę. Dam pani całe sto złotych – powiedział, wyjmując z kieszeni portfel. – Kupi pani karmę czy posłanie. Ja nie mogę go zabrać, bo mam już cztery znajdy i one żyją tak razem, w stadzie, i nie tolerują obcych psów. A ja pracuję po dwanaście godzin.

– Nie chcę od pana pieniędzy! Ale może ktoś po niego wróci?

– spytałam z nadzieją.

– Pani, ja na kamerze widziałem. Wczoraj o trzeciej rano skurwysyny, przepraszam bardzo, podjechali, przywiązali i odjechali z piskiem opon. Nie wrócą, pa-ni złota. Dobrze, że go tutaj zostawili, a nie w lesie! Pytałem o pozwolenie, żeby go do naszej kanciapy wziąć, żeby się ogrzał, ale szefowa nie lubi zwierząt. To go tak o, pani zobaczy – podniósł kudłatą zmarzniętą kulkę i rozpiął kurtkę – za pazuchę wsadzałem, gdy nikt nie patrzył.

– A to sunia czy samiec? – zainteresowałam się.

– Ja mu tam podwozia nie oglądałem, ale w tych kudłach i tak nic nie widać.

*

Wróciłam więc do domu z psem nieznanego płci. Kupiłam mu tylko coś do jedzenia i miski. Uznałam, że na razie może spać na kanapie, na łóżku lub na dywanie. Wypłaciłam w bankomacie tysiąc złotych i gdy żegnałam się wylewnie z ochroniarzem o złotym sercu, wsunęłam mu pieniądze do kieszeni.

Kudłacz zachowywał się tak, jakby doskonale znał mnie i mój samochód. Rozgościł się na siedzeniu pasażera i wtedy zauważyłam, że nie ma jąder. Dziewczynka.

– Mała, jak chcesz mieć na imię? – spytałam. W odpowiedzi psiak

polizał mnie po ręce.

*

Zalogowałam się na fejsa, wrzuciłam nowy status: *It's a girl*. W ciągu czterdziestu minut otrzymałam szesnaście wiadomości i dziesięć telefonów z gratulacjami.

Wy tłumaczyłam, że chodzi o psa, a nie o dziecko, jednocześnie czując się megadowartościowana, bo wreszcie byłam odpowiedzialna za kogoś oprócz siebie.

Postanowiłam kudłacza wyprać i pomyśleć w nocy nad imieniem.

Gdy leżałyśmy razem w łóżku, dostałam wiadomość od Alessandra.

Trzy słowa: *Adesso ho capito* („Teraz rozumiem”).

Nosz kurna, czas najwyższy zrozumieć, zdradziecki palancie, pomyślałam. Ja chcę być kochaną, nie kochanką.

Na wszelki wypadek nie odpisałam. Niech się pomęczą.

*

Podczas wizyty u weterynarza okazało się, że sunia to nie sunia, lecz wykastrowany samiec, że ma na imię Czarli (dokładnie tak pisane), że rok temu został wzięty ze schroniska, że ma właściciela i czip, i że zgodnie z obowiązującym prawem powinnam oddać go na dwa tygodnie do schroniska, gdzie przeszedłby kwarantannę, po czym, jeśli poprzedni właściciel się nie zgłosi, wnioskować o zostanie jego opiekunem. Lekarz dał mi numer do fundacji pomagającej zwierzętom, gdybym chciała porozmawiać, dowiedzieć się czegoś więcej, bo psy adoptowane czy uratowane mogą się różnie zachowywać.

To wszystko jest bez sensu. Skoro ktoś porzuca psa, przywiązuje gdzieś i ucieka, to chyba powinien od ręki stracić do niego wszelkie prawa, prawda? Po co zwierzak ma marznąć i stresować się w schronisku, skoro u mnie może żyć lepiej niż dobrze? – zastanawiałam się.

I tak miałam kolejny prawno-moralny dylemat, bo nie wiedziałam, czy respektować te bezsensowne reguły, czy bezprawnie kochać.

Żeby rozwiązać wątpliwości, postanowiłam zadzwonić do

dziewczyny, która pomaga w adopcjach. Siedziałam na kanapie, a psiak leżał na moich kolanach i posapywał przez sen.

– W tym przypadku, jeśli wiemy na sto procent, że pies został porzucony, to oczywiście niech lepiej zostanie u pani – powiedziała.

– No nie wyobrażam sobie, żebym mogła go oddać!

– Załatwimy to tak, że będzie pani jego domem tymczasowym. To taka forma pomocy. Po dwóch tygodniach oficjalnie go pani adoptuje i wtedy zmienimy rejestrację czipa na panią.

– Super! – wykrzyknęłam zadowolona, że jednak udało mi się wszystko załatwić. – Czy ludzie często porzucają psy? – spytałam.

– Bardzo często. Traktują zwierzęta przedmiotowo: krowa daje mleko, świnia mięso, a pies tylko zje. Nie pilnują, nie kastrują, a potem podrzucają nam w kartonach kolejne pokolenia niechcianych szczeniaków.

– To straszne – szepnęłam.

– Albo dają psa w prezencie, a potem ten obdarowany się go pozbywa. Albo wymyślają, że ich dzieciak ma alergię na sierść, albo wyrzucają psa na drogę, gdy jadą na wakacje...

– A adopcje?

– Jest mnóstwo udanych adopcji. Potem latami dostajemy zdjęcia szczęśliwych psiaków, nawet czasem się spotykamy na różnych imprezach. Są też ludzie, którzy przychodzą do schroniska po szczeniaczka joreczka, a gdy mówię, że nie ma, to wychodzą obrażeni.

– Poważnie?

– Tak, tak. Albo pytają, kiedy będą. To oni chętnie wrócą, a na kundelki to nawet nie spojrzą, no chyba że zde gustowani. Wtedy mówię, że to nie fabryka, a „zamówić” to sobie mogą buty na Allegro.

– Nie miałam pojęcia, że tak to wygląda – westchnęłam.

– Kiedyś pewna dziewczyna, która też pomaga psom, napisała, że ludzie kupują używane ubrania, używane domy, używane samochody, niektórzy mają nawet „używane” żony, no ale piesek to musi być nówka.

– Śmiech przez łzy.

– Dokładnie tak. Ale zdarzają się też wspaniałe rzeczy. Kiedyś pewna pani zobaczyła w internecie niewidomego Uszatka: jedno ucho zawsze stało mu na baczność, a drugie zawsze leżało plackiem.

Zakochała się w nim, w jego historii, i przyjechała po niego aż ze Szczecina! Wejdzie sobie pani na fejsie na „Jestem adoptowany, jestem kochany”, tam ludzie z całej Polski, którzy uratowali zwierzęta, chwalą się nimi. To jak balsam na duszę.

– Wejdę na pewno! – odpowiedziałam i gdy tylko się rozłączyłam, weszłam na tę stronę.

A na mojej stronie napisałam: *It's a boy* ☺ i wszyscy myśleli, że mam drugiego psa.

VIII RYCZĄCA CZTERDZIESTKA



Z milionów będących do naszej dyspozycji, po powrocie do Polski wydałyśmy około dwustu euro, plus tysiąc złotych, które zostawiłam na psiaki pana ochroniarza. Ani ja, ani Weronika nie miałyśmy ochoty żyć inaczej niż dotychczas. Wyjeżdżając po wygraną, wiedziałyśmy, że nic już nie będzie takie samo, że wszystko się zmieni, że „gdzieś” zamieszkamy, tymczasem wróciłyśmy na stare śmiecie, do starych obowiązków, starych znajomych i rozdeptanych papci.

Oprócz tego, że sypiałam z Dolarem – bo tak nazwałam psiaka – i że od kilku dni nie musiałam chodzić do pracy, u mnie nie zmieniło się nic.

Weronika od czasu do czasu przebąkiwała, że ma dość. W szkole z powodu plotek na jej temat czuła się nieswojo, koledzy i koleżanki patrzyli na nią jak na kosmitkę. Rudy ją dręczył, nachodził, sprawdzał. Miał dużo do powiedzenia na temat tego, co powinna, a czego nie. Chciał kontrolować jej życie, i to było chore. A ona jakoś nie mogła na dobre się od niego uwolnić.

Żeby trochę się od tego wszystkiego oderwać i zastanowić nad życiem, na moje czterdzieste urodziny postanowiłyśmy pojechać pociągiem do Budapesztu, do superluksusowego Boscolo Hotel.

O dziwo, pomysł i cały plan był Werki, nie mój.

Spa, relaks, relaks, spa, kolacja w supermiejsku, dobre wino, masaże, śniadanie do łóżka, apartament prezydencki, zakupy. No i relaks.

W hotelu Dolar dostał ceramiczne miseczki. Werka załatwiła nawet dogsittera, który, gdy byłyśmy na kolejnych zabiegach, zabierał go na spacer. Kiedy my odprężałyśmy się w jacuzzi, Dolar zaliczył najbardziej ekskluzywne psie spa – bo przecież jemu też się coś od życia należy!

Nie czułam się jednak najlepiej i zastanawiałam się, czy to aby nie menopauza. Przecież zdarzają się takie wcześniejsze klimakteria,

hormon nie wybiera. Jeśli tak, to porażka. Wejść w menopauzę jako wdowa czy rozwódka to normalne, ale jako panna? I to stara!

– Zwalniam się z pracy zaraz po świętach – oznajmiła Werka przy śniadaniu.

Dolar łypnął na nią spode łba, jakby jej nie wierzył.

– Dobrze robisz. Dziwię ci się, że dopiero teraz.

– No wiesz, będę tęskniła za dziećmi. Zostawiam je w połowie roku.

– Poradzą sobie, nie martw się. Musisz wreszcie zadbać o siebie.

– No, a skoro mowa o dbaniu o siebie, rozmawiałaś z Alessandrem?

– Przecież wiesz, że nie.

– A nie sądzisz, że byłoby dobrze... to wyjaśnić?

– Co wyjaśnić?

– Sytuację.

– Widziałam, co widziałam.

– Może jednak źle zinterpretowałaś to, co widziałaś? Może Alessandrowi nie wypadało zachować się inaczej? Może czuł się głupio?

– Nie wyglądał, jakby mu było głupio. No, może trochę... A co ty nagle jego adwokatką jesteś?

– Nie, tylko...

– Tylko co?

– Tylko miałaś w oku ten błysk.

– *Sorry*, zaraz zwymiotuję.

– Dobra, już nie będę.

– To nie przerośnia, weź tę tacę!

*

Wyskoczyłam z łóżka. Pieprzona zmiana temperatur i pieprzona menopauza. Pieprzony Alessandro i pieprzone wszystko, myślałam, wymiotując do najbardziej luksusowego kibla, jaki kiedykolwiek widziałam.

Siedziałam na bidecie zlaną zimnym potem, gdy do łazienki weszła Werka z Dolkiem.

Psiak patrzył mi prosto w oczy, jakby mi współczuł.

– Lepiej ci? – spytała Werka. – Może coś ci zaszkodziło?
– Ja mam menopauzę! – Rozryczałam się.
– Przestań, to grypa. Mnie też coś bierze.
– To nie grypa, tylko menopauza. Bo mi zimno i gorąco, i ogólnie dziwnie – jęczałam.

Nie wiem, dlaczego przypomniało mi się coś, co kiedyś powiedziała eksmałżonka Maurizia Gucciego – ta, która zleciła jego zamordowanie: „Lepiej płakać w rolls-roysie, niż być szczęśliwym na rowerze”. Poważnie?! A nie dałoby się być szczęśliwym w saabie? Och... pieprzony Alessandro!

Tęskniłam za San Rocco, za tą nienormalną normalnością, za ludźmi, za zamkiem, za biblioteką, za Marią! Za spokojem i za marzeniami.

Będę rzygać!

*

W Budapeszcie panowała świąteczna atmosfera. Piękne wystawy zachęcały do kupowania prezentów. Weszliśmy do złotnika, który działa od 1886 roku, i by się nieco dopieścić, kupiliśmy sobie identyczne kolczyki z diamentami. Trzy karaty szczęścia. Milion odbijanych kolorów. Potem przystawaliśmy przy każdej witrynie, by podziwiać ich blask. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że ludzie, których stać na takie cacka, z reguły mają komu je zostawić, przekazać kolejnemu pokoleniu. A my nie. No to się rozpłakałam.

– Dlaczego ty znowu ryczysz? – zdenerwowała się Werka.
– Czterdziestka to nie koniec świata.

– Ale koniec młodości! Teraz będzie tu mi strzykać, a tam boleć.
– Pokazałam kolano. – Żyłki mi wyjdą. A ja nie mam nawet komu w testamencie kolczyków zapisać! – biadoliłam.

– Ja pierdzielę. Tobie potrzebny jest psychiatra, a nie spa.
– Ja sama ze sobą nie wytrzymuję – łkałam.
– Lauri, weź się ogarnij, kobieto.
– Nie potrafię!

*

Po lunchu poszłyśmy na masaż. Werka zamówiła taki gorącymi kamieniami, a ja klasyczny. W pokoju panował półmrok. Palły się świece zapachowe. Otulona w mięciutki ręcznik położyłam się na łóżku. Po chwili usłyszałam otwierające się i zamykające drzwi.

– *Hello* – rzuciłam, nie podnosząc głowy.

– *Hello* – odpowiedział męski głos.

Zaraz się rozryczę. Jezu, nie mogę ryczeć. Boże, jak ja za nim tęsknię, myślałam, podczas gdy męskie dłonie delikatnymi, lecz zdecydowanymi ruchami masowały mi kark.

Tak, ten masażysta wie, co robi. Ciekawe, ile serc złamał? Ile kobiet nabrało się na te wprawne ruchy? Biedaczki. Jezu, jak mi ich żal. Boże, zaraz będę ryczała.

Masażysta delikatnie odsunął ręcznik i zostałam w samych stringach. Chyba tak ma być, pomyślałam. Nie ma co się przejmować, on tak codziennie, przecież się na mnie nie rzuci.

On tak codziennie! No i znowu w ryk. Na podłogę kapwały łzy wielkości ziaren grochu.

Głupio mi się zrobiło, że się tak rozklejam przed profesjonalistą, już miałam zamiar podnieść głowę i coś mu powiedzieć, jakoś się usprawiedliwić, ale, do licha, nie będę rozmawiała z obcym chłopem o mojej menopauzie, a na inne tłumaczenie jakoś nie miałam pomysłu.

Tak mi dobrze.

Tak mi słodko.

Poczułam jego dłonie zmierzające w kierunku pośladków.

Tak ma być?!

Tak mi dobrze...

Nie, kurde, niedobrze. Nie chcę, żeby mnie obcy facet dotykał, gdy jestem bezbronna, w samych majtkach, w dodatku w kraju, w którego języku nie potrafię poprawnie wymówić nawet słowa „dziękuję”, *köszönöm*. To słowo kojarzy mi się zresztą z francuskim *cochon*, czyli świnia, i nijak mi do podziękowań nie pasuje.

– *Please stop. Fermati* – nie wiadomo dlaczego dodałam po włosku.

I masażysta zniknął równie szybko, jak się pojawił.

*

Jadąc windą do apartamentu, gdy byłam między drugim a trzecim piętrem, doszłam do wniosku, że:

Chcę pisać.

Chcę mieć rodzinę.

Cholernie tęsknię za Alessandrem.

A więc nareszcie zrozumiałam i przyjąłam do wiadomości to, co w głębi duszy i tak wiedziałam.

*

Doluś dreptał niespokojnie po pokoju. Wystraszyłam się, że zamierza się załatwić, a nie chciałabym się wstydzić, że nie potrafię nawet psa ogarnąć, i prać białej wykładziny, ubrałam się więc szybko, żeby wyjść z nim na spacer.

Zadzwoiłam do Werki i uprzedziłam ją, że będziemy na dole.

– Jak masaż? – spytała.

– Dobrze – odrzekłam, nie wdając się w szczegóły, podczas gdy Dolar przebierał łapkami.

– Czyli... normalnie, tak? Nic zaskakującego się nie stało?

– Nie, nic – mruknęłam, zastanawiając się, o co właściwie Werce chodzi. Co mogło być zaskakującego oprócz mojej nienormalnej reakcji? A właściwie normalnej, bo przecież ryczę z byle powodu.

– Wskoczę w coś ciepłego i dołączę do was – rzuciła.

– Super. Czekamy.

– Pa.

*

Na kolację poszliśmy do jednej z najlepszych restauracji w mieście o nazwie Onyx.

Czułam się jak księżniczka, siedząc na wygodnym, obitym złotym materiałem krześle pod kryształowymi żyrandolami.

Weekend był cudowny, otaczał nas luksus, mogliśmy spełnić każdą naszą zachciankę, miło było spędzać czas z Werką, ale czegoś mi brakowało.

– Tak sobie myślę – odezwała się Wera, popijając białe wino – że

trzeba mieć z kim dzielić się takimi momentami.

Czy ona czyta w moich myślach?

– Wiem... – westchnęłam.

– Cieszę się, że jestem tu z tobą, ale...

– Wiem – powtórzyłam.

– Jesteś dla mnie jak siostra i chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze, bo na to zasługujesz...

– Kochana, ty też!

– Idę na moment do toalety, zaraz wracam. Popilnuj mi torebki, – rzuciła nagle Werka i znikła, a ja oddałam się rozmyśleniom.

Decyzja: w poniedziałek poszukam jakiegoś domu do kupienia, zaszyję się w nim i zacznę coś pisać. Teraz już wiem, że niby wszyscy chcemy być piękni, młodzi i bogaci, ale gdy jest się samotnym, nic nie cieszy. Majątek to nie tylko możliwość kupienia sobie bentleya. To możliwość pokazania rodzicom świata, to możliwość zrealizowania czyjegoś marzenia o wyjeździe do Gibraltaru czy do Australii, to możliwość zagwarantowania dzieciom, swoim albo nie swoim, wykształcenia. To możliwość zapłacenia za ekskluzywne spa porzuconemu Dolarowi.

Pieniądze dają szczęście, jeśli mamy się nimi z kim dzielić. Rety, jaka ja jestem mądra!

Miałam ochotę pobiec za Werą do łazienki i podzielić się z nią tymi wszystkimi przemyśleniami, gdy poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Znałam ten dotyk. To z całą pewnością nie była moja siostrzo-przyjaciółka. Odwróciłam się.

– *Ciao amore* – usłyszałam.

Zatkało mnie.

– Pozwól mi się wytłumaczyć...

Skąd on się tu wziął? Z czego chce się tłumaczyć? Powiedział *amore*, a więc mu zależy? Czyli że mnie kocha?! – takie myśli kotłowały się w mojej głowie. Jednocześnie coś kotłowało się również w moim żołądku. Rany, będę rzygała. Zero romantyzmu.

Zerwałam się z krzesła i ruszyłam galopem do toalety.

A Alessandro za mną.

– Lauro! Lauretto! Stój!

– Nie mogę!

Wpadłam do łazienki, za mną Ale, a za nim kelnerka, pytając, czy wszystko w porządku. Za nią wleciała Werka (skąd ona się tu wzięła, skoro już miała tu być?) i... Enzo. A ten co tu robi?!

Na szczęście, gdy zatrzasnęłam drzwi kabiny, wszyscy się wynieśli.

*

Otulona płaszczem wyszłam przed restaurację, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zastałam tam Alessandra, który zdenerwowany chodził w tę i z powrotem. Zbliżyłam się do niego nieśmiało, co wyglądało tak, jakbym to ja miała coś za uszami, a nie on. Nie zdążyłam otworzyć ust, a Alessandro zaczął tłumaczyć, że z Jennifer nic go nie łączy. Mieli krótki romans dwa lata temu, kiedy ona mieszkała jeszcze w Stanach, a on regularnie tam latał. Historia szybko się skończyła, bo jakoś do siebie nie pasowali. Gdy jednak Jennifer przyleciała do Włoch, próbowała nawiązać do starej historii, pewnie czuła się samotna, nie wrócili jednak do siebie, nie byli nawet na kolacji.

– Gdybyś nie uciekła, gdybyś odebrała mój telefon, już dawno byśmy to wyjaśnili, ty uparciuchu – zakończył.

– Skąd się tu wzięliście? – chciałam wiedzieć.

– Weronika...

– No tak. Oczywiście.

– Jak się czujesz?

– Lepiej.

– Idziemy coś zjeść?

– Tak. Nie. Tylko nie jeść. Chcę miętową herbatę z sokiem malinowym.

– Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

– Nie jestem.

*

Gdy przekraczałam próg restauracji, czułam się lepiej, lecz gdy usiadłam przy stoliku, zrobiło mi się słabo, bo nagle zaczęło do mnie docierać... Próbowałam policzyć tygodnie i nic się zgadzało.

– ...a ty się nie zorientowałaś! – dotarły do mnie słowa Weroniki.

– Że co?

– Że to Alessandro cię dzisiaj masował!

O czym oni gadają?

– Gdy powiedziałaś do mnie po włosku *fermati*, byłem pewny, że mnie poznałaś – powiedział Alessandro.

Weronika po raz pierwszy zaplanowała i zorganizowała coś za moimi plecami. Umówiła się w Budapeszcie z chłopakami, żebym mogła porozmawiać z Alessandrem. Miało się to odbyć w romantycznej scenerii pokoju do masażu, ja jednak wszystko zepsułam.

– Tęskniłaś za mną? – spytał Alessandro, biorąc mnie za rękę.

– Mhm...

– Zamek na was czeka. Całe San Rocco pyta, kiedy wrócicie, moi rodzice i Jacopo pozdrawiają.

– Moi rodzice też – wtrącił Enzo z uśmiechem.

– Obiecuj mi, że już nie uciekniesz i że nie będziesz niczego przede mną ukrywała. Obiecuj, że jeśli będziesz miała jakieś pytania czy wątpliwości, to od razu mi o tym powiesz – mówił, patrząc mi w oczy.

Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył. Nikt nie przejechał dla mnie tylu kilometrów. Nikt nie knuł z moją siostrą-przyjaciółką.

– Ja chyba jestem w ciąży – wymamrotałam po polsku.

– A ja czekałam, aż się zorientujesz – powiedziała Werka, przytulając mnie. – Na co czekasz? Weź go na bok i mu powiedz!

– Nie róbmy zamieszania. Najpierw zrobię test – postanowiłam.

*

Cztery testy ciążowe z instrukcją po węgiersku, dwa spacery z Dolarem i trzy herbaty miętowe z sokiem malinowym, a później siedzieliśmy z Alessandrem na łóżku, planując naszą cudowną rodzinną przyszłość. A ja w ogóle się nie bałam. I aż drżałam ze strachu, że się nie boję!

IX PRZEDWESELNO-PRZEDŚWIĄTECZNE SZALEŃSTWO

Zaraz po powrocie z Budapesztu spłaciłam mieszkanie i zostawiłam je Klarze, która mogła teraz, zgodnie z moim planem, wynająć swoje i mieć z tego dodatkowe pieniądze. Wyjechałam do Włoch, a po kilku dniach dołączyła do mnie Wera.

Tamten grudzień zapamiętam do końca życia. Byłam w ciąży, lecz to ukrywałam, bo pierwsze tygodnie są ryzykowne. Zamierzaliśmy jak najszybciej zmienić nasz stan cywilny z panna i kawaler na stan „zaobrączkowani na zawsze”.

Dolar stał się ulubieńcem całego miasteczka. Widać było, jak dużo dobrego dla jego samotnych mieszkańców robi ten rozmerdaniec, ile daje im radości, myślałam więc intensywnie o jakiejś akcji promującej adopcję zwierzków.

Zamieszkaliśmy w naszym zamku. Wersja oficjalna dla rodziny w Polsce była taka, że to „mieszkanie służbowe”, bo ja i Werka odpowiadamy za rozwój turystyki w San Rocco i jego promocję. Na szczęście nikt nie wnikał w to, w jaki sposób nagle dostałyśmy taką pracę. Osoby zaproszone na święta zamierzałam poinformować o wszystkim, gdy już będą na miejscu, tylko nie wiedziałam jeszcze, jak i w którym momencie to zrobię.

Włochów, na nasze szczęście, w ogóle nie interesowało, skąd miałyśmy pieniądze na kupno zamku. Na Sardynii mnóstwo nieruchomości kupili Rosjanie, w Mediolanie rządzą Chińczycy, więc dlaczego San Rocco nie mogłoby mieć polskiego akcentu? A to, że jeździmy starym saabem, a nie nowym audi? To też nic takiego, bo tu akurat nikogo nie dziwią milionerzy, którzy mają w garażach po kilkanaście luksusowych samochodów, a na co dzień jeżdżą starą lanią, czy synowie miliarderów, którzy są zatrudnieni – jak na przykład Giovanni Alberto Agnelli – pod przybranym nazwiskiem przy produkcji w fabryce, żeby nauczyli się szanować ludzi pracy i poznali wartość pieniądza. Przy okazji młodzi od podszewki poznają proces tworzenia

czegoś, z czego rodzina od kilku pokoleń dostatnio żyje. W latach osiemdziesiątych był kicz i chwalenie się bogactwem, dziś w dobrym guście jest *low profile*. Więc ja i Werka też jesteśmy *low*.

Zajęłam się więc organizowaniem mojego polsko-włoskiego wesela. Było oczywiste, że ślubu udzieli nam Enzo. A także to, że stanie się to w zamku. I że będą wszyscy mieszkańcy i nasi goście z Polski. Informacja o pierwszym od nie wiadomo jak dawna weselu w miasteczku zainteresowała media, których przedstawiciele masowo prosili o akredytację, a my staliśmy się kimś w rodzaju celebrytów i cudotwórców w jednym, bo z opuszczonej miejsciny zrobiliśmy miejsce tętniące życiem.

Na znak tej rodzącej się między naszymi krajami przyjaźni choinki przystrojone zostały biało-czerwono.

Ślub zaplanowaliśmy na przypadającą w czwartek Wigilię, by przybywający z daleka pracujący goście mogli spokojnie poświętować z nami przez kilka dni.

Aby ściągnąć całą moją rodzinę, nie narażając nikogo na koszty podróży, użyłam genialnego podstępu: powiedziałam im, że jako osoba odpowiedzialna za rozwój turystyki, mogę zaprosić na święta nawet sto osób z Polski, by pokazali nasze zwyczaje i zobaczyli te panujące w Weneto. Uwierzyli. Załatwiłam więc autokar, który zrobił w Polsce trzy postoje: Legionowo, Tomaszów Mazowiecki i Cieszyn, by zebrać rodzinę i tych znajomych, którzy chcieli skorzystać ze zorganizowanego transportu.

Nie chciałam drogich prezentów, ale bardzo pragnęłam jednego: polskich książek, nawet starych. Powiedziałam (częściowo zgodnie z prawdą), że chcę stworzyć międzynarodową bibliotekę, więc oprócz produktów potrzebnych do przygotowania polskich dań, takich jak kapusta kiszona czy niedostępny tutaj mak, mogą mi przywieźć mnóstwo książek. Gdyby każdy przywiózł jedną czy dwie, to miałabym niezły polski księgozbiór.

Moi rodzice i Klara przylecieli samolotem do Wenecji już dziewiętnastego. Pojechałam odebrać ich z lotniska sama, nie licząc gadającej nawigacji. Dla mamy to był pierwszy lot samolotem, a tata leciał raz, w latach siedemdziesiątych, do Berlina na konferencję

naukową.

– Ślicznie wyglądasz – powiedziała Klara na powitanie.

– Dzięki. Ty też. Jak lot? – zapytałam, jednocześnie przytulając rodziców.

– Lądowanie było super – powiedziała mama.

– Takie super, że mama siedziała z zamkniętymi oczami – doniósł tata. – Myślała, że wylądujemy w lagunie.

– Tak to wyglądało – tłumaczyła się.

– Czterdzieści lat minęło, a niewiele się zmieniło, poza tym, że kiedyś na pokładzie dostawało się ciepłe jedzenie na talerzu z porcelany i metalowe sztuce, a teraz zobacz, co nam dali. – Tata wyjął z kieszeni mikroskopijną paczuszkę słonych paluszków.

– Śliczny masz pierścionek – zauważyła Klara. Nie zorientowała się, że to pierścionek zaręczynowy, bo niby dlaczego nagle miałabym się zaręczyć, a poza tym nosiłam go na serdecznym palcu lewej ręki, jak we Włoszech, a nie prawej, jak w Polsce. Na pewno też nie przyszło jej do głowy, że ten wielki kamień to różowy diament, bo ja sama też wpadłam na to dopiero po kilku dniach, gdy zauważyłam, że inne kobiety wpatrują się w niego z zachwytem.

– Dzięki – rzuciłam, zastanawiając się, jak im o wszystkim powiedzieć. No, o prawie wszystkim. O wygranej na razie nie.

– Zabieram was na szybki makaron – oznajmiłam. – Tylko musimy się pospieszyć, bo o czternastej zamykają restaurację.

– To pojedźmy do innej – zaproponowała Klara, patrząc na zegarek – bo jest już pięć po pierwszej.

– Wszystkie zamykają.

– Dlaczego? Coś się stało?

– Tak tu jest. Przerwa obiadowa trwa od dwunastej do czternastej, wtedy wszyscy jadą coś zjeść, potem restaurację otwiera się na kolację, o dziewiętnastej – wyjaśniłam.

– Co kraj, to obyczaj – skomentowała mama, wsiadając do Saabinki.

Do San Rocco dotarliśmy po szesnastej.

– Muszę ci coś zdradzić – powiedziałam do Klary, gdy wniosła walizkę do swojego pokoju.

– I ty tu będziesz mieszkała? W tym zamku? Cały jest dla ciebie?
– pytała z niedowierzaniem, jakby nie usłyszała moich słów. – Jak ci się to udało?!

– To długa historia. W każdym razie mam trochę nowości, mówiąc w skrócie: za pięć dni wychodzę za mąż. I jestem w ciąży.

– Jak to za mąż i w ciąży?! Z kim? Jak? Kiedy?

– Więc... – zaczęłam.

– To po to nas tu wszystkich ściągnęłaś! – przerwała mi.

– Tak! – wykrzyknęłam.

– Aha. I ten twój narzeczony jest jakimś pieprzonym milionerem?

– Nie!

– Weronika wie?

– Tak.

– No jasne, że ona wie – prychnęła Klara. – Chyba ci się do reszty pomyliło, kto jest twoją siostrą, a kto koleżanką, to raz. I ty nas tu tak podstępem, na gotowe? O co tu chodzi? Ty wstydzisz się nas, czy co?

– Nie, ale... – Nie wiedziałam co powiedzieć.

– Nie pomyślałaś, że ja i mama chcemy pomagać w przygotowaniach do wesela? W wyborze sukni czy jakichś cholernych perfumowanych świeczek?! Że rodzina chciałaby dać ci jakiś prezent od serca, wymyślić, poszukać. No tak, ale ty, jak widać, masz wszystko – rozejrzała się po pokoju – więc gardzisz skromnym prezentem. Ja pierdzielę.

– Dlaczego tak się złościś?

– Dlaczego się złościś?! Dlaczego ja się złościś?! Tata ma na nasze wesela odłożone, ciulane przez całe życie pieniądze, a ty nas tu jak obcych sprowadzasz? Na jakieś zadupie? Nie wiem, z kim jesteś w ciąży. Nie znam twojego narzeczonego, nic o niczym nie wiedziałam, a przecież rozmawialiśmy wczoraj. Czy możesz mi powiedzieć z ręką na sercu, że ten zamek to twoje – zrobiła w powietrzu cudzysłów – mieszkanie służbowe? Szczerze mówiąc, mnie te twoje Włochy od początku śmierdziały.

– Nooo, nie mogę, to trochę skomplikowane... – wybąkałam, bo nie chciałam ani powiedzieć prawdy, ani skłamać.

– Skoro nie możesz powiedzieć rodzonej jedynej siostrze, co tu się

dzieje, to ja, kurna, wyskakuję z tej karuzeli.

I wyszła, trzaskając prastarymi drzwiami.

Takiej reakcji się nie spodziewałam.

Nie wiedziałam, co robić, więc poszłam do swojego pokoju, rzuciłam się na łóżko, jak robiłam to, gdy byłam nastolatką, i wybuchnęłam płaczem.

Po chwili usłyszałam ciche pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknęłam.

Do pokoju weszła mama. Oaza spokoju i królowa dyplomacji. Po jej minie widziałam, że już wszystko wie. Czułam się jak małe dziecko niesprawiedliwie posądzone, że coś zmalowało. Moja mama. Nigdy nie przeklina, nie mówi nawet „cholera”. Nigdy nikogo nie obgaduje. Dla każdego chce jak najlepiej, i pewnie gdyby spotkała seryjnego mordercę, to też życzyłaby mu wielu sukcesów w pracy, taka już jest. Mama nie biega, bo wszędzie wyrusza przed czasem. Więc to, że można mnie czasami zakwalifikować do kategorii „ciepłe kluchy”, jest jej winą – albo zasługą – choć, mówiąc szczerze, uważam, że czasem brakuje mi ikry.

– Nie chciałam nikogo urazić – jęknęłam.

– Będę babcią? – spytała.

– Tak...

– Nareszcie! – Wzniosła oczy do nieba, jakby dziękowała samemu Panu Bogu za tę nowinę. Przytuliła mnie. – Wiedziałam, że coś się świeci, gdy przyjechałaś do nas na obiad. A to, że przywiozłaś wino, lecz nawet go nie tknęłaś, tylko to potwierdziło. I masz ten ciężowy błysk w oku. – Pocałowała mnie w czubek głowy. – Jedyne, czego się nie spodziewałam, to twojego ślubu. Czy Weronika też jest w ciąży?

– Weronika? Nie! Skąd to pytanie?

– Kilka dni temu dzwonił do nas jej eksmąż, pan Rudy. Jak on właściwie ma na imię?

– Paskudnie. Czego chciał?

– Powiedział, że pojechaliście do banku spermy, bo jesteście razem i chcecie mieć dzieci.

– Co?!

– I że tam, to znaczy tu, we Włoszech, jest in vitro dla lesbijek.

– Mamo! I wy w to uwierzyliście?

– Ja już sama nie wiem, w co wierzyć. Ty ciągle z Weroniką... lubię ją, traktuję jak córkę, bo przecież jest sama na świecie, znałam jej rodziców, Panie świeć nad ich duszami, więc pomyślałam, że lepiej już bądź z nią niż z jakimś łajdakiem. Będziemy cię wspierali niezależnie od tego, co zrobisz.

– O Boże, mamo, my nie jesteśmy lesbijkami! – jęknęłam.

– No to z kim bierzesz ten ślub? Z tym przystojnym Włochem? Bo jeśli tata nie będzie wcześniej wiedział, jeśli nie przygotowuje się psychicznie na to, że was obie w sukniach przy ołtarzu zobaczy, to może mu serce nie wytrzymać. Ale wiedz, że jesteśmy otwarci i nowocześni.

W tym momencie ciąża i ślub z mężczyzną, którego prawie nie znam, wydały mi się najnormalniejszą i najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

*

– Mamy problem – oznajmił Alessandro, wchodząc do mojego pokoju. – O, *signora*. Przepraszam, Lauretto, nie wiedziałem, że jesteś z mamą. Przyjdę później.

– Nie, nie, wejdź.

Mama przyjrzała mu się uważnie, po czym, jakby chciała pokazać, że akceptuje nasz związek, uśmiechnęła się do niego.

– Prasa interesuje się San Rocco – zaczął Alessandro.

– Przecież o to nam chodziło.

– Tak, ale oni interesują się ślubem i zamkiem. Jeśli wypłynie informacja, że to ty jesteś formalnie jedyną właścicielką zamku, może to dotrzeć do Polski, a wtedy wasza wygrana wyjdzie na jaw, zanim Wera się rozwiedzie. Musimy się zastanowić, jak działać, co mówić, jak zadowolić media na tyle, żeby za bardzo nie drażyły.

– Pogadam z Werką – powiedziałam i w tej sekundzie zdałam sobie sprawę, że gdyby nie to, że mama nie zna włoskiego, to miałybyśmy teraz megaproblem.

– Dobrze, jakoś to rozwiążemy. I nie denerwuj się. – Pocałował mnie delikatnie.

– Mamuś, idę pogadać z Weroniką, a ty, jeśli chcesz, zejdź na dół

do kuchni na placek z malinami.

Żebyśmy mogły swobodnie wymienić opinie na temat milionowego i zamkowego problemu, pod pretekstem kupienia czegoś na kolację pojechałyśmy z Werką do hipermarketu w Treviso. W drodze kilka razy stawałam na poboczu, bo byłam tak zajęta i przejęta rozmową, że bałam się, iż w coś walnę.

– Rozważając wszystkie za i przeciw, moim zdaniem najlepiej będzie przygotować razem z Alessandrem notkę prasową, taką ogólną, a potem przesłać ją e-mailem zainteresowanym dziennikarzom – powiedziała Werka.

– Mając nadzieję, że podanie im gotowych zadowolających informacji odciągnie ich od ochoty i potrzeby wyszukiwania ich w archiwach czy księgach wieczystych? – dodałam.

– Tak.

– Coś w stylu *Pierwsze od lat wesele w zamku należącym do rodziny*, nie podając której?

– Czekaaj, zanotuję. Fajnie to brzmi.

– *Młodzi pobrali się w zamku, w którym zamieszkali już przed ślubem*. Nie piszemy, od kiedy – ciągnęłam.

– O to właśnie chodzi!

– Tylko ja powiedziałam wszystkim, że to nasze mieszkanie służbowe...

– Hm, w takim razie trzeba to jakoś połączyć.

– Wiem! Do Polski się puści: *Bla, bla, bla w zamku należącym do rodziny męża, który zajmuje się promocją turystyczną regionu...* Wynika z tego, że Alessandro gości nas w swoim zamku. Może tak być

– powiedziałam, bardzo z siebie zadowolona.

*

Po południu spotkaliśmy się z Enzem. Na naszą stronę przyszły zapytania o święta i chciał z nami ustalić, czy wynajmujemy wolne domy i zyskujemy tym samym kolejnych świąteczno-weselnych gości, czy też nie. Jeśli zdecydujemy się na wynajem, trzeba będzie tych obcych ludzi zaprosić na wesele. Nie można ich zostawić samych sobie, bo oprócz przebywania z nami i innymi mieszkańcami nie będą mieli nic

do roboty.

Gdy zostaliśmy na moment sami, Alessandro zapytał, czy chcę, żeby przygotował intercyzę.

– Chyba nie... Nie – odpowiedziałam zaskoczona. – Musimy jeszcze omówić wiele spraw.

– Owszem, i dzięki temu będziemy mieli o czym dyskutować przez całe życie. – Pocałował mnie w nos. – Gdyby długie narzeczeństwo było gwarancją udanego małżeństwa, powiedziałbym, że jesteśmy niepoważni. Ale mamy tyle lat, ile mamy, i chcemy tego samego. Jesteś zdenerwowana?

– Trochę.

– Chodź do mnie – powiedział i mnie przytulił.

*

Wieczorem zabrałam ciągle dąsającą się Klarę do Pino na najlepszą pizzę na świecie.

Usiadłyśmy przy stoliku w rogu, w samym końcu dużej sali. Zapach był obłądny i tylko podkręcił mój i tak niemały apetyt.

– Na co masz ochotę? – zapytałam.

– A co mi polecisz?

– Może ta z mozzarellą di buffala i pomidorkami?

– Jaką mozzarellą?

– Najlepszą na świecie. Robioną z mleka bawolic.

– Bawolic? – Klara otworzyła szeroko oczy.

– Tak. Tę najprawdziwszą i najlepszą na świecie robi się na południu, w Kampanii. Ma certyfikat. Bawoły pasą się na bagnach i zjadają turzycę. Ich mleko podobno jest paskudne, ale robi się z niego cudo mozzarellę. Niestety ta, którą kupujemy w sklepach, jest przy niej jak trabant przy mercedesie. Są różne odmiany: ciliegine, bocconcini, aversane, treccine, cardinali... Czasem znajomi przywożą nam taką prawdziwą. Mniem!

– Przestań już! – Klara zamachała rękami, jakby odpędzała natrętną muchę. – Bierzemy tę bawolą mozzarellę z bagien, tylko szybko, bo zaraz z głodu padnę. Ty chyba powinnaś napisać książkę o włoskim jedzeniu.

– Może kiedyś napiszę. – Zrobiłam tajemniczą minę, ale po chwili gniewnie ściągnęłam brwi. – Wiesz co, straszna z ciebie wredota.

– Ja wredota? – Klara zatrzepotała niewinnie rzęsami.

– Aha. Zamiast cieszyć się moim szczęściem, ty się obrażasz. Jak dzieciak.

– Wcale nie jak dzieciak – zachnęła się. – Spróbuj mnie zrozumieć.

– No to mów, co cię zabolalo, ale bez fochów.

– Nie chcę o twoich sprawach dowiadywać się ostatnia...

Nareszcie miałam okazję opowiedzieć jej o naszej przygodzie – oczywiście przynajmniej na razie, zgodnie z wolą Weroniki, pomijając to, że zostałyśmy milionerkami. O rewitalizacji San Rocco, o portalu turystycznym, o sprzątaniu i urządzaniu na nowo opuszczonych domów, w których teraz mogę gościć osoby, które nie zmieszczą się w zamku, o braciach Alessandra i jego rodzicach, o tym, jak płynie życie w miasteczku i jak serdecznie zostałyśmy tu przyjęte.

– Ależ nic nie zostało zaplanowane, po prostu się zdarzyło, i tyle – tłumaczyłam. – Nawet panią Dolara zostałam przez przypadek, gdy pojechałam do hipermarketu.

– Kupiłaś psa w hipermarkecie?

– Nie kupiłam, tylko znalazłam. Ktoś go porzucił.

– Dlaczego nazwałaś go Dolar?

– Bo ma oczy jak pięć złotych, ale byłoby za długo.

– To opowiedz mi o Alessandrze.

– Znamy się krótko. Zamierzałam ci o nim powiedzieć jeszcze w Polsce, ale akurat wypaliłaś o Martynie i jej zagranicznym amancie, dla którego chciała wszystko rzucić...

– No, ale ona po raz setny, a ty po raz pierwszy, a konkretnie.

– Uśmiechnęła się. – I nie zgodzę się z tobą, że tego nie zaplanowałaś.

– Nie rozumiem.

– Gdy szukałam w piwnicy książek, znalazłam twoje wypracowanie z trzeciej klasy szkoły podstawowej.

– I?

– I napisałaś, że gdy będziesz dorosła, zostaniesz księżniczką i zamieszkas w zamku, i będziesz sama piekła bułeczki, żeby były ciepłe.

– Żartujesz!

– Mówię poważnie. Pięć lat później ja napisałam, że gdy będę dorosła, to będę jeździła na motorze po pustyni. No i mam pustynię. Uczuciową pustynię, zawodowo jestem wypalona...

– Oj, przestań. Kiedyś młodsza siostra musiała czekać z zamążpójściem, aż wyjdzie za mąż ta starsza. Teraz wreszcie możesz zacząć się rozglądać.

Buleczkowa historia przypomniała mi, jak bardzo lubiłam sobotnie poranki. Tata, zamiast iść na uczelnię, biegł do piekarni, mama robiła nam kakao, takie prawdziwe, nie instant rozpuszczalne i już posłodzone. Były zakupy i sprzątanie, ale to w sumie też lubiłam, bo wtedy cały dom ładnie pachniał, a po południu mama piekła ciasto na niedzielę.

Żał mi się zrobiło dzisiejszych dzieci mających wszystko tu i teraz, jedzących na podwieczorek croissanty podgrzewane w mikrofalce i popijających je sokiem z kiwi, który koło kiwi nawet nie stał.

– I jeszcze jedno, mała – powiedziałam. – Chociaż ślub tuż-tuż, nie mam jeszcze sukni!

– No co ty! Będę mogła z tobą ją wybrać?

– No nie wiem... muszę się bardzo poważnie nad tym zastanowić.

*

We wtorek dostałam zakaz zbliżania się do San Rocco dolnego. Alessandro podobno chciał się integrować z moją rodziną i przyjaciółmi, Maria szykowała dla mnie niespodziankę, której miałam nie widzieć aż do Wigilii, Werka coś kombinowała, a Enzo najwyraźniej coś ukrywał... Cóż było robić? Nic, tylko się pakować i wyjechać na dwa dni.

Wykorzystując okazję, postanowiłam zabrać mamę, Klarę i Dolara do Cortiny D'Ampezzo. Nie chciałam jednak jechać autostradą, tylko bocznymi drogami, takimi krętymi, przez różne miasteczka, żebyśmy przy okazji mogły obejrzeć coś ładnego. Zgubiłam się już czterdzieści minut po wyjeździe z domu w uroczym Caerano di San Marco. Gdy zastanawiałam się, czy jechać na Valdobbiadene (i kupić prosecco?) i Feltre (zamówić tam tort?), czy jednak zawrócić na autostradę, gdzie zgubić się nie można, zobaczyłam ją: moją suknię ślubną. Dokładnie taką, jaką chciałam. Długie rękawy i plecy były zrobione z delikatnej

koronki. Po raz pierwszy patrzyłam na sukienkę i nie myślałam: „To mogli zrobić inaczej”, „To nie pasuje”, „Tego za dużo”, „Szkoda, że to jest tak”... Suknia była doskonała. Idealna. Boska. Romantyczna.

Zaparkowałam przed samym wejściem i wraz z mamą, Klarą i Dolusiem na rękach weszłam do sklepu.

– Można z pieskiem, prawda? – zapytałam sprzedawczynię.

– Jeśli niczego nie pogryzie, to można.

– Jadł już obiad – zażartowałam i postawiłam Dolarka na podłodze.

– Siad – powiedziałam. – O dziwo posłuchał.

– Och, jaki grzeczny! Jaka to rasa?

– To uratowany kundelek.

– Miał szczęście – powiedziała ekspedientka, drapiąc zadowolonego Dolara pod brodą. – Nazywam się Alessia i jestem właścicielką salonu. Czym mogę służyć?

– Chciałabym kupić suknię ślubną, ale już wiem, którą chcę

– odrzekłam. – Tę. – Wskazałam suknię na wystawie.

– Proszę się rozebrać – powiedziała Alessia. – To trochę potrwa.

Muszę zdjąć ją z manekina. Skąd panie jesteście?

– Z Polski.

– Jest tak zimno jak u nas?

– Zimniej. I jeśli będzie kolejna w tym wieku zima stulecia, to śnieg poleży do maja...

– Na kiedy planowany jest ślub?

– Na święta Bożego Narodzenia.

– A więc mamy jeszcze trochę czasu, ale nie za dużo. To holenderska firma, jedna z najlepszych na świecie, moim zdaniem. Lubię ją, bo jej kreacje są bardzo kobiece. Nazywa się Modeca, a ten model Ravello. – Właścicielka salonu gestem zaprosiła mnie do przymierzalni.

– Nie mam pojęcia, jak wyglądają inne suknie tej firmy, ale ta jest cudowna – westchnęłam.

Serce biło mi jak oszalałe. To się dzieje naprawdę! Wychodzę za męża. Jestem w ciąży. Moja mama i moja siostra są tu ze mną. Mieszkam we Włoszech. A wszystko dlatego, że Rudy przyprawiał Werce rogi. Czy powinnam zacząć go lubić? Oj, chyba jednak nie!

Alessia pomogła mi zapiąć suknię na plecach i chwilę później

wysłałam pokazać się mamie i Klarze.

Na mój widok mamie zaszklily się oczy, a Klara uśmiechała się od ucha do ucha. Obie z aprobatą kiwały głowami.

– Czy chce pani welon?

– Chyba nie, w moim wieku to byłaby przesada... – mruknęłam, przeglądając się w ogromnym lustrze w złotej ramie. Wyglądałam bosko. Oczywiście patrząc obiektywnie. – Biorę tę suknię. Czy może ją pani zapakować?

– Słucham? – Właścicielka salonu wyglądała na bardzo zdziwioną.

– Chcę kupić tę suknię.

– Ale ja nie mogę jej pani sprzedać.

– Nie rozumiem.

– To egzemplarz na pokaz. Zamówię ten model i wyślę pani do Polski.

– Ale ja biorę ślub we Włoszech, nie w Polsce, za kilka dni, nie za rok.

– No cóż... Klientki na pierwszą przymiarke przychodzą nawet pół roku wcześniej... – zaczęła Alessia nieco protekcyjnym tonem.

– Bez sukni stąd nie wyjdę – oświadczyłam i rozsiadłam się w fotelu, nie zdejmując jej. Dolar skorzystał z okazji i natychmiast wskoczył mi na kolana, puszczając przy okazji bąka.

Sprzedawczyni popatrzyła na mnie, skrzywiła się, potem westchnęła bezradnie i powiedziała:

– No dobrze... dla pani zrobię wyjątek.

Vittoria! Czyli zwycięstwo.

Tak więc moja najważniejsza w życiu suknia na najważniejszy w życiu dzień jechała ze mną na wycieczkę do Cortiny.

– Jakie chcesz buty? – spytała Klara. Siedziała z tyłu razem z mamą i głaskała Dolara po długich uszach.

– Pigalle Glitter Blue Christiana Louboutina – wyrecytowałam jednym tchem.

– Pigalle? Jak plac Pigalle? Idealna nazwa butów do ślubu – skwitowała mama.

– Och, mammo! – wykrzyknęłyśmy.

Trochę się martwiłam, jak to będzie wyglądało, gdy zejda się

goście i zamiast kolęd usłyszą marsz Mendelssohna.

Mam nadzieję, że zrozumieją moją motywację i to, dlaczego nie powiedziałam im o ślubie, że będą się dobrze bawili i że te święta będą naprawdę szczęśliwe i radosne dla wszystkich, rozmyślałam, wjeżdżając do Cortiny.

*

Zatrzymałyśmy się w poleconym nam przez Alessandra luksusowym hotelu spa Cristallo. Był tam ogromny basen, cztery restauracje i kilka barów. Kolację postanowiłyśmy zjeść w restauracji Il Gazebo. Lokal nie miał żadnej prawdziwej ściany, tylko wielkie okna, dzięki czemu można było podziwiać widok na ośnieżone góry, który zapierał dech w piersiach. To był nasz pierwszy babski wyjazd i po raz pierwszy byłyśmy w tak ekskluzywnym miejscu, a ja po raz pierwszy byłam tak bardzo szczęśliwa.

– Jesteś gotowa? – zapytałam stojącą przed lustrem mamę.

– Jestem, tylko skoczę jeszcze do łazienki, gdy Klara wreszcie z niej wyjdzie.

– Jutro po śniadaniu pójdziemy na basen i do jacuzzi, co ty na to? Wy możecie iść do sauny.

– Zobaczymy... Ale ja nie mam kostiumu kąpielowego. Nie wzięłam, bo nie sądziłam, że zimą mogę go potrzebować.

– To pojedziemy do centrum i kupimy!

– Co pojedziemy i kupimy? – spytała Klara, wyskakując z łazienki owiana chmurą perfum.

– Strój kąpielowy dla mamy. A ty masz?

– Nie.

– Szkoda wydawać pieniądze tylko po to, żeby spędzić godzinę na basenie – stwierdziła mama.

– Oj, mamuś, cieszymy się każdą chwilą. Poza tym, ile może kosztować kostium?! Klaro, dla ciebie też kupimy.

– Czuję się tu jak w Dallas – westchnęła mama, siadając na łóżku.

– W życiu bym nie pomyślała, że będę w takim miejscu. Z wami. I z psem. Tylko czy to wszystko aby za dużo nie kosztuje?

– Przestań się zamartwiać. Dostałam odprawę (skłamałam, ale

w dobrej wierze), mam pracę (no, prawie...) i trochę oszczędności (niech będzie!), Alessandro też dobrze zarabia (to się zgadza, choć nie mam pojęcia ile – nigdy nie pytałam, bo po co?).

*

Jednym z najcudowniejszych momentów w ciągu naszej krótkiej znajomości był poranek, gdy obudziliśmy się z Alessandrem w Budapeszcie. Ta chwila, te pełne wzajemnego zrozumienia spojrzenia, ten błysk, kiedy po prostu wiesz, że teraz będzie dobrze, wszystko jakoś się ułoży, i on całujący namiętnie i mówiący: „Kocham cię, jak nigdy nie kochałem żadnej innej kobiety”. To nie było zwykle *ti amo*. To było: „Dołożę wszelkich starań, by tak było przez całe życie”.

Wzięliśmy razem prysznic, dogsitter wziął Dolcia na długi spacer, a my wróciliśmy do łóżka. Alessandro, przełączając kanały w telewizorze, natrafił na RealTime.

– O, zobacz, historia twojego życia – powiedział. Właśnie leciał program *Nie wiedziałam, że jestem w ciąży*. Kobieta z bólem brzucha pojechała do szpitala, w którym nie było nawet porodówki, bo była pewna, że ma kolkę. Kolka ważyła prawie cztery kilogramy.

– No, bez przesady! – fuknęłam niby obrażona.

Przez ostatnie lata nie zabezpieczałam się, bo nie musiałam, a gdy kochałam się z Alessandrem, wydawało mi się, że uważaliśmy. Tamtego dnia dużo mi o sobie opowiedział. Wyznał, że od jakiegoś czasu czuł, iż przyszedł na niego czas. Rozglądał się, chciał poznać kobietę, z którą mógłby spędzić życie, a nie tylko jedną upojną noc. Myślał o rodzinie, dzieciach. O ile łatwo było mu poznać kobietę, z którą mógł pójść na kolację, nawet taką ze śniadaniem, to z żadną nie miał ochoty zakładać rodziny. W kancelarii często rozmawiali o swoich klientach, z których sporą grupę stanowili rozwodzący się ludzie, a nic tak nie zniechęca do małżeństwa jak przyglądanie się miłości, która się skończyła. Alessandro miał wspaniałą rodzinę, wiedział jednak, do czego zdolni są niegdyś kochający się ludzie walczący o dzieci i majątek. Miał swoją wizję związku, w której dzieci nie były wychowywane przez nianie, mieszkanie na stałe w Mediolanie czy wakacje na Ibizie.

– I nagle pojawiłaś się ty... – powiedział.

- I zakochałeś się we mnie od pierwszego wejrzenia?
- Od pierwszego, mówisz, hm... Przecież stałaś tyłem!

*

– A tak mówiąc poważnie – odezwałam się do Klary podczas kolacji – oprócz jeżdżenia po pustyni na motorze, co chciałabyś robić?

– Mam dosyć pracy w logistyce. Mam dość ustalania tras, szukania oszczędności, rozwiązywania problemów – wyznała. – Chcę odkurzyć dyplom, i... wiesz... mam taki pomysł...

– Jaki?

– Przez ostatnie lata wszystkie moje koleżanki założyły rodziny, każda ma dziecko. Nie sposób umówić się z nimi na kawę czy babskie pogaduchy. Te, które nie pracują, nie mają niań, a skoro nie mają niań, nie mają co zrobić z dzieckiem. Boże, ty też będziesz miała dziecko! Ogarniasz to?

– Na razie ogarniam powoli, że jestem w ciąży, ale nie dociera do mnie, że na jej końcu będzie dziecko. Wiem, że to brzmi głupio, ale nic na to nie poradzę. Mów dalej.

– Chciałabym otworzyć miejsce dla małych dzieci. Nie żłobek czy przedszkole, tylko salę zabaw, gdzie mamy będą mogły w razie potrzeby podrzucić dziecko na godzinę czy trzy, by wyjść do fryzjera, kosmetyczki, na zakupy. Pragnę, żeby to był raj dla dzieciaków, pełen zabawek, tak żeby chciały do nas wracać, ale głównie chodzi mi o to, żeby pomóc tym mamom, które nie potrzebują opiekunki na stałe, ale niekoniecznie chcą robić sobie pedicure z dzieckiem przy piersi. Zrobię to z czystego egoizmu, bo będę mogła iść na zumbę z Jolą czy Aśką.

– Bardzo podoba mi się ten pomysł – powiedziała mama.

– Mnie również. Ile mogłoby kosztować założenie czegoś takiego, i przede wszystkim: masz jakiś biznesplan? Czy to będzie przynosiło dochód? – dopytywałam się.

– To się nazywa świetlica interaktywna i przynosi dochód. Może nie miliony, ale potencjał zdecydowanie w tym jest. Czytałam o babce, która otworzyła coś takiego w Ostrołęce, dostała od inwestora sto pięćdziesiąt tysięcy złotych na start. Gdybym sprzedała mieszkanie... Miałabym frajdę, wróciłabym do zawodu, a przede wszystkim czułabym

się potrzebna. Jak ty tym twoim dziadkom tutaj.

– O jakich dziadkach mówisz? – wtrąciła mama.

– No wybacz, mamuś, ale młodzież to to nie jest.

– Ma ktoś ochotę na torcik ze szparagami? – zapytałam, bo czułam, że sprzeczką wisi w powietrzu.

– Ja dziękuję, ale chętnie wezmę kawałek chleba z rozmarynem.

Pyszny! – odrzekła mama.

– Jeśli znajdę kogoś, kto zainwestuje w twój pomysł, to pomożesz mi znaleźć coś starego do sukni? No i brakuje mi jeszcze czegoś pożyczonego. Coś niebieskiego już mam: buty – zwróciłam się do Klary.

TRZY LATA PÓŹNIEJ
X
HEJ KOŁĘDA, KOŁĘDA!

Drodzy bracia i siostry – mówił don Massimo, a jego miękki, aksamitny głos niósł się po całym kościele – zebraliśmy się tu, by pożegnać naszą siostrę Aurorę Liuzzi. Jeszcze kilka dni temu mogliśmy cieszyć się jej obecnością. Czas, jaki dostajemy, by radować się, rozkoszować życiem na ziemi, jest darem od Boga...

Ścisnęłam mocniej rękę Alessandra, a spod moich ciemnych okularów płynęły łzy.

Gdy wracaliśmy po pogrzebie do domu, rozszlochałam się na dobre. Alessandro próbował mnie uspokoić, lecz ja nie mogłam przestać płakać.

Aurorę znałam krótko. Wprowadziła się do nas kilka tygodni temu, była już bardzo chora. Kupiliśmy specjalne łóżko przeciwoleżynowe (które teraz podarujemy Hospicjum im. Świętej Barbary), opłaciliśmy pielęgniarkę, by ostatnie momenty Auri mogła spędzić ze swoją siostrą Rosettą, a nie sama w domu spokojnej starości. To przemijanie mnie dobiło. Dopiero gdy staniesz oko w oko ze śmiercią, zdajesz sobie sprawę, jaką wartość ma życie.

*

– *Mamma*, naumiałem babcię robić *smile* na Skypie!
– wykrzyknął Leandro, pieszczotliwie nazywany przez nas Lele. Imię dostał po swoim pradziadku. Mnie podobało się to, iż jeden z najbardziej znanych polsko-włoskich architektów nazywał się Leandro Marconi. Czasami żartowaliśmy, że dla równowagi, gdyby trafiło nam się drugie, dostanie jakieś polskie imię, a gdy Alessandro pytał mnie o propozycje, mówiłam „Gzegzółka” albo „Szczecinka”.

Trzy języki w jednym zdaniu. Nieźle. Moje dziecko jest albo lingwistycznym geniuszem, albo polianalfabetą, pomyślałam.

– I *devil* też naumiałem – dodał z diabelskim błyskiem w oku.

– Lauretto, twój telefon dzwoni! – krzyknęła z kuchni Valentina.

Vale dwa lata temu miała mi pomóc w organizowaniu naszej telewizji internetowej, a przy okazji zorganizowała też i życie Enza, z którym w poprzednie wakacje wzięli ślub, choć w głębi duszy miałam nadzieję, że Werka się na niego załapie. Wtedy wszystko zostałoby w rodzinie. Od pierwszej chwili jednak znalazłam z Vale wspólny język. Czasem wyskakiwałyśmy razem do fryzjera czy na zakupy, jednak prywatnie, po godzinach, Valentina częściej spotykała się z Luizą i Jacopem niż ze mną, pewnie dlatego, że my już i tak miałyśmy całe dni na plotkowanie.

Pobiegłam do kuchni i wzięłam ze stołu komórkę. Choć w zamku, jak to w zamku, jest dużo pokoi, a ja mam nawet własny gabinet, gdzie stoi biurko i regały z moimi ulubionymi książkami, życie toczy się głównie w kuchni. Tam jest najcieplej, na środku króluje duży stół, przy którym zbieramy się wieczorami – prawie codziennie ktoś do nas wpada – by omówić ważne i mniej ważne sprawy. Pod ścianą ustawiłam małą kanapkę, żeby można było na chwilę przysiąść i przy kawie przejrzeć gazetę, a w kącie fotel, na którym uwielbia drzemać Dolar.

– Halo?

– Pani Laura z San Rocco?

– Tak, słucham.

– Nazywam się Caruso Natale. Wiem, co pani robi, a ja potrzebuję cudu. Już tylko pani mi została.

– Jeśli mogę pomóc, to oczywiście. Tylko jak?

– Mam na pace osiemnaście ton pomarańczy.

– Słucham?

– Przyjechałem z Sycylii, z naszej kooperatywy Arancia Coop, miałem dostarczyć dwadzieścia dwie tony do hurtownika tu, w Treviso – wyjaśnił pan Caruso.

– I co się stało? – Już przeczuwałam, o co mu chodzi.

– Likwidują kooperatywę. Dwie tony zabrał Verd'oro, dwie kolejne sprzedałem znajomemu, co jeździ na targ i sprzedaje owoce z busa, ale mam jeszcze osiemnaście. Przecież nie wyrzucę tego, bo jak i gdzie? Święta idą i muszę wracać na Sycylię. I jak gadałem przez CB-radio z kumplami, to powiedzieli, że pani na pewno to przerobi.

– Panie... Panie... Pan ma na imię Caruso czy Natale[4]?

– Natale.

– Panie Natale, gdzie pan teraz jest i ile mamy czasu?

Co można zrobić z góry pomarańczy? – zastanawiałam się gorączkowo. Dżem?

Podczas poprzednich wakacji trafiło do nas dwanaście ton pomidorów. Pan, który miał plantację, chciał zamknąć biznes i próbował upchnąć gdzieś nadprodukcję. Syn zapisał go przez internet na kilka dni wakacji w San Rocco i całe miasteczko przez tydzień pachniało pomidorami. Każdy mógł sobie wziąć, ile chciał, przyjeżdżały po nie dzieci i wnuki naszych mieszkańców, jednak większą część przerobiliśmy na przecier, który sprzedawaliśmy potem w sklepiku z naszymi lokalnymi produktami, a pieniądze odkładaliśmy na remont kolejnych domów. Zrobiliśmy też pamiątkowy słój, który udekorowały Marilena i Vittoria, i wystawiliśmy go na aukcję na eBayu. Pobiliśmy wtedy wszystkie możliwe rekordy, bo ktoś z Japonii zapłacił za niego równiutki tysiąc euro.

W ostatni weekend lipca urządziliśmy festiwal pomidora, udał się wspaniale! Przygotowaliśmy mnóstwo atrakcji: każdy mógł wziąć udział w konkursie na najlepszą konserwę. Nagrodą było trzysta słoików najwspanialszej na świecie marki Bormioli. Jak mawia Maria: „Są słoiki i jest Bormioli”. Suszyliśmy też pomidory na placu, i graliśmy w pomidora, co było dla mnie powrotem do dzieciństwa, a dla mieszkańców sympatyczną nowością.

Przyjechali też do nas harleyowcy, ponad dwustu chłopa. Każdy zabrał tyle słoików, ile mógł, i zawieźli je razem z naszym lokalnym makaronem do oddalonego o trzysta kilometrów Pozzo, w którym po trzęsieniu ziemi wielu mieszkańców potrzebowało wszystkiego – od szczoteczki do zębów po jedzenie. A wiadomo, bez pomidorów nie ma gotowania.

Tydzień po pomidorowym festiwalu zrobiliśmy wystawę poświęconą starym profesjom wykonywanym na rowerze; na przykład sprzedawca zabawek, który rozwoził je w specjalnym koszyku, handlarz pieczonych, pakowanych w gazetę kasztanów i prażonych orzeszków odwiedzający wioski w niedzielę, czy mleczarz, podzwaniający bańką

i kubkami. W ten sam weekend bawiliśmy się na cudownym koncercie – przyjechał do nas Federico Stragà, kumpel Alessandra i Jacopa ze szkoły, znany włoski piosenkarz, który podbił serca Włochów na festiwalu San Remo, a moje, gdy zaśpiewał kilka piosenek Franka Sinatry.

– Da mi pan pół godziny? Oddzwonię – rzuciłam i popędziłam do miasteczka.

*

Dwie godziny później samochód ciężarowy marki Iveco z kilkunastoma tonami pomarańczy na pokładzie zaparkował w najbliższym możliwym miejscu, do którego mógł dojechać, nie klinując się między domami czy murkami.

My ruszyliśmy kolumną samochodów. Plan był prosty: obrócić kilka razy i przewieźć jak najwięcej skrzynek. Na razie, ze względu na idealną temperaturę, mieliśmy przechować owoce w miejscu naszych potańcówek.

Mama Alessandra razem z Lucrezią, mamą Valentiny, dostały bojowe zadanie: znaleźć przepisy i słoiki. Zebrały słoiki od wszystkich mieszkańców (trochę zostało po pomidorach), bo nie było czasu na jeżdżenie po hurtowniach, a ja załadowałam je do mojego samochodu. Gdy dotarłam na miejsce i wgramoliłam się na przyczepę, zobaczyłam pomarańczowe morze. Przypomniałam sobie czasy, kiedy w Polsce pomarańcze były towarem luksusowym i jadało się je tylko w święta. Jeśli akurat rzucili.

Już miałam podzielić się ze wszystkimi wspomnieniami z poprzedniego stulecia, gdy do mojego nosa dotarł intensywny zapach owoców. O kurde, chyba się porzygam! Zeskoczyłam szybko na ziemię i pobiegłam za najbliższy róg, by rzucić solidnego pawia. W ogniu pomarańczowej walki nie miałam czasu na rozmyślania, lecz w mojej głowie zakiełkowało... czyżbym miała alergię na pomarańcze?

Zaczęliśmy zapelniać nasze samochody owocami. Gdy tylko Saabinka została załadowana aż po dach, ruszyłam w drogę. Chociaż było dość chłodno, jechałam z otwartymi szybami, żeby pozbyć się kręcącego w nosie zapachu. Pomarańcze wysypywały się z koszyków

i turlały po aucie, jedna wpadła mi nawet pod pedał gazu, co oczywiście mogło być niebezpieczne, stanęłam więc na poboczu, by zrobić porządek. Zanim dojechałam do San Rocco, zajrzałam do Giuseppiny i umówiłam się z nią na pieczenie bułeczek ze skórkami z pomarańczy.

*

Choć Alessandro był moim księciem z bajki, najczęściej zachowywał się jak typowy facet: sprawy domowe interesowały go tylko trochę, po zakupy musiałam go wypychać ze szczegółową listą, bo jeśli mu jej nie wręczyłam, potrafił przynieść do domu bardzo dziwne rzeczy: miał kupić pieluchy, kupował podpaski, zamiast z cukinią, wracał z arbuzem, wysyłałam go po kapustę, przynosił zgrzewkę piwa i trzy croissanty. To takie męskie!

Tym razem było tak samo.

– *Ciao amore*, kupiłeś sól do zmywarki? – zapytałam, gdy wszedł do kuchni.

– Nie mówiłaś, że do zmywarki – odrzekł, całując mnie.

– Mówiłam, kochanie – odpowiedziałam, wyjmując z torby kilogram grubej kuchennej soli. – Myślisz, że mogę jej użyć?
– zapytałam, przypominając sobie jednocześnie, jak kilka miesięcy wcześniej, nie mając pastylek do zmywarki, wlałam do niej kilka kropelek płynu do mycia naczyń. Pomysł wydawał mi się doskonały do czasu, aż piana dopłynęła do drzwi.

Alessandro nastawił kawę, klapnął na kanapie i przyglądał się, jak kroję pomidory.

– Wrócił do nas „Alberto boli mnie głowa” – oznajmił. – Chyba widziałem go wczoraj, gdy wracałem do domu. Ale tym razem przyjechał nie sam, tylko z córką i zięciem. I jakimś cudem nie marudzi, zostają chyba do soboty.

– Może miał wtedy andropauzę? – podsunęłam.

– Nie wiem, co miał, ale wszyscy zapamiętali go jako najbardziej męczącego, jęczącego i upierdliwego gościa.

– Gdybym wiedziała, że się do nas wybiera, nie wpuściłabym go do miasta.

– Pamiętasz, jak przyszedł na tańce i marudził, że muzyka jest za

szybka i za głośna, przez co boli go głowa?

– *O, mamma mia!* Albo jak narzekał, że wieje wiatr i od tego boli go głowa?

– Albo jak kazał wymienić w domu żarówki na słabsze, bo go razi i boli go głowa?

– I nie może jeść pikantnych potraw, bo...

– ...boli go głowa! – dokończył za mnie Alessandro.

– Poznajesz kogoś, wydaje się normalny, a gdy parę razy z nim pogadasz...

– ...to zaczyna boleć cię głowa – powiedział Alessandro i nalał nam kawy.

Uwielbiałam te chwile, kiedy akurat nikogo u nas nie było, mogliśmy siedzieć tylko we dwoje, gawędzić, plotkować, planować, milczeć. Albo...

*

Pomysł na założenie www.sanrocco.tv – końcówka „tv” była jednocześnie skrótem słowa „telewizja” oraz „Treviso” – przyszedł mi do głowy dwa lata temu.

Przyjechały do nas na wakacje Giusi i Claudia, dwie makijażystki, i zaproponowały, że za tydzień pobytu zorganizują kurs makijażu dla pań po sześćdziesiątce.

Oczywiście nikogo nie trzeba było namawiać. Lekcje makijażu nagrałam telefonem, komentując z offu, podpytując, co jest co, czy róż w tym wieku tak czy nie, jak pomalować brwi, żeby nie przesadzić...

Filmik, zwany, jak się później dowiedziałam, tutorial, wrzuciliśmy do sieci. W ciągu tygodnia zobaczyło go ponad pół miliona ludzi!

Wnuczki pokazywały go babciom, ktoś dodał napisy po angielsku i hiszpańsku. Strony dla seniorów skopiowały link, zachęcając starsze osoby, by o sobie dbały, bo szminka nie jest wrogiem nawet po osiemdziesiątce – trzeba ją tylko odpowiednio dobrać. Seniorzy pisali e-maile z pytaniami, co nowego u nas słyszą.

Inspiracją był komentarz dziewczyny, która nie miała już dziadków i żałowała, że nie nauczyła się od swojej babci robienia koronek.

Kupiłam niedużą kamerę, założyliśmy portal i raz w tygodniu

nagrywaliśmy „odcinek”.

Mieszkańcy chętnie dzielili się swoją wiedzą i doświadczeniem, sami proponowali tematy. Nakręciliśmy porady, jak odrestaurować okno, naprawić koślawe krzesło, wyhaftować inicjały, upiec chleb i bułeczki. Z pomidorowego szaleństwa nakręciliśmy kilkunastominutowy reportaż. Był odcinek o wybielaniu firanek, prasowaniu lnu, robieniu drewnianych zabawek i latawców. Odcinek, który miał najwięcej komentarzy, dotyczył adopcji psów.

Razem z fundacją z Conegliano zorganizowaliśmy akcję Senior dla Seniora. Pojechaliśmy do schroniska, kilkoro naszych mieszkańców adoptowało starsze psiaki, czyli takie, które miały mniejsze szanse na adopcję niż szczeniaki. Ja nagrałam pierwsze wspólne sekundy, pierwsze spojrzenia. Uchwyciłam ten moment, w którym i pies, i człowiek rozumieją, że od teraz życie będzie inne.

Po dwóch tygodniach odwiedziłam ich wszystkich w domach i... to był cud! Psiaki nie były smutne, lecz dumnie trzymały ogon w górze, Fiorella wreszcie przestała mówić o tym, że życie nie ma sensu, i zaczęła robić plany „na jutro i pojutrze”, a Dolar nareszcie miał kumpli i kumpelki.

Zrobiliśmy też albumy zdjęć psów i kotów czekających na adopcję i zostawiliśmy po jednym w każdym domku oraz w urzędzie miasta. Największą frajdą było raz w tygodniu dzwonić do fundacji i na kolejnych zdjęciach umieszczać naklejki z napisem „Adoptowany”.

*

– Kochanie, co chcesz dostać pod choinkę? Właśnie piszę z Lele list do Świętego Mikołaja.

Oczywiście siedzieliśmy w kuchni.

– Chcę żonę – odpowiedział Ale, biorąc małego na rękę.

– Jak to żonę?!

– Kto tęsknił za tatą? – spytał Alessandro, zupełnie mnie ignorując.

– Ja tęskniłem – odpowiedział Lele.

– Kto jedzie ze mną do babci po słoiki?

– Ja jadę! – wykrzyknął Lele.

– Jaką żonę? – dopytywałam się.

– Kto jest dużym chłopcem? – Mój mąż nadal nie zwracał na mnie uwagi.

– Ja jestem!

– Kto będzie od dzisiaj spał w swoim pokoiku?

Buzia w podkówkę i cisza.

No tak, byliśmy milionerami, a żyliśmy jak normalni zapracowani ludzie... Alessandro nadal jeździł, a to do Treviso i Mediolanu, jedyna świętość w naszej rodzinie to była niedziela – zawsze spędzaliśmy ją razem, od śniadania do kolacji, bo niestety w tygodniu Ale często wracał późno, kiedy ja i Lele już spaliśmy. Lele przyzwyczał się do tego, że śpi z nami, i gdy próbowaliśmy go od tego odzwyczaić, kończyło się na płaczu do białego rana, więc odpuściliśmy i nasze życie erotyczne praktycznie nie istniało. Czasem udawało nam się wyrwać godzinkę, gdy nasz synek spał po obiedzie.

Ja oprócz prób wychowania Lele na człowieka zajmowałam się stroną internetową miasteczka i wciąż miałam nowe pomysły, co zrobić w San Rocco, żeby było jeszcze bardziej atrakcyjne i żeby przyjeżdżało do nas więcej ludzi. Od czasu do czasu chciałam poprosić Alessandra, żeby trochę zwolnił, zajął się nami, ale nie było to jednak proste, bo tak jak nie można wymagać od tenisisty, żeby brał tylko udział w połowie turniejów, by zająć się rodziną, tak nie można prosić prawnika, żeby do sądu chodził w kratkę, czy odstępował kolegom swoje sprawy, bo przestanie być traktowany poważnie.

Moi rodzice wpadali do nas kilka razy w roku, wtedy trochę mi pomagali, chociaż nie mogłam narzekać, bo Maria była najlepszą teściową i mamą pod słońcem. Do San Rocco przyjeżdżało mnóstwo ludzi i z wieloma z nich się zaprzyjaźniłam.

Raz przez tydzień musiałam gościć klientkę w naszym zamku, bo mieliśmy internetowy *black out* i pokryły nam się rezerwacje. To była najbardziej zakręcona osoba, jaką poznałam w całym moim życiu – Jasmine, czterdziestokilkuletnia Irlandka, która przyjechała do nas z kilkuletnią córką i zamiast podać mi rękę i powiedzieć „dzień dobry”, przytuliła mnie, chwytając w talii, żeby sprawdzić, czy mam „zapasy” (a po porodzie jeszcze trochę miałam), i zaczęła nadawać:

– Jaka ty jesteś szczupła! No bo ja muszę schudnąć. Wiesz,

znalazłam takie ćwiczenia raz-dwa, raz-dwa – zaczęła kręcić biodrami w lewo – trzy i cztery, trzy i cztery – teraz kiwała się w przód i w tył. – Trzeba to powtarzać kilka razy dziennie. A to jest Cleo, moja córka. Zdrobnienie od Cleopatra. Niektórzy uważają, że to pretensjonalne. Ale przecież nie mogłam nazwać córki Wilma, Filomena czy Gertruda, *right*? Aha, pamiętaj koniecznie, gdy będziesz ćwiczyła, musisz uważać, żeby nie wyskoczyła ci miednica.

Nie zdążyłam się zastanowić, dokąd może wyskoczyć miednica, gdy usłyszałam:

– A na uda, to trzeba tak – Jasmine padła na czworaka – unosić nogę, tak jak pies sika. Bo wiesz, w naturze jest wszystko! Widziałaś, żeby psu kiedyś coś wisiało? Nie! Bo one ćwiczą. Nie siadają jak my. Cleo, jesteś głodna, kochanie? – Nie czekając na odpowiedź nieco zawstydzonego dziecka, znów zwróciła się do mnie: – A ty masz dzieci?

– Synka – odpowiedziałam, próbując się nie śmiać. – Ma pół roku.

– Karmisz go jeszcze?

– Tak.

– No i bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Tylko gdy skończysz, to koniecznie dwie butelki wody!

Dwie butelki wody?

– A gdy będziesz ćwiczyła, bo to naprawdę unosi biust... spójrz na mój! – Wyprostowała się tak, że jej bluzka aż trzeszczała w szwach. – To możesz jeszcze na przykład... – rozkładała ręce i opuszczała je, udając, że coś trzyma – ...napinać pupę. – Odwróciła się. – Raz dwa, raz dwa....

Zanim dotarliśmy do jej pokoju, opowiedziała mi o czternastogodzinnym porodzie, o rozwodzie, który dużo ją nauczył, drugim ślubie z pierwszym mężem i o tym, że mimo że gada jak najęta, przyjechała wsłuchać się w siebie.

*

Wieczorem ja i Alessandro usiedliśmy przy kominku, w którym trzaskały miło płonące polana.

Przedtem Lele jak zawsze zasnął w naszym łóżku, ale po raz pierwszy przeniosłam go do jego pokoju i włączyłam elektroniczną

nianię. Lubiłam patrzeć na mojego śpiącego synka – przynajmniej nie rozrabiał i nie zasypywał mnie pytaniami – więc posiedziałam przy nim trochę, oddając się rozmyślaniom.

Chyba rzeczywiście trochę zaniedbałam męża. Jednocześnie dotarło do mnie, że bardzo się za nim stęskniłam. Ciągłe mamy gości, nasza rocznica ślubu wypada w Wigilię. Po podróży poślubnej na Kretę już nigdy sami nie wyjechaliśmy, bo albo byli z nami jego rodzice, albo moi, albo całe San Rocco, jak podczas wyjazdu do Wadowic i Krakowa.

Wypadałoby zorganizować coś tylko we dwoje, ale świąteczny czas, z definicji megarodzinny, to nie jest odpowiedni moment.

– Rozmawiałaś ostatnio z Weroniką? – zagadnął Alessandro.

– Wczoraj. Jest w Maroku.

– Może weźmiemy kilka dni wolnego, Lele zostanie z moimi rodzicami, i pojedziemy ją odwiedzić?

– Hm, może na wiosnę? – odpowiedziałam, ale w moim głosie nie było słycać entuzjazmu.

Pomyślałam sobie, że strasznie się zasiedziałam. Nie miałam ochoty ruszać się z domu, całkowicie wystarczało mi zajmowanie się sprawami San Rocco, robienie przetworów, no i oczywiście wychowywanie Lele.

Zapomniałam o tym, że kiedyś chciałam podróżować, świat poznawać, napisać książkę, poznać księcia z bajki... A nie, księcia już mam! A może to właśnie jest szczęście? Takie zwykłe życie wypełnione zwykłymi sprawami? Bo co z tego, że w zamku?

*

No właśnie, Weronika pojechała w świat. Ponad rok temu, „tylko na miesiąc”. Tęskniłam za nią i tak bardzo brakowało mi naszych pogaduszek! Gdy odwoziłam ją na lotnisko do Wenecji, prawie przez całą drogę ryczałam.

– Ty jedziesz świat zdobywać, a ja jak debilka zostałam z zamkiem. Wiedziałam, że tak będzie! – łkałam.

– Przestań, głupia. Też chciałaś ten zamek. Przecież wrócę. Ale zrozum, co ja z życia miałam? Tylko szkoła i dom. Przecież z Rudym nigdzie nie jeździliśmy, bo szkoda mu było pieniędzy. Poza tym muszę

się rozejrzeć, zastanowić. Ty masz męża, dziecko, wiesz, na czym stoisz, a ja nic – tłumaczyła.

Weronika zwiedziła już Indie i niemal całą Afrykę. Dzwoniła do mnie raz w tygodniu i opowiadała o tym, co widziała, o lokalnych tradycjach, sytuacji ekonomiczno-politycznej. O tym, jak żyją tam kobiety i dzieci. Nie wspominała o powrocie ani tajemniczym towarzyszku podróży, którego poznała na Zanzibarze. Napomknęła o nim tylko raz, gdy spytałam ją, czy nie boi się podróżować sama. „Już nie jestem sama”, odrzekła tajemniczo i nie rozwinęła tematu. Nie, to nie.

Nie pytała też, co słychać w Polsce, powiedziała mi tylko, że ten szubrawiec wreszcie dał jej rozwód. Pewnie dlatego, że zmalował dzieciaka młodej, pomyślałam.

Rozmawiałyśmy wtedy na Skype. Trzymałam Lele na rękach – choć miał już dwa lata, czasem przed snem karmiłam go piersią, dla świętego spokoju – a Werka, nie wdając się w szczegóły, powiedziała tylko jedno słowo: „Rudy”, i zrobiła jakże wymowny gest Kozakiewicza. Ja się roześmiałam, a Lele, który od dłuższej chwili wpatrywał się w ekran komputera, podchwycił gest i za każdym razem, gdy widział Werkę na ekranie, właśnie tak się z nią witał. Dobrze, że nikt we Włoszech nie wie, o co chodzi. Miałam tylko nadzieję, że nie zaprezentuje tego przed dziadkiem i babcią.

Po południu poszliśmy całą rodziną na plac, by dokończyć ustawianie szopki i ubieranie choinki. Zrobiliśmy też zdjęcia, które chciałam wraz z życzeniami wrzucić na naszą stronę. Jak co roku zapraszaliśmy gości z całego świata, szczególnie osoby samotne, bo w święta nikt nie powinien być sam. Zawsze pojawiał się ktoś z mediów, bo przyjazd tutaj dawał gwarancję ciekawego materiału – u nas po prostu zawsze działa się coś fajnego. Maria upiekła ozdobione lukrem cynamonowe pierniki, które miałam powiesić na choince w ratuszu, w czym oczywiście Lele koniecznie musiał mi pomagać i osobiście skontrolować ich jakość, dyskretnie nadgryzając kilka z nich.

– Jak spędzicie święta w San Rocco? – spytała mnie dziennikarka z lokalnej telewizji, gdy łapałam spadającą z choinki bombkę.

– Urządzamy przedświąteczną kolację, a potem różnie. Niektórzy wyjeżdżają do dzieci, inni będą mieli gości. Miasteczko, jak widać, jest

już udekorowane. Nikt nie zostanie sam, to oczywiste – odpowiedziałam.

– Jakie macie tu tradycje?

– Hm... Mamy tradycję, która jest tylko nasza. – Podeszłam do stojącej na placu choinki. – W każdym domu jest wielkanocna polska palma.

– Palma wielkanocna w Boże Narodzenie? Możesz to wytłumaczyć naszym widzom?

– W Polsce na Wielkanoc robimy palemki. Nie przypominają takich prawdziwych palm. Robi się je ze słomy, suszonych kwiatów i malowanej dekoracyjnej trawy... Kiedyś wierzono, że chronią ludzi i zwierzęta przed chorobami i wszelkim złem. Dwa lata temu moi rodzice przesłali nam cały zapas palemek, żeby każdy w miasteczku dostał jedną, i wszystkim bardzo się to spodobało. Tak bardzo, że w ubiegłym roku ktoś pomylił święta i przystroił palmami choinkę. Postanowiliśmy to powtórzyć i w tym roku.

– A szopka?

– Szopka przyjechała z Krakowa, ale dodaliśmy do niej różne elementy. Ettore wyrzeźbił zwierzęta, Marilena, nasza oficjalna krawcowa, uszyła ubrania dla figurek, Vittoria wyhaftowała słowa o, tutaj. – Pokazałam napis „Wesołych Świąt” w kilku językach.

– Jak zwykle zrobiliście wszystko razem?

– Oczywiście.

– A jak się miewa najmłodszy mieszkaniec miasteczka?

– Rośnie i rozrabia – odrzekłam, nie kryjąc dumy. – Mądre przysłowie mówi, że „Trzeba całej wioski, by wychować dziecko”. Leandro ma szczęście dorastać w fajnym miejscu i z fajnymi ludźmi. *Buon Natale* dla wszystkich! Przyjeżdżajcie do nas!

Dziennikarka pobięła zrobić wywiad z Enzem, a ja zastanawiałam się, gdzie jest moje dziecko.

Rozglądałam się, myśląc, czy przywitałam się ze wszystkimi, i jednocześnie wypatrywałam rozbrykanego Lele – który właśnie biegał wokół placu, udając samolot – gdy usłyszałam za placami znajomy głos, lecz mówiący z dziwnym akcentem. Padały nieznane słowa, takie jak *nucatili, cobaita, buccellatini, impanata, sfincione*...

Odwróciłam się zaintrygowana i... zaczęłam piszczeć jak wariatka.

– We-ro-ni-ka! Wróciłaś!

Werka też się odwróciła. Wyglądała pięknie: miała długie, rozjaśnione słońcem włosy, ubyło jej z dziesięć lat. Stała w towarzystwie jakiegoś bardzo przystojnego mężczyzny, a obok nich na bruku leżały plecaki. Padliśmy sobie w objęcia.

– To będą wspaniałe święta! – powiedziałam. – Jak ja się cieszę, że wreszcie wróciłaś. Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Boże! Ty masz brzuch! Jesteś w ciąży? Jesteś w ciąży! – odpowiedziałam sama sobie.

Krzyczałam tak głośno, że zbiegli się wszyscy, którzy byli na placu. Leandro na szczęście nie przywitał cioci tak, jak to miał w zwyczaju, tylko dał jej głośnego całusa.

XI GŁADKO JAK PO OLEJU



I znów wszystko było jak dawniej – krzątałyśmy się po kuchni, bo na poświęteczne śniadanie zaprosiliśmy całą rodzinę Alessandra, Alfia i jego mamę (dzwonili z drogi, że mają jeszcze dwa kilometry), byli też oczywiście moi rodzice i Klara.

Alfio – tak nazywał się narzeczonny Werki – spędził z nami kilka dni, obejrzał miasteczko i pokręcił się po okolicy, po czym pojechał do domu, na Sycylię. To dlatego włoski Werki był taki dziwny! Mówiła płynnie, lecz z sycylijskim (albo własnym) akcentem. Alfio sprzedawał kiedyś samochody, lecz jego prawdziwą pasją były podróże i fotografowanie. Na południu pogłębiał się kryzys gospodarczy, jego firma przynosiła coraz mniejszy dochód, co paradoksalnie pomogło mu podjąć decyzję. Sprzedał biznes i zaczął robić to, o czym zawsze marzył: podróżował i fotografował.

– Jak odnajdujesz się w roli mamy? – spytała mnie Weronika, wbijając do miski trzydzieści jaj.

– Jak się odnajduję... – Zamyśliłam się na chwilę. – Różnie. Lele miał okres pleśniowy i myślałam, że zwariuję.

– Okres pleśniowy? – powtórzyła zdumiona Weronika.

– Tak. Był u Marii i nie chciał jeść gorgonzoli, więc babcia powiedziała mu, że to samo zdrowie i że penicylina, która jest w zastrzykach, jest też w serze. Mały w mig załapał, a był właśnie po szczepieniu, że aby go więcej nie kłuli, musi jeść pleśniowe rzeczy. Ja pierniczę! Wchodzę kiedyś do kuchni, a on cały kosz ze śmieciami wywrócił i jedzenia z pleśnią szukał. Oczywiście miał fazę „nie”, jak każdy dzieciak, potem kilka tygodni chciał chodzić tylko nago, ale całe szczęście było lato. Generalnie jest fajnie, tylko uwierz mi, że wieczorem padam.

– Aż strach pomyśleć, co będzie, gdy urodzi się drugie!

– Nie strasz mnie, błagam!

– Ja też jestem przerażona moim nowym życiem. I zupełnie

zapomniałam, że gdy ma się faceta, to trzeba mu gotować! À propos gotowania: jak robisz ten makaron z serami, że ci się nie klei? Ja raz zrobiłam i wyszła mi guma do żucia...

– A jakie dałaś sery?

– Mozzarellę, goudę i jakiś jeszcze, nie pamiętam...

– Gouda z mozzarellą?! Ty to jednak safandula kulinarna jesteś!

Twoja wersja „przez żołądek do serca” to „niech dziękuje, że przeżył”. No więc słuchaj: wlewasz na patelnię odrobinę mleka, mleko jest kluczowe! Potem dodajesz gorgonzolę, najlepiej pół na pół: pół dolce i pół picante, gdy się roztopi, wsypujesz pokrojone drobno orzechy. No i makaron, koniecznie penne.

– O czym plotkujecie? – spytała Klara, wchodząc do kuchni.

– O dzieciach – odpowiedziała Werka.

– O gotowaniu – odpowiedziałam ja.

– A ty jak tam z twoją salą zabaw? – zainteresowała się Werka.

– Ge-nial-nie! – wykrzyknęła Klara. – A właśnie, dzięki za piasek!

– Dała Werce buziaka i usadowiła się na kuchennej kanapie.

Sala zabaw czy, jak kto woli, świetlica interaktywna nazwana została Złote Piaski na cześć naszych jedynych w dzieciństwie wakacji spędzonych za granicą – w Bułgarii.

Jedno ogromne pomieszczenie stało się zaczarowaną piaskownicą, która zimą była przeszklona, a latem otwarta. Dzieciaki mogły bawić się w piasku nawet w grudniu, patrząc jednocześnie na padający śnieg. Ogromną atrakcją stanowiły szklane gabloty – od sufitu do podłogi – w których znajdowały się najciekawsze piaski świata: był biały piasek z Australii, różowy z Budelli, czarny ze Stromboli, złoty z Bułgarii, czerwony z Santorini, inny złoty z Gozo, inny czerwony z Maui-Hawai, czarny z Sandcut, zielony z Papakolea i oczywiście nasz krajowy. Każda gablota była opisana, a na mapie zaznaczone miejsce, skąd pochodzi piasek.

Na inaugurację Klara zaprosiła Ksenię Simonową, artystkę, która rysuje piaskiem historie i bajki. Coś niesamowitego! Spektakl zachwycił dorosłych i dzieci, był pretekstem do serii artykułów w lokalnej prasie, dzięki czemu o sali zabaw dowiedzieli się wszyscy w promieniu stu kilometrów. Z całej Polski napłynęło tak dużo pytań, że Klara musiała

podjąć decyzję, czy otworzyć kolejne takie miejsce, czy też zdecydować się na franszyzę.

– Ja też wiem, co chcę robić – oznajmiła Weronika i zaczęła opowiadać przeplataną anegdotami historię różnych kosmetycznych olejów i olejków. O większości ani ja, ani Klara nigdy nie słyszałyśmy.

Mówiła o ich właściwościach, zaletach, o tym, że w szamponach i odżywkach, a w nawet mydłach są pochodne petrolu i ludzie używają tego nieświadomie, bo gdy zapytasz na ulicy, czy wysmarowali sobie twarze benzyną, to oczywiście każdy powie, że nie.

Opowiadała, że gdy była w Kenii i miała wysuszone, łamiące się włosy, kobieta, u której mieszkali z Alfiem, natarła jej włosy olejkiem zmieszonym z miodem i już po godzinie były zdrowe i błyszczące.

I tak dowiedziałam się o istnieniu olejków macadamia i jojoba, kokosowego, z sezamu, arganowego i z eukaliptusa. Najbardziej zaskoczona byłam zastosowaniem indyjskiego olejku neem: przeciw komarom, przeciw grzybom, przeciw opryszczce, a nawet przeciw pchłom.

Weronika chciała te olejki importować i kupować tylko od produkujących je kobiet, rozlewać je do ręcznie robionych pojemników i sprzedawać zarówno w sklepie, który zamierzała otworzyć, jak i przez internet.

– Kocham twój pomysł! – wykrzyknęłam.

– No i wreszcie mogę ci dać prezent – powiedziała. – Zatrzymali nam to na granicy, ale udało się wszystko wyjaśnić. To dla ciebie.

Dopiero teraz zobaczyłam stojący na kredensie karton.

– Otwórz!

Znajdował się w nim kryształowy, bogato zdobiony flakon z pipetką w korku.

– Obejrzyj dokładnie – poleciła Werka.

Obejrzałam i zobaczyłam złoty napis „Olio di Laura”.

Mam swój olejek! Chyba pęknę z dumy! Postawiłam flakon na stole i wylałam kilka kropli na dłoń. Zapach był niezmiernie, pudrowy, z nutą drewna i mchu. Taki jak lubię.

– Możesz go używać na końcówki włosów i na całe, jak maskę, do kąpieli i do ciała na sucho, na buzię.

– To cudowny prezent. Dzięki, kochana.

Okazało się, że nieświadoma biurokracji i obowiązkowej papierologii, Weronika chciała przemycić ponad sto litrów olejków pochodzących z różnych stron świata. Paletę zatrzymano na granicy i dopiero dziś, po zapłaceniu kary i cła, udało się ją wydostać.

*

Turystów w San Rocco było tak dużo, że wreszcie, na co czekaliśmy przecież z utęsknieniem, zaczęli przyjeżdżać ludzie myślący o otworzeniu u nas jakiejś działalności. Co prawda nikt niczego jeszcze nie otworzył, ale ktoś zastanawiał się nad pizzerią, ktoś inny nad sklepem z pamiątkami. Była więc nadzieja, że coś się zmieni.

W czwartek rano umówiliśmy się z Werką i Enzem, by zobaczyć, który lokal najbardziej nada się na olejkowy butik.

Alfio wymyślił nazwę Ver'oil, co było grą słów: Ver – Weronika; *vero* – po włosku „prawdziwy” – i *oil*.

Sklep musiał być dobrze widoczny, łatwo dostępny, z parkingiem dla co najmniej trzech samochodów, co, biorąc pod uwagę wąskie uliczki, nie było prostą sprawą.

Wybraliśmy malutki zabity deskami (dosłownie) lokal naprzeciwko urzędu miasta, gdzie ze sto lat temu urzędował szewc. Problem był taki, że nikt nie pamiętał, kto jest jego właścicielem. Enzo poprosił sekretarkę, by przejrzała stare księgi wieczyste, potem szukaliśmy spadkobierców, co zajęło prawie trzy tygodnie. Kiedy dotarliśmy do właściciela, okazał się nim... Ettore, który zupełnie zapomniał, że czterdzieści lat temu jego nieżyjący od połowy lat osiemdziesiątych ojciec odziedziczył tę nieruchomość po bracie. Zgodził się od razu te dwadzieścia metrów sprzedać, szczęśliwy, że wreszcie coś tam się będzie działo.

*

– Jadę zapisać małego do przedszkola – powiedziałam, wchodząc do naszej biblioteki, w której Weronika, niczym jakaś wiedźma, mieszała różne olejki z różnymi zapachami.

– Powąchaj ten – powiedziała. – Piżmo.

– Ładny.

– A ten? Bursztyn.

Powąchałam, zastanawiając się, czy i jak robi się olejek z bursztynu, i czy bursztyn pachnie. Wstydziłam się jednak spytać.

– Też mi się podoba.

– Ten pachnie drewnem sandałowym.

– Cudny! Jak brzusio?

– Kopie – odrzekła z uśmiechem Werka.

– Muszę jechać i zapisać Lele do przedszkola. Mam nadzieję, że nie wytnie żadnego numeru!

*

Do przedszkola dotarliśmy spóźnieni, bo jak każda mądra i rozważna matka przez trzydzieści minut cierpliwie tłumaczyłam Lele, dlaczego nie może mieć w samochodzie szabli. Oczywiście szabla była plastikowa, ale i tak przy naszych zakrętach i mojej skłonności do gwałtownego hamowania nie była to najlepsza zabawka na drogę.

Wreszcie wyrwałam mu ją i rzuciłam na kanapę. Dolar pomyślał, że to dla niego, więc wskoczył, porwał ją i zaczął uciekać. Lele rzucił się za nim, lecz udało mi się go złapać i zanieść wrzeszczącego do samochodu.

Leandro zasnął niecały kilometr od domu, lecz gdy dojechaliśmy na miejsce i wyjmowałam go z fotelika, oczywiście się obudził i zaczęła się jazda, bo przypomniał sobie o samochodziku, którym nigdy się nie bawił, ale z jakiegoś niezbadanego powodu koniecznie teraz chciał go mieć. Bez samochodziku ani rusz. Z takim rozwrzeszczanym dzieckiem weszłam do środka. Byłam spóźniona i spocona, i próbowałam go uspokoić, lecz bez rezultatu. Po chwili wybiegły do mnie pani dyrektor i wychowawczynie, i stwierdziły, że najlepiej będzie zabrać go do sali zabaw, gdzie w towarzystwie innych dzieci i zabawek szybko zapomni o tym, dlaczego płacze.

Tłumaczyłam, że nie wiem, co się dzieje, że mój synek nigdy się tak nie zachowuje, ale panie tylko kiwały głowami i nie wyglądało na to, że mi uwierzyły.

Nagle Lele się uspokoił. Też nie miałam pojęcia dlaczego.

Wytarłam mu buzię i postawiłam na podłodze.

– Jak masz na imię? – zapytała pani dyrektor.

– Lele – burknął.

– To skrót od Emanuele?

– Nie znam Emanuele – powiedział krótko i wyglądał, jakby znów miał się rozplakać.

– To zdrobnienie od Leandro – wyjaśniłam.

– Leandro? Masz bardzo ładne imię, wiesz? Bardzo oryginalne.

Weszliśmy do sali zabaw. Lele rozejrzał się i nawet lekko uśmiechnął, lecz po chwili zorientował się, gdzie jest, i znów rozdarł się na całe gardło:

– Nie zostawiaj mnie tu! Będę grzeczny! Ja nie chcę do więzienia dla dzieci. – Błagalnie wyciągnął do mnie rączki.

– Jakiego więzienia dla dzieci?

– Niiieeeeeee! Maaaaamooooooooo! – darł się.

Po chwili zaczęły mu wtórować inne dzieciaki, więc nie pozostało mi nic innego, jak wynieść go z sali. Umówiłam się z dyrektorką, że jutro spróbujemy jeszcze raz. Ale skąd on wytrzasnął to więzienie dla dzieci? – zastanawiałam się.

XII A GDYBY TAK BIAŁO-CZERWONO?

Mam ochotę na ruskie pierogi – oznajmiła Weronika.

– To zrobmy. Ileż to roboty?

– Pierogi bez białego sera?

– Hm... chyba mam ser, daj mi moment.

Weszłam do spiżarni i zaczęłam przeglądać zamrożone zapasy.

Sama nie wiem, kiedy stałam się doskonałą panią domu z dokładnie opisanymi przetworami. Na ozdobnej naklejce znajdowała się informacja, co to jest i oczywiście data.

„Grzyby miks podsmażone z cebulką. 12.10.2015”.

„Grzyby prawdziwki podsmażone b/c (bez cebuli) 12.10.2015”.

„Kurki podsmażone z cebulką 10.10.2015”.

„Jagody 18.08...”

Brakowało pieczęci odcisniętej w laku i podpisu czterdziestu zdrowych na ciele i umyśle pełnoletnich świadków.

Z triumfalnym uśmiechem wyciągnęłam zamrożony ser, który kiedyś przywiozła mi mama. Przy okazji wzięłam z koszyka marchew na sok.

– Lele, kochanie, chcesz sok z marchwi? – spytałam.

– Z marchwi nie robi się soku – poinformował mnie synek, który siedział w swoim foteliku przy kuchennym stole i rysował.

– Robi się, kochanie, robi – zapewniła go Werka.

– No to się robi, ale się nie pije – odciął się.

– Pije się, kochanie, pije – odrzekła Werka. – Będziesz miał od niego ładne kolorki.

– I będę taki psystojny jak tata? – upewnił się.

– Oczywiście... Ale zaraz, zaraz... kto ci powiedział, że tata jest przystojny? – zainteresowałam się. I skąd mój synek zna takie słowo?

– Pani.

– Jaka pani?

– No ta, co psyjechała na kawę – odparł Lele nieco

zniecierpliwiony tym moim wypytywaniem o rzeczy oczywiste. – To chcę ten sok, mamusiu. – Popatrzyłam na niego znacząco. – Proszę – dodał szybko.

Na jaką kawę? Jaka pani? – zastanawiałam się.

Werka, która wyrabiała ciasto na pierogi, krztusiła się ze śmiechu nad stolnicą.

Ja zabrałam się do wyciskania soku.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwała się Werka, gdy sokowirówka przestała hałasować.

– Błagam, tylko nie wyjeżdżaj! – wykrzyknęłam przerażona.

– Nie, nie! Tylko... rozmawialiśmy z Alfim, i...

– Przepraszam, że ci przerywam, ale czy on wie, ile masz na koncie?

– Nie wie.

– Nie powiesz mu?

– Na początku nie miałam do niego zaufania, no i nie miałam rozwodu, więc nie chciałam ryzykować. Potem jakoś nie było okazji.

– Dobrze. Twoja decyzja.

– Chcemy kupić dom. Nie chodzi o to, że nam się tu nie podoba, bo wieża jest więcej niż komfortowa i ją kocham, Alfio jednak potrzebuje gabinetu i miejsca na ciemnię, a ja magazynu na olejki. Musimy też mieć łatwy dojazd dla samochodów towarowych.

– Buuuu! – Wykrzywiłam się. – Masz już coś na oku?

– Tak.

– Poważnie? Gdzie? Daleko? Niedaleko, prawda?

– Mam ten dom na oku, od kiedy pierwszy raz tu przyjechałyśmy. Ten na wzgórzu, blisko twoich teściów... opuszczony... gdy go zobaczyłam, mocniej zabiło mi serce.

– Mnie też, gdy wpadłyśmy do rowu! Mam wrażenie, że od tamtego czasu minęły wieki.

– Alfio chce z tobą ustalić jedną rzecz odnośnie do wieży, a właściwie ostatniego piętra. – Werka zrobiła tajemniczą minę.

– Jasne, co takiego?

– Jeśli będziemy mieli córeczkę, to wieża się przyda, bo kawalerowie będą do niej walili drzwiami i oknami.

- Wariat. A ty czujesz, że to chłopczyk czy dziewczynka?
- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Byle było zdrowe, bo ładne to na bank będzie! Po mamusi. – Puściła do mnie oko.
- Tak sobie pomyślałam, że gdy zamurujecie córkę w wieży, to Lele wlezie tam przez komin. – Zaczęłam obierać pierwszego ziemniaka na farsz do pierogów.
- Wczoraj byłam obejrzyć dom. Ma pięćset metrów kwadratowych, hektar terenu, z tyłu, na podwórzu, była kiedyś wytwórnia czekolady, którą będziemy mogli przebudować. Są też opuszczona szklarnia i piwnica, taka z cegły, gdzie można trzymać wina i sery.
- Albo niegrzecznego chłopca.
- Do tego też się może przydać. Jedyne, co mnie przeraża, to to, że jest tam mnóstwo do zrobienia. Chciałabym tak jak ty, wiesz: wyjechać, ciach ciach, cyk cyk, dwa dni i odmalowane, odświeżone, tak jak przed twoim weselem zrobiliśmy.
- Przecież wam pomożemy – zapewniłam.
- Alfio obawia się, że gdy zaczniemy remontować, okaże się, że pracy jest o wiele więcej, niż się spodziewamy. Wystarczy kilka spróchniałych belek i cały dach do wymiany, a to już grubsza robota. Nie chciałabym wrócić ze szpitala na plac budowy.
- No to pierwsze miesiące spędzisz tutaj. Będzie dobrze, nie martw się na zapas!
- Mam nadzieję, że wyrobimy się przed porodem.
- Na pewno!

*

Trwały przygotowania do święta Panevin (*pane* – chleb; *vin* – wino), obchodzonego tradycyjnie w wieczór przed Trzema Królami.

Ernesto i Jacopo zrobili wielkie falo’[5], Rosetta polentę w trzydziestu wersjach, były też sery, *vin brule’* (grzaniec) i oczywiście la pinza – ciasto z bakaliami. Kawałeczek pinzy waży chyba z pół kilograma, tyle jest w nim fig, orzeszków i kalorii.

Valentina ustawiła reflektory, żebyśmy mogły nakręcić film do internetu. Wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik i zaplanowane co do sekundy, bo powtórzyć momentu podpalenia przecież się nie da.

A więc od „kamera start” musiałyśmy przejść bezpośrednio do „mamy to!”

Ubrałam Leandra w kaszmirowy błękitny sweterek, który dostał od dziadków, oraz kolorowy szalik i czapkę z obłędnym pomponem od moich rodziców. Uśmiełam się, bo dla pochodzącego z Sycylii Alfia było to pierwsze Panevin, podczas gdy ja, w idealnym dialekcie bez śladu akcentu, potrafiłam wyrecytować:

*Pan e vin,
la pinsa sotto il camin.
Faive a ponente
panoce gnente,
faive a levante
panoce tante.*

*

– Idę wskoczyć w piżamę – powiedziałam do Alessandra.

Lele w końcu padł. Trwało to dość długo, bo: „nie jestem śpiący”, „spanie to nuda”, „spanie to strata casu”, „idziemy popatsec na ogień”, „cy ogień jesce się pali?”, „pójdziemy zobacyc, cy ogień się już nie pali?”, „koniecznie musimy sprawdzić, cy ogień się nie pali”, „coś bym zjadł”, „chce mi się pić”, „nie jestem śpiący, naprawdę!” i na koniec „ja juz jestem duzy”.

Przypomniały mi się z iluśletnim opóźnieniem wakacje u babci, gdzie był tuzin dzieciaków, i ta ulga w oczach cioci, babci i mamy, gdy wreszcie raczyliśmy pójść spać.

Gdy zesłam na dół, Alessandro siedział na kanapie przy kominku. Na stoliku obok kanapy czekał na mnie koszyk z orzechami laskowymi z naszego ogródka. Orzechy podczas pięknej, złotej, włoskiej jesieni zbieraliśmy całą rodziną, zostawiając jednak co nieco dla wiewiórek.

Łupiny rzucaliśmy do kominka, a kto nie trafił, musiał zrobić coś, czego zażądała druga osoba.

– Kochanie, musimy porozmawiać – zaczął Alessandro.

– Słucham cię.

Usadowiłam się obok niego na kanapie.

– Rozwiązałem kontrakt z Enalotto. Przyszedł nowy prezes i ma

nowe pomysły. Chcą mieć doradców na etat, na stałe.

– Co to oznacza?

– Mówiąc wprost, takie same zarobki jak teraz, ale musiałbym być w Mediolanie nie dzień czy dwa w tygodniu, lecz tydzień.

– Cały tydzień w Mediolanie?!

– Tak. Ale są plusy: samochód służbowy... bla, bla, bla...

– Bla, bla, bla mnie nie przekonuje – prychnęłam.

Nie wyobrażałam sobie całego tygodnia bez Alessandra, bo niedawno zrozumiałam, że tak naprawdę, choć uwielbiam San Rocco, są momenty, kiedy mieszkania tu mam po dziurki w nosie. Nigdy nie jesteśmy sami, wszyscy wiedzą, co jadłam na obiad, kiedy byłam na zakupach, jakich używam tamponów i czy mam nową torebkę. Czasem męczą mnie, że mój syn nie jest moim synem, tylko najmłodszym oczekiwanym milion lat Mesjaszem, i każdy uzurpuje sobie prawo, by go porwać i uczyć po swojemu. Moje dziecko nigdy nie jest głodne, bo ma zapewnionych siedemdziesiąt posiłków i drugie tyle deserów dziennie. Średnio co drugi dzień drę się na całe gardło: „Heeeeej! czy ktoś wie, gdzie jest moje dziecko”?

Sam na sam z Alessandrem byliśmy tylko w sypialni, bo gdy Lele zasypiał, przenosiliśmy go do jego pokoju i już (na ogół) nie protestował.

Mój syn ma niemal setkę prawdziwych i przyszywanych cioć i wujków i od każdego może się czegoś nauczyć, wiem, że ich troska jest szczerą, ale...

– Wydaje mi się, kochanie, że już podjęłaś decyzję
– powiedziałam, przytulając się do męża.

– Jest jeszcze jedna sprawa...

Nienawidzę, gdy ktoś tak mówi. Przypomina mi to redakcyjne kolokwia, gdy jakiś redaktor przerobił tekst z „historii biustonosza” na „nasze babcie dumnie go nosiły”, by na koniec napisać „historię nimfomanki nieużywającej bielizny” i jeszcze za tę masakrę oczekiwał podziękowań.

– Dostałem bardzo ciekawą propozycję...

– O!

– Kontrakt na osiemnaście miesięcy...

– Jakieś szczegóły?
– Jasne, kochanie. Biało-czerwona flaga...
– W Polsce? – otworzyłam szeroko oczy. – Zaproponowali ci pracę w Polsce?!

– Nie. Ale biało-czerwona...
– Księstwo Monako? Będę żyła jak Grace Kelly?!? Woouooooow!
– Nie, kochanie. Oddaj ostatni strzał.
– Yyyyyy – bąknęłam, wrzucając łupiny orzecha do kominka.
Prawie trafiłam.

– Malta – rzucił Alessandro.
– Malta?!
Matko, w jakim języku mówią na Malcie? Maltejskim? A waluta?
– Na Malcie są doskonale przedszkola – zapewnił mnie Alessandro. – Międzynarodowe.

– Lele już jest międzynarodowy – zauważyłam.
– Klimat jest tam idealny. W domach nie mają kaloryferów!
– Biedni!
– Nie ma potrzeby, bo jest ciepło. Sezon turystyczny trwa dziewięć miesięcy w roku!

– Jakoś mnie to nie przekonuje...
– Kochanie, przecież to cywilizowany kraj! Zresztą nie musimy jechać, ale dla mnie byłaby to szansa, żeby zdobyć nowe doświadczenia... Gdybym przyjął tę ofertę, mamy kilka możliwości: przeprowadzamy się tam całą rodziną i powiedzmy raz w miesiącu wracamy na kilka dni do domu. Ja przeprowadzam się sam i jestem tam od poniedziałku do piątku, a na weekendy zawsze wracam do domu. Albo przylatuję raz ja, raz ty.

Chyba dziś nie zasnę, pomyślałam i rzuciłam całą garść cholernych łupinek na podłogę.

– No, zoneczko, łupiny ja pozbieram, a ty możesz zacząć rozpinać piżamę...

XIII WAŻNE ŻYCIOWE DECYZJE

Muszę porozmawiać z Weroniką, bo zaraz oszaleję, myślałam, schodząc rano do kuchni. Zanim Werka do mnie dołączyła, by przygotować śniadanie, zdążyłam już zaparzyć herbatę i nakryć do stołu.

– Poważnie? Na Malte? Malta jest boska! – wykrzyknęła podekscytowana. – To istny raj. Jak ja mogłam zapomnieć o Malcie, gdy zastanawialiśmy się, dokąd jechać?!

– Możemy zrobić tak, że Alessandro pojedzie sam, i raz on, raz ja...

– Kochana, zrobisz, jak będziesz chciała, ale to akurat ci odradzam. Rodzina powinna trzymać się razem. Poza tym przystojny mężczyzna sam, daleko od żony? Zaraz się jakaś Jennifer zacznie koło niego kręcić. Wiesz, jak jest.

– No wiem. Ale starych drzew się nie przesadza.

– Co ty chrzanisz?!

– Nie wydaje ci się to trochę głupie i zbyteczne? Nie potrzebujemy przecież tych pieniędzy. Po co wywracać nasze życie do góry nogami, skoro wreszcie jest jakoś poukładane?

– Dziękuj Bogu, że Alessandro ma pasję, że chce pracować, że mu nie odbiło, nie zamienił togi na deskę surfingową i nie wytatuował sobie na czole *I ♥ freedom*. Nie będzie brał nadgodzin, bo nie ma ciśnienia, ale pozwól mu się rozwijać i spójrz na to pozytywnie.

– Niby jak?

– Miejsce jest obłędne. Będziecie sami i może natchniona słońcem zaczniesz pisać?

– Ta... natchniona. Z dzieckiem i z brzuchem.

Natchniona ciekawością poszłam pomyszkować w internecie.

Malta: nieco ponad czterysta tysięcy mieszkańców, mniej więcej tyle co nasz Gdańsk.

Język maltański należy do grupy semickiej afroazjatyckiej (cokolwiek to oznacza, łatwo nie będzie).

Malta jest małą wyspą: dwadzieścia siedem kilometrów na czternaście, a więc wszędzie blisko.

Malta leży dziewięćdziesiąt trzy kilometry od Sycylii i niecałe trzysta od Tunezji.

Maltańczycy pozyskują wodę pitną, odsalając wodę morską.

Prezydentem Malty jest kobieta: Marie-Louise Coleiro Preca.
(LUBIĘ TO!!!)

*

Klamka zapadła. A więc Malta. Przedtem jednak musimy rozejrzeć się za jakimś mieszkaniem. Postanowiliśmy zrobić sobie przy okazji małe wakacje.

W środę wcześniej rano Jacopo odwiózł nas na lotnisko do Wenecji. Wylot mieliśmy za dziesięć ósma, ale trzeba było być ponad godzinę wcześniej, no i jeszcze dojazd. Niestety, przy kupowaniu biletów odkryliśmy, że nie ma bezpośrednich lotów, więc przesiadka w Rzymie.

Leandro został z dziadkami, a mnie aż skręcało, bo pierwszy raz rozstawałam się z nim na tak długo.

Lądowanie odbyło się bez problemów i, co ciekawe, bez oklasków pasażerów. To bicie pilotowi braw zawsze mnie śmieszyło. Jakby poprawne i bezpieczne lądowanie było czymś wyjątkowym i wymagało szczególnej nagrody. Wyobrażałam sobie starsze panie szepczące: „A tydzień temu wylądował na stodole. Brawo!”.

Pierwsze spotkanie z Malcią było bardzo przyjemne. Bezchmurne niebo, słońce, piętnaście stopni i piękna stara architektura. Wyspa jest albo piaskowa, albo złota – w zależności od pory dnia i słońca.

To tutaj znajduje się Laguna Blue, a błękit nieba gdzieś przy horyzoncie zlewa się i łączy z błękitem wody.

Jest niezłe, pomyślałam i uznałam, że podjęłam mądrą decyzję.

Po zameldowaniu się w hotelu Intercontinental i szybkiej kawie ruszyliśmy na spacer po stolicy. Delikatny wiaterek tańczył w moich rozpuszczonych włosach. Miło było spędzać czas tylko we dwoje.

Po spacerze zjedliśmy sałatę i kawałek słynnego maltańskiego tortu z ziemniaków, po czym spotkaliśmy się z uroczym agentem nieruchomości, Franckiem.

– Czy znacie państwo typy domów na Malcie? – zapytał.
Popatrzyliśmy na siebie.

– Nie.

– Szukamy, jak napisał pan w e-mailu, domu z pięcioma sypialniami, tak? Usiądźmy na moment na tej ławce, zanim zawiozę państwa na oglądanie pierwszego domu.

– Tak, potrzebujemy domu z pięcioma sypialniami

– potwierdziłam. – Nasza, syna, „zapasowa” i dwie gościnne, gdy przyjedzie ktoś z rodziny czy znajomi.

– Musicie wiedzieć, że u nas cena nie zależy od powierzchni, tylko od liczby pokoi. Mamy kilka typów domów. Apartamenty odpadają. Penthouse też. Maisonette to mieszkanie w bloku lub apartamentowcu, ale z osobnym wejściem. Są takie na parterze z ogródkiem albo na ostatnim piętrze, wtedy mają taras na dachu. Coś takiego was interesuje?

Znów popatrzyliśmy na siebie.

– Chyba nie – powiedziałam.

– Mamy jeszcze terraced houses, nowoczesne szeregowki z tarasem. – Pokręciłam głową. – Bungalowy i wille. I na koniec coś, co chyba najbardziej państwa zainteresuje: house of character, farmhouse i palazzo, czyli stare tradycyjne domy z naszego kamienia, odrestaurowane z zachowaniem charakteru...

– Dokładnie tak. I od tego zaczynamy – zarządził Alessandro, wstając z ławki.

Pierwszy dom w miasteczku mającym około jedenastu tysięcy mieszkańców, Zebbug, zrobił na mnie piorunujące wrażenie: hol i trzy salony miały co najmniej siedem metrów wysokości. Kojarzyły mi się z katedrami albo zamkami krzyżackimi. Franck wytłumaczył mi, że takie wysokie pomieszczenia znajdę w niemal wszystkich domach. Dobrze wiedzieć.

Drugi dom był w miasteczku Zejtun. Imponujące wejście i dwa tarasy. Niestety, kuchnia była mała i ciemna. Pokoi co prawda pięć, lecz niewielkie. Do dwóch z nich nie dałoby się wstawić trzydrzwiowej szafy. Jedno pomieszczenie, duże, ale bez okna, tylko z małym lufcikiem, w którym stał stół bilardowy, w ogóle nie było nam potrzebne. Szkoda. Po takim wejściu spodziewałabym się czegoś innego.

Aha. Brak basenu.

Zebbug: kolejny etap poszukiwań. Bezkształtny otoczony wysokim przypominającym rzymskie ruiny murem. Wyglądało to trochę jak miasteczko archeologiczne. Przy domu był jednak zaskakująco duży kawałek ziemi, drzewka pomarańczowe, mandarynki, figi i pieprzowce. Duże pokoje i piec na chleb. Trudny wybór.

Gdyby udało się zmiksować te trzy, powstałby dom idealny, pomyślałam.

Obejrzeliliśmy jeszcze pięć domów. Byłam wykończona i nie chciałam mieszkać w żadnym z nich.

– Który dom podobał ci się najbardziej? – spytałam Alessandra, gdy wstąpiliśmy do kawiarni, by odpocząć i napić się kawy.

– Coś z pierwszego, coś z drugiego...

– Może powinniśmy pomodlić się do świętego Judy do spraw beznadziejnych?

– Nie przesadzaj, to dopiero pierwszy dzień. Możemy przecież wynająć coś na chwilę, a potem spokojnie szukać.

– I zamiast jednej przeprowadzki mieć dwie? Dziękuję pięknie!

Właściwie, pomyślałam, to będzie nasz pierwszy wspólnie wybrany dom, bo zamek to była decyzja Weroniki, a nie moja. I właściwie niczego w nim nie zmieniliśmy. Poza detalami, jak na przykład komoda w łazience, którą „razem” zrobili nam Lele z dziadkiem. To było jedno z pierwszych męskich majsterkowych doświadczeń naszego synka, które mogło się skończyć tylko w jeden sposób: Lele nauczył się mówić *porca zozza*, czyli coś à la „kurczę pieczone”.

– Czy jest coś z widokiem na morze? – zwrócił się Ale do Francka.

– Chwila – odpowiedział. – Muszę wykonać jeden *call*.

Jeden *call* trwał jedną minutkę, po której znów siedzieliśmy w zielonym kabriolecie Francka.

Po kilkunastu kilometrach nasz agent zatrzymał się na poboczu.

– Mam dziwną propozycję, ale chyba wam się spodoba.

Wyjął z torby dwie ciemne apaszki.

– Teraz zawiążujecie oczy. Jesteśmy prawie na miejscu. Zaufajcie mi.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka.

– To potrwa sekundę – rzuciłam. – Cześć, kochana! – To dzwoniła Weronika.

– I jak poszukiwania letniej rezydencji? – spytała.

– Niby dobrze, ale źle. Albo nie ma basenu, albo ogródka, albo garażu...

– Nie słyszę!

– Halo? Słyszysz?

– Słabo. Wyszła w PAP-ie notka...

– Jaka w pubie plotka?

– W Paaaaaaapie! Nooooootka.

– Zadzwoń później!

– Zadzwoń później, bo nic nie słyszę – usłyszałam w odpowiedzi.

Franck podał mi apaszkę. Głupio było odmówić...

Gdy dojechaliśmy na miejsce, Franck pomógł nam wysiąść z samochodu i doprowadził do drzwi.

Pozwolił nam zerknąć. Staliśmy przed luksusowym blokiem czy apartamentowcem. Weszliśmy do środka.

To był najgorszy ze wszystkich domów, jakie widzieliśmy. Marmurowa biała podłoga i greckie posągi. Biały marmurowy bar i wyrzeźbione na marmurowych kolumnach marmurowe wazony. Stół miał marmurowe nogi i szklany blat – żeby było je widać.

Albo ktoś ma marmurową obsesję, albo trafił na przecenę.

W salonie okna były zasłonięte, podobnie jak w sypialniach (marmur), kuchni (marmur) i bibliotece (marmur). Były sauny (jakimś cudem drewniane, ale po kiego grzyba na Malcie sauna?!), kino (z czerwoną wykładziną), siłownia i sala zabaw z bilardem i zabytkowymi flipperami.

– Ile to mieszkanie ma metrów? – spytałam.

– Ponad tysiąc.

Matko jedyna, a po co to komu?!

I nagle mnie oświeciło.

– Och, rozumiem, jaki jest plan – rzekłam z uśmiechem.

– No jaki ? – chciał wiedzieć Ale.

– Kochanie, pan Franck chce nam pokazać jakiś beznadziejny dom,

żeby łatwiej nam było podjąć decyzję. Proste i skuteczne.

To był festiwal „jak źle wydać pieniądze”. Każdy centymetr kwadratowy musiał kosztować majątek, jednak nowobogacki przepych nie był w naszym guście.

W sypialniach stały ogromne łóżka przykryte dopasowanymi co do milimetra narzutami, na których leżały góry poduszek różnego kształtu i wielkości w kolorze nudnego mdłego beżu. Po trzeciej sypialni straciłam rachubę, bo wszystkie były takie same. Przy głównej sypialni było oczywiście marmurowe jacuzzi.

To nie dom do życia, tylko do oglądania na zdjęciach.

Miny musieliśmy mieć nietęgą, bo Franck powiedział:

– *A vous l'honneur, madame*[6].

– A za oknem pewnie wysypisko śmieci – szepnęłam do Alessandra i podeszłam do atlasowych, ważących chyba tonę zasłon.

Odsunęłam jedną i... o mój Boże! W życiu nie widziałam czegoś równie pięknego.

Słońce właśnie zachodziło, zamieniając błękit nieba w czerwień z połyskiem złota. Po lewej stronie był cypel, na wprost, w oddali, sunął statek pasażerski.

– Niektórzy przyjeżdżają tu na wakacje, inni mają szczęście tu mieszkać – powiedział Franck.

Patrzyłam na Alessandra, by wy badać jego reakcję.

– Przejdźmy się po domu raz jeszcze – zaproponował Franck.

– Ale teraz otworzymy wszystkie okna, dobrze?

Wyszłam przed dom. Był tam dość duży taras z kanapami zasłanymi mięciutkimi poduchami i basen.

– Co o tym myślisz? – spytał Alessandro.

– Szczerze?

– Szczerze.

– Ten dom w ogóle do nas nie pasuje. My – to ciasto drożdżowe, suszone papryczki, trzeszcząca podłoga, zabrudzony kominek... sam wiesz, a jednak...

– A jednak?

– A jednak... *mamma mia!* Wyobrażasz sobie widzieć coś takiego rano z łóżka i wieczorem z kanapy, zamiast telewizji? – Wskazałam

głową morze. – Poza tym trochę sierści Dolara i rysunków Lele, pieluch i walających się klocków Lego i od razu będzie lepiej.

Znający Maltę Alessandro zabrał mnie najpierw na zwiedzanie Silent City, czyli Mdiny, która kiedyś była stolicą Malty, a dziś jest chyba drugim po San Rocco najmniejszym miastem na świecie. Mogą tu wjechać tylko samochody dostawcze, służby ratownicze, mieszkańcy (których jest zaledwie trzystu) oraz nowożeńcy. Nie ma tam jakiejś konkretnej rzeczy do zwiedzenia, bo atrakcją jest całe miasto, pełne labiryntów i wąskich uliczek, przez które nie da się przejechać samochodem. Po kręceniu się w kółko przez godzinę, bo mój mąż za żadne skarby świata nie chciał się przyznać, że zabłądził, pojechaliśmy na kolację do sąsiedniego miasta Rabat.

– Możesz mi coś obiecać? – zapytałam, jedząc pyszną zupę pomidorową z grzankami i bazylią.

– Co takiego?

– Obiecuj mi, proszę, że gdy minie te osiemnaście miesięcy, to nie przeprowadzimy się w jakieś inne miejsce, tylko wrócimy do San Rocco.

– Obiecuję. A ty możesz mi coś obiecać?

– Co takiego?

– Że jeśli urodzi się dziewczynka, to będzie tak urocza jak mama.

– Uśmiechnęłam się. – To jak, kochanie, decydujemy się na tę marmurową twierdzę czy szukamy dalej?

– Sama nie wiem. Zróbmy po waszemu: „Noc przynosi poradę”, mawiacie, więc poczekajmy z decyzją do jutra.

– A jutro po śniadaniu zabiorę cię w najpiękniejsze miejsce na świecie, na klify Dingli. Tylko nie googluj ich, proszę. Chcę, żebyś miała niespodziankę. Gdy tu mieszkałam i chciałam się nad czymś zastanowić, to jechałam właśnie tam.

XIV WILCZY APETYT



- Jak było? Opowiadaj, jak było! – domagała się Weronika. Siedziałyśmy w naszej kuchni przy popołudniowej kawie.
- Powtórzę słowa mojej przyjaciółki: Malta jest cudna!
 - A więc ci się spodobało?
 - Tak, tak, tak!
 - A Alessandrowi?
 - On zna Malte, mieszkał tam dwa lata zaraz po studiach.
 - O, nie wiedziałam.
 - Ja też nie. Będzie dziś jakaś większa kolacja? Ktoś przyjeżdża?
- zainteresowałam się.
- Tak, ale pogubiłam się kto. Pamiętam tylko, że Maria będzie za godzinę i coś ugotuje. Alfio zapomniał o naszej rocznicy – dodała smutno.
 - No co ty!
 - Naprawdę! I słowo daję, chyba wesele też zorganizuję w święta albo w sylwestra, wtedy na bank będzie pamiętał. To było bardzo sprytnie z twojej strony.
 - Ej, ale mówisz tylko tak, czy coś planujecie?
 - Coś planujecie...
 - Gratuluję!
 - Tylko najpierw muszę pojechać na Sycylię i poznać całą jego rodzinę.
 - Oj, oj.
 - W piątek zadzwoniła do mnie Monika, bo do ciebie nie mogła się dodzwonić, pewnie wtedy leciałaś – powiedziała Werka.
 - Jaka Monika?
 - Sambor, twoja kuzynka.
 - Ooo, czego chciała?
 - Wyszła w PAP-ie notka, że jakaś Polka ma męża Włocha i mieszka w zamku.

– No i co?

– No i dzwoniła, żeby zapytać, czy to aby nie o tobie.

– Ło Jezusie, a kogo to obchodzi?

– Teraz wszystko wszystkich obchodzi. Byle było o czym pisać.

Już widzę te nagłówki: *Polski Kopciuszek we włoskim zamku, Bajkowe życie polskiej dziennikarki!*

– Nie wygłupiaj się! Ale musimy uważać, kto przyjeżdża do San Rocco.

– Na szczęście mną media się nie interesują – stwierdziła Werka z odrobiną złośliwym uśmieszkiem.

– Małpa – powiedziałam i pokazałam jej język. – Może to jest dobry moment, żeby wreszcie powiedzieć najbliższym o naszej wygranej?

– Sama nie wiem...

– Alfio z tobą jest, bo cię kocha – tłumaczyłam. – Rudy teraz może ci naskoczyć, moi rodzice nikomu nie powiedzą, bo oni rodzinne sprawy trzymają dla siebie, a ja wreszcie mogłabym im coś kupić, na przykład rejs dookoła świata, i nie kłamać, skąd mam na to pieniądze.

– To by wyjaśniło, dlaczego wynajmujecie taki wypasiony apartament na Malcie.

– Też.

– Muszę się zastanowić, czy dorosłam do tej decyzji. Gdy nikt nie wiedział, że jestem taka bogata, czułam się bezpiecznie, bo miałam świadomość, że jeśli zacznie dziać się coś złego, mogę wyjechać i o nic się nie martwić. Wiedziałam, że nikt ode mnie niczego nie oczekuje i nie będzie oceniał, na co wydaję pieniądze... Wiesz, o czym mówię.

– Tak, ale myślę, że jeśli powiemy o tym kilku wybranym i najbliższym osobom, to naprawdę niczego nie zmieni.

*

– Ktoś jeszcze chce kawałek parmigiany? – spytała Maria.

Kolacja znów była u nas, ale Maria przyniosła pyszne jedzenie, więc siedziałam sobie jak królowa i nic nie musiałam robić.

– Ja poproszę – powiedział Alfio, który zawsze brał dokładki.

– Kiedy wyjeżdżacie?

- Musimy się zorganizować – odrzekł Alessandro.
- Obawiam się, że w jeden samochód trudno będzie się spakować
- dodałam. – Z tyłu Lele w foteliku i Dolek, a do bagażnika wrzucimy trzy walizki i koniec, nic więcej się nie zmieści.
- Mogę wam pożyczyć nasz bagażnik bazowy Thule
- zaproponował Jacopo.
- Wejdzie do niego pół szafy – powiedziała Luisa.
- Pół mojej szafy, zaznaczam, i mały procent szafy mojej małżonki
- sprostował Jacopo.
- Ja mam taką propozycję – odezwał się Alfio. – Możemy jechać dwoma samochodami. Najpierw pojedziemy na Sycylię – i tak zamierzaliśmy odwiedzić moją rodzinę – wtedy będzie można zapakować coś do naszego auta. Prześpicie się u nas i rano pojedziemy na prom. Odwieziemy was na Maltę i wrócimy tego samego dnia.
- Superpomysł – ucieszył się Ale. – Dzięki.
- A może pojedziecie moją Saabinką i wrócicie samolotem?
- zaproponowałam.
- To byłoby mniej męczące dla Weroniki – zauważyła Valentina.
- Ale my musimy wrócić samochodem, bo chcę tu przywieźć trochę rzeczy. Albo inaczej: moja mama chce, żebym koniecznie je zabrał – wyjaśnił Alfio.

*

Goście wreszcie wyszli. Weronika i Alfio poszli do siebie na wieżę, a z nimi zostali tylko Ernesto rozmawiający w salonie z Ale, i Maria, która po wstawieniu naczyń do zmywarki (ja, ze względu na mój stan, musiałam przecież jak najwięcej odpoczywać) wyjęła z torebki (którą dostała ode mnie na urodziny i było mi bardzo miło, że ją nosi) pudełeczko i oznajmiła, że ma dla mnie upominek.

– Ale z jakiej okazji? – zdziwiłam się. – Nie mam urodzin ani imienin.

– Nie wiem, czy Alessandro ci powiedział, że urodziłam się i wychowałam w Castelfranco Veneto? Mój tata był księgowym, a mama nauczycielką. Przez całe życie mieszkaliśmy w mieście, a ja nie odróżniałam krzaka róży od bazylii.

– Nie wierzę! – powiedziałam do osoby, która była w moim mniemaniu królową wszystkiego, co zielone.

– Gdy poznaliśmy się z Ernestem, jego rodzice akurat dokupili ponad trzydzieści hektarów winnicy. Myśleli, że będzie im pomagał młodszy syn, którego wysłali do szkoły rolniczej.

– Wujek Rodolfo, ten, który był w marynarce?

– Tak, on. – Maria się uśmiechnęła. – To były dobre czasy dla włoskiej gospodarki, wszyscy byli pełni optymizmu. Kiedy w końcu wydało się, w jakiej szkole uczy się Rodolfo, wybuchła straszna awantura, rodzice o mało go nie wydziedziczyli. No i trzeba było podjąć decyzję, czy zostawić ziemię, czy sprzedać. Ja i Ernesto byliśmy jeszcze przed ślubem. Przywiózł mnie tutaj, a ja od razu zakochałam się w tym miejscu.

– Nie dziwię się! Ja też – powiedziałam na głos, a pomyślałam: awantura z powodu szkoły? Wydziedziczenie? Moja kuzynka rzuciła liceum dwa tygodnie przed maturą. Potem okazało się, że jest w ciąży. Z wuefistą. Żonatym. Tylko jej nie było za bardzo z czego wydziedziczyć.

– Moja mama i ojciec o mało nie dostali zawału, gdy oznajmiłam, że zamierzam się tutaj przeprowadzić – ciągnęła Maria. – Chcieli dla mnie męża pracującego w biurze, a nie na roli. Chcieli, żebyśmy mieszkali w mieście, blisko nich. Ale przecież w mieście każde z naszych dzieci miałoby tylko mały pokoik, a tu mieli całe piętro domu. W mieście spaliny, a tu śpiew ptaków. Nie było się nad czym zastanawiać. Z czasem moi rodzice nie tylko pogodzili się z moją przeprowadzką, ale zamieszkali blisko nas.

– Myślałam, że wszyscy dziadkowie Alessandra byli stąd. – Tylu rzeczy nie wiem o moim mężu!

– Jakiś czas po weselu moja teściowa dała mi prezent. Chciała mi podziękować, że zgodziłam się tu zamieszkać. A teraz ja pragnę, żebyś ten prezent dostała ty. Wiem, że nie masz ochoty na przeprowadzkę na Maltę, tym bardziej w twoim stanie, ale doceniam, że wspierasz mojego syna.

Maria przytuliła mnie, a ja, wzruszona do łez (cholerne hormony), mocno ją uściskałam.

– Ale ja nie mogę tego przyjąć! – wykrzyknęłam, gdy otworzyłam pudełko i zobaczyłam przepiękną bransoletkę. Maria wyjęła ją i zapięła na moim nadgarstku.

– Głupoty mówisz – mruknęła.

Tego dnia stałam się posiadaczką trzydziestu pięciu dużych, pięknych, kolorowo migających diamentów oprawionych w białe dwudziestoczerokaratowe złoto.

Podobną bransoletkę widziałam kiedyś w Złoty Tarasach w Warszawie. Z małą różnicą: była srebrna, a nie złota, z cyrkoniami, a nie z diamentami, i kosztowała czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć złotych. Ale jej nie kupiłam, bo byłam przed wypłatą.

– Mam pytanie... – powiedziała Maria. – Czy możemy was odwiedzić? Twoim samochodem. Wrócimy po trzech, czterech dniach samolotem.

– Ależ oczywiście! Właściwie to chciałam prosić cię o radę, jak trochę ocieplić dom. Bo tam same marmury, jak w rodzinnym grobowcu!

Odprowadziłam teściów do samochodu, a gdy otwierałam im bramę, stwierdziłam, że przez cały czas ich wizyty nie była zamknięta. Gwizdnęłam na Dolara – cisza. Tyle razy powtarzałam: „Uważajcie na psa! Zamykajcie bramę!”.

Poszłam do kuchni, włożyłam leżące przy drzwiach poncho i zaczęłam szukać latarki. Wróciłam do kuchni po kluczyki do samochodu, bo przypomniało mi się, że chyba ostatni raz widziałam ją w bagażniku. Nagle usłyszałam znajome sapanie. Odetchnęłam z ulgą.

– Gdzie byłeś, wariacie? – spytałam.

Wtedy zauważyłam idący za Dolarem cień. Serce podeszło mi do gardła. Czy to wilk?!

Dolar jednak w ogóle się nie bał, tylko biegał wokół tego stworzenia, a jego mina mówiła: „To ja go znalazłem, może z nami zostać?”.

Zamknęłam bramę i podeszłam do zwierzaka. Łypnął na mnie spode łba.

To jednak chyba pies, pomyślałam i przypomniał mi się film dokumentalny o wilczakach czechosłowackich – mieszańce psa i wilka

właśnie. Wzięłam go na ręce i wniosłam do kuchni. Nie wiedziałam, czy położyć go na kanapie, czy na fotelu. A gdy zastanawiałam się, co dalej, do kuchni wszedł Ale z ubranym w piżamkę Lele.

– *O Dio*, a to kto? – zapytał.

– Dolar znalazł sobie kumpla.

Alessandro posadził Lele na foteliku i poszedł szukać jego kapci. Leandro w mig zrozumiał, że pies jest wygłodzony. Zanim zdążyłam zaprotestować, bo akurat nalewałam kawę, zeskoczył z fotelika – nie mam pojęcia, kiedy się tego nauczył – wziął kilka chrupek z miski Dolara, położył je przed nosem psa i powiedział:

– Jedz, to będziesz tak duży i silny jak ja.

Pies polizał go po rączce i... zaczął zajadać.

Wyglądało na to, że będziemy mieli drugiego psa, choć to nie był najlepszy moment: przeprowadzka, ja w ciąży... Ale cóż, to on znalazł nas, a nie my jego.

*

Weterynarz przyjechał bardzo szybko. Miał ze sobą czytnik, jak się okazało niepotrzebnie, bo pies nie miał czipa. Określił jego wiek na trzy lata. Powiedział, że zwierzak jest wycieńczony i nie wiadomo, czy przeżyłby na zimnie kolejną noc, więc Dolar jest bohaterem. Podłączył psu kroplówkę, dał pastylkę na odrobaczenie, wyciągnął milion kleszczy i zapytał, co dalej.

– On jest taki zrezygnowany czy po prostu łagodny?

– zastanawiałam się.

– Pewnie i jedno, i drugie. Nie wiemy, jak długo się błąkał, czy jadł, co jadł. Możemy spróbować poszukać właściciela, ale bez czipa i obroży... Daliście mu coś do jedzenia?

– Wypił chyba cztery miski wody i zjadł kilka chrupek.

– Za kilka dni będę mógł go zaszczepić. Może u was zostać przez jakiś czas czy zadzwonić do schroniska?

Popatrzyliśmy na siebie z Alessandrem.

– Nie dzwonić! – odpowiedzieliśmy jednocześnie.

*

Rano, leżąc jeszcze w łóżku, zastanawiałam się, co zabrać na Malte. Oprócz wiosennych i letnich ubrań oczywiście. Obawiałam się jednak, iż nic z zamku nie będzie pasowało do nowego domu. Hm. Może chociaż pościel?

Zadzwoiłam do Francka i dowiedziałam się, że w cenie jest wszystko, nowa pościel też, po trzy komplety na łóżko.

Dopiero, gdy trochę tam pomieszkamy, zobaczymy, czego nam brakuje.

Było mi trochę przykro, że to, co podoba mi się najbardziej, styl country, shabby chic, prowansalski czy roustique są lata świetlne od bombastycznego stylu naszego maltańskiego domu. Ale przecież nie mogę targać tam ukochanych koców w szkocką kratę czy talerzy z Bolesławca!

Muszę myśleć pozytywnie. Moment: właściwie nie będę miała tam co robić, nie mam na Malcie znajomych, to chociaż po sklepach pobiegam. I to jest plan!

Bądźmy szczerzy: to są pierdoły i kaprysy, nie prawdziwe problemy.

Ile słoików przecieru powinnam zabrać?

XV
OSTATNIA PROSTA: PÓLNOC–POŁUDNIE



W drugi poniedziałek lutego punkt dziesiąta ruszyliśmy spod domu Marii i Ernesta. Pierwszych sto kilometrów jechałam Saabinką z Marią i Killerem (tak nazwaliśmy drugiego psa), Weronika prowadziła samochód Alfia, do którego wzięła Lele i Dolara. Alfio, Ernesto i Alessandro jechali naszym drugim autem i uzgadniali, którądy będzie najszybciej. Teoretycznie najlepiej drogę powinien znać Alfio, skoro to do jego domu jechaliśmy, jednak Ernesto też miał coś do powiedzenia w tej kwestii, a Alessandro chciał się upewnić, że planując postoje, zostanie uwzględniony przystanek na piadinę z rukolą, pomidorami i serem squaquerone. Przed przystankiem na jedzenie musieliśmy jednak stanąć na siusiu. 1:1 Weronika i Lele.

Przystanek na piadinę. Zamieniamy się. Ja jadę z Alessandrem i Killerem, Maria i Ernesto biorą Lele, Wera i Alfio – Dolara. Czternaście kilometrów dalej dzwoni telefon: jednak nie jedziemy prosto do Toskanii, tylko skręcamy na Umbrię, nie można nie wykorzystać takiej sytuacji, trzeba kupić zapas oliwy.

Zjeżdżamy do Gubbio. Kupujemy oliwę. Jedziemy w kierunku autostrady. Dzwoni Maria. Musi skoczyć na moment do tamtejszego kościoła i się pomodlić. Tam przecież mieszkał święty Franciszek i miał przyjaciela wilka. Wilk zjadał zwierzęta i ludzi, a gdy na jego drodze stanął Franciszek, zrobił się łagodny jak baranek i spokojnie mieszkał sobie w mieście.

Maria idzie do kościoła, Alessandro idzie wyprowadzić psy, ja idę kupić wodę.

Spotykamy się na parkingu. Kolejny etap podróży. Nasz cel to Lazio.

Ruszamy.

Ja z Alfiem i Dolarem, Weronika z Marią i Killerem, Ale, Lele i Ernesto.

Telefon. Mój mąż:

– Myślisz, że byłby to problem, gdybyśmy na moment skoczyli jednak do Toskanii? Wziąłbym dla nas wino.

Zawracamy. Wiadoma rzecz: toskańskie wino kupione w Toskanii smakuje inaczej.

Na parkingu jednogłośnie podejmujemy decyzję: nie zatrzymujemy się, póki nie minimy Rzymu. Inaczej będziemy jechali przez tydzień.

Siena wita nas deszczem. Zaparkowaliśmy samochody w samym centrum, dwa kroki od doskonale zaopatrzonego sklepu z winem. Królowały tam lokalne wina, czyli chianti, vernaccia di San Gimignano, vino nobile di Montepulciano i król – brunello di Montalcino. Karton tego ostatniego z winnicy Col D’Orcia postanawiam kupić na „po ciąży” i „po karmieniu”. Rachunek za wino był słonawy, ale daleko nam było do najdroższej butelki brunello producenta Biondiego Santiago, sprzedanej za ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów

Ruszamy. Dwadzieścia kilometrów dalej Alfio mruga światłami. Zjeżdżamy na parking przy autostradzie.

– Zadzwoił do mnie kuzyn, powiedziałem mu, że jedziemy do Catanii, i pyta, czy mogę zabrać kilka rzeczy dla jego mamy, a mojej cioci. Ma osiemdziesiąt lat. Zaprasza na kolację i przenocuje nas w swojej agroturystyce. Możemy?

– Jasne! – odpowiadamy chórem.

– A gdzie to jest? – zainteresowała się Weronika.

– W Terni.

Zmieniamy trasę – odbijamy na zachód.

Dwie godziny później zaparkowaliśmy przed starym młynem należącym do kuzyna Alfia.

Przed dom wybiegł Salvatore, machając rękami. Przywitał się z nami, wyściskał i wycalował, jakbyśmy byli jego dawno niewidzianymi najlepszymi przyjaciółmi.

Jego żona Caterina, nazywana przez wszystkich Titi, wciągnęła nas do środka. Zanim dotarliśmy do salonu, zorientowała się, że Weronika jest w ciąży. Powiedziała coś w dialekcie, którego nikt oprócz Alfia nie rozumiał, i dokądś pobiegła. Czternaście i pół sekundy później trzech chłopców w wieku osiem, dziesięć i trzynaście lat przyniosło wodę, oliwę i jeszcze ciepły chleb. Powiedzieli nam, że babcia już

przygotowuje przekąski.

Dwie minuty później babcia przyniosła klucze do naszych pokoi. Chwilę potem okazało się, że babcia to ta ciocia, której mieliśmy coś przewieźć, i że tak naprawdę do Catanii mamy zawieźć tylko pozdrowienia dla całej rodziny.

Salvatore użył tego fortelu, bo inaczej Alfio by ich nie odwiedził, a oni koniecznie chcieli poznać Weronikę.

Dwadzieścia cztery godziny, sześć przystanków i jeden prom później byliśmy na Sycylii. Z bólem serca mijałam Taorminę, bo nie obejrzelśmy słynnego amfiteatru, a Leandro zaczynał się wiercić i marudzić, zmęczony podróżą.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, przywitała nas liczna i głośna rodzina Alfia. Podczas kolacji okazało się, że wszyscy czekali, kiedy on się w końcu ustakuje, jest bowiem najstarszym z trójki rodzeństwa, przy czym jego młodsza o dwa lata siostra ma już osiemnastoletniego syna i piętnastoletnią córkę, a najmłodszy brat dwunastoletnie bliźniaki.

– *Mi sbiddianu l'occhi* – powiedziała Consolata, mama Alfia, głaszcząc Weronikę po policzku i nakładając jej kolejną porcję caponaty[7].

– *Sciatere è matri, e vogghiu diri!* – dodała ubrana na czarno ciotka, której imienia nie zapamiętałam.

– Mario – szepnęłam – możesz mi przetłumaczyć?

– Nie, bo sama nic nie rozumiem.

– Czy możecie mówić po włosku? – zapytał Alfio, który zauważył naszą konsternację.

– *Si si, ciertu. N'un miriri e sbiriri sara' pronto Bastaddu affucatu.*

Roześmiałam się, bo wyglądało to tak, jakby ktoś powiedział do kogoś: „Czy możesz mówić szeptem?”, a ten ktoś wrzasnąłby: „Taaaaak, jaaaaasne!”.

– Gdy poszedłem do szkoły i nauczyciel zapytał, jakiego języka obcego chcę się uczyć, odpowiedziałem, że włoskiego. Nie muszę tłumaczyć dlaczego, prawda? – rzekł Alfio ze śmiechem.

– To nic takiego. My w domu też mówimy dialektem – pocieszyła go Maria. – Prawda, Ernesto?

– Oczywiście – potwierdził skwapliwie mój teść, nakładając sobie

kolejną faszerowaną cukinię. – Signora, jeszcze raz muszę pochwalić pani kuchnię. Pyszne!

– Eeee tam, to nic nadzwyczajnego, ale robione z sercem

– odpowiedziała skromnie mama Alfia.

– Ale mnie nie chodzi tylko o to, że mówiliśmy dialektem. Nikt mi nie powiedział, że Sycylia to część Włoch – dodał Alfio. – Byłem pewny, że to osobny kraj!

Wybuchnęliśmy śmiechem.

– U was w Polsce też są dialekty? – zainteresowała się Agata, siostra Alfia.

– Nie tak jak u was, że co wieś, to inny język, są różne gwary, zależy od rejonu – wyjaśniła Weronika.

– I u nas to są raczej pojedyncze słowa, akcent, powiedzenia. Na przykład na południu Polski mówi się „iść na pole”, a w pozostałej części „iść na dwór”, a chodzi o to, że wychodzi się z domu, na zewnątrz – tłumaczyłam.

– Tylko w górach i na Kaszubach mają swój język – dodała Wera.

– Ale i tak nie słychać go na ulicach, tak jak tu. Po wojnie ludzie się wymieszali, przesiedlali ich, ci z północy pojechali pracować na południe do kopalń, ci ze Śląska wyjechali...

– ...do Niemiec – dokończyła za mnie Werka.

– A teraz dużo Polaków wyjeżdża już dobrowolnie... – ciągnęłam.

– Albo dlatego, że nie mogą w Polsce znaleźć pracy – uzupełniła Werka.

– Ale bardzo szybko się adaptujemy – zaznaczyłam.

– I powstają nowe tradycje, jak na przykład palmy na choince – wtrąciła się Maria.

– No to za bezgraniczne szczęście! – powiedziała jakimś cudem po włosku Consolata.

– *Cin, cin* – odpowiedzieliśmy.

*

Dom rodzinny Alfia stał kilka kilometrów za Catanią. Duży, w kolorze wyblakłej żółci, z brązowymi okiennicami. Za domem rozciągało się niewysokie wzgórze, i gdy się na nie weszło, można było

podziwiać panoramę miasta. Jednak najbardziej zachwycający był rozpościerający się po lewej stronie gaj oliwny.

Drzewa były stare, ale zdrowe, duże i majestatyczne. Mogłoby się wydawać, że wyszły spod pędzla van Gogha.

Po trwających ponad godzinę pożegnaniach ruszyliśmy do portu. Weronika była zmęczona, więc postanowiła zostać w Catanii. Obiecałyśmy sobie, że za trzy, cztery tygodnie przylecą do nas z Alfiem na kilka dni. Musimy się tylko rozpakować i urządzić.

Leandro był zachwycony portem i statkami. Liczył je i wybierał, który jest najładniejszy, przy czym każdy kolejny był „bardziej super” od poprzedniego.

Alfio robił zdjęcia widocznemu w oddali wulkanowi, którego szczyt pokrywał śnieg. Wyglądał jak ciastko posypane cukrem pudrem.

Gwiazdami pokładu zostali Dolar i Killer. Wszyscy pytali, co to za rasa, a gdy mówiłam, że to kundelki, rozmówcy nie kryli zaskoczenia. Nie wiem, dlaczego ludzie myślą, że psy porzucone i z odzysku powinny być brzydkie, agresywne czy byle jakie. Bzdury! Wykąpać, nakarmić, w nos pocałować, trochę cierpliwości, dużo miłości i są najcudowniejsze na świecie!

Killer i Dolar od razu stworzyli team. Razem biegali, razem szaleli, razem spali. Dolar zachowywał się tak, jakby wiedział, że zrobił coś niezwykłego, a Killer, jakby doskonale zdawał sobie sprawę, że ten mały kudłaty psiak go uratował. Psy nigdy nawet na siebie nie warknęły i bez problemu jadły z jednej miski. Mnie najbardziej rozczuliło to, że kładły się koło łóżeczka Lele i gdy przez sen kopnął w szczebelki, czy przewracał się na drugi bok, od razu zrywały się na równe łapy.

*

Po niespełna czterech godzinach dopłynęliśmy na Malte. Lądowanie samolotem jest piękne, jednak widok z morza bajeczno-boski. Gdy schodziliśmy na podpokład, by wsiąść do samochodów, zobaczyłam leżącą na ziemi maskotkę psiaka. Pobieglam, by ją podnieść, i zostałam obgwizdana przez ubranego w jasnozieloną kamizelkę pana, który kierował ruchem.

– I co teraz zrobisz z tą maskotką? – spytał Alfio, gdy wskoczyłam

do samochodu. – Przecież nie znajdziesz właściciela.

Hm... Czułam się tak, jakbym uchroniła przed rozjechaniem żywego psa, a nie pluszowego. Mam plan! Pomysł na świetną światową kampanię. Któż lepiej nadaje się do promowania adopcji zwierząt, jeśli nie wyrzucony pies? A że pluszowy, cóż... *Nobody is perfect.*

*

Zanim dojechaliśmy do domu, wszystko było jasne. Maskotkę nazwałam Pocker the Polish DOGtrotter.

Wymyśliłam zasady: Pockera można „adoptować” minimum na jeden dzień, maksimum na dziesięć, trzeba jednak zrobić co najmniej jedno zdjęcie i przynajmniej jednej osobie dziennie powiedzieć, że zwierzęta się adoptuje, a nie kupuje. Maskotkowy psiak nie może podróżować w walizce, tylko z osobą „adoptującą”. Nie wysyłamy go pocztą ani kurierem, przechodzi tylko z rąk do rąk. Można go zabrać w podróż, do pracy, do szkoły... Czyż ja nie jestem genialna?

*

Na stole w kuchni czekała na nas butelka szampana i ogromny kosz owoców.

Za oknem wyczekiwał najpiękniejszy widok świata.

Na Dolara i Killera czekał basen. Nie trzeba było ich zapraszać.

Na Leandra czekała cudowna kolejka (do złożenia).

Na Alessandra czekały kluczyki do nowego służbowego samochodu (po czorta nam trzy samochody?).

Na mnie czekało rozpakowywanie, urządzenie i ogarnianie.

Wnieśliśmy bagaże na górę, ja się rozglądałam po nowych kątach. Maria wkładała zapasy jedzenia do lodówki, gdy nagle zadźwięczał dzwonek do drzwi. Poszłam otworzyć, zastanawiając się, że może to Franck przyszedł sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy nowi sąsiedzi. Otworzyłam i...

– Co wy tu robicie?! – krzyknęłam.

– Niespodzianka! – usłyszałam w odpowiedzi.

– Babcia i dziadek! – Do holu wpadł Lele.

– Pomyślałem, że w takiej chwili może będziesz chciała mieć przy

sobie rodziców – powiedział Alessandro.

– Dobrze pomyślałaś! Wchodźcie! Ależ ja się cieszę! A Klara?

– Musiała zostać, ale jutro da znać, czy może przylecieć na weekend.

– Wspaniale! Mam wam tyle do opowiedzenia! Och, jak ja się cieszę! – przytuliłam mamę.

Gdy tylko trochę ochłoną, powiem o wygranej, postanowiłam.

Przeszłam się po apartamencie, żeby znaleźć ich sypialnię, bo nie do końca pamiętałam układ pokoi. Otworzyłam drzwi, które okazały się wejściem do salki kinowej. Zdjęłam buty, przeszłam się po czerwonej miękkiej wykładzinie, usiadłam na fotelu i patrząc na biały ekran, pomyślałam: Chciałam przecież pisać... No chciałam. Mogłabym.

O tym, jak przewrotne bywa życie, jak może się odmienić w okamgnieniu, o tym, że nic tak nie męczy jak dziecko, o tym, że nikt tak nie wyprowadzi cię z równowagi jak mąż, o tym, że gdy się chce, to się da, o tym, że naprawdę warto adoptować zwierzęta, o tym, że prawdziwy mężczyzna słabszym pomaga, a frajer na słabszych demonstruje swoją „siłę”, o tym, że czasem, gdy ktoś się wtrąca, to oznacza, że mu zależy, a czasem, gdy się wtrąca, robi to dlatego, że mu się nudzi, o tym, że prawdziwa przyjaźń istnieje, o tym, że życie mamy jedno i powinniśmy przeżyć je tak, jak chcemy.

Ja już wiem, jak chcę...

*

– Kochanie, czy może wzięłaś kluczyki, które leżały na stole?

– spytał Alessandro, całując mnie namiętnie.

– Od twojego służbowego auta?

– Tak, ale samochód nie jest mój, tylko Jennifer. Zostawiła go w garażu i pojechała taksówką. Zaraz przyjedzie go odebrać.

Jennifer?!



Akcja Pocker the Polish DOGtrotter istnieje naprawdę – ruszyła 16 października 2013 roku. Przez półtora roku działalności proadopcyjnej, do dnia ukończenia książki, w maju 2015 roku, pluszowa maskotka

przeleciała ponad dwieście tysięcy kilometrów!

Pocker zwiedził między innymi: Tanzanię, Zanzibar, Sri Lankę, Malediwy, Izrael, Australię, Majorkę, Brazylię, Stany Zjednoczone i większość krajów europejskich. Miał setki niesamowitych przygód, które są udokumentowane i opublikowane na Facebooku.

Ty też możesz „adoptować” Pockera.

Polub nas: <https://www.facebook.com/PockerthePolishDOGtrotter>

[1] Cardi to warzywo podobne do karczochów, w prowincji Benevento robi się z niego zupę o nazwie cardone. Cardin in tecia – przepis z okolic Wenecji. Cardi, umyte i pokrojone na kawałki, wrzuca się na patelnię z oliwą z oliwek, czosnkiem, drobno posiekaną cebulą, solą, pieprzem i odrobiną wody.

[2] Saras del fen – rodzaj sera ricotta, lokalny produkt piemoncki.

[3] *Incontri* (wł.) – spotkania; *abbracci* – uściski.

[4] Natale – imię męskie, lecz również Boże Narodzenie.

[5] Falo' – płonący pal lub wielkie ognisko; tradycja ta ma korzenie celtyckie, gdy ludzie „palili przeszłość”, by zasłużyć na łaskę bóstw i zapewnić sobie dobrą przyszłość.

[6] Do pani należy ten zaszczyt (fr.).

[7] Caponata – przekąska z duszonych bakłażanów i pomidorów z dodatkiem cebuli i oliwek; smakuje wspaniale zarówno na ciepło, jak i na zimno.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

